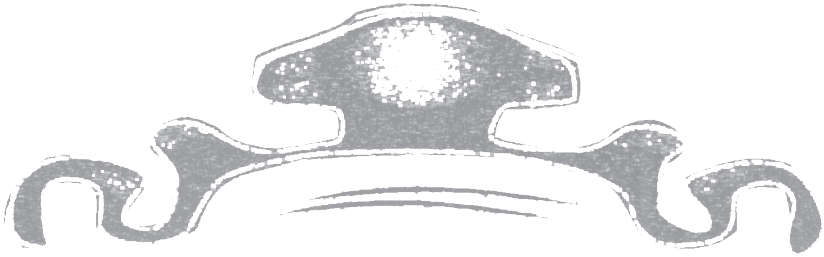

Almanach Łącki

Półrocznik pod patronatem
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej

wydawnictwo historyczno-kulturalno-społeczne

Nr 12
Rok 2010

Kolegium Redakcyjne

prof. Julian Dybiec - przewodniczący
prof. Barbara Wagner - z-ca przewodniczącego
prof. Bolesław Faron
ks. prałat Józef Trzópek
mgr Zbigniew Czepelak

Redakcja

Jadwiga Jastrzębska - sekretarz
Paweł Szczodrowski - opracowanie graficzne
Jan Dziedzina - kontakty ze szkołami
Andrzej Urbaniec - kontakty ze stowarzyszeniami (zastępca sekretarza)
Rozalia Kulasik - finanse
Grzegorz Olszewski - opracowania regionalne

Almanach Łącki - półrocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów i redakcji.

Druk i papier finansowany ze środków:

Starostwa Sądeckiego

Urzędu Gminy w Łącku

prywatnych darczyńców i środków własnych TMZŁ

Egzemplarze archiwalne dostępne w: Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w Nowym Sączu, Gminnej Bibliotece w Łącku (i jej filiach), Bibliotekach Szkół w Gminie Łącko, Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie, Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego, Centralnej Bibliotece PTTK, Centralnej Bibliotece Górskiej oraz u autorów artykułów.

Projekt okładki: Paweł Szczodrowski
Skład: Wydawnictwo "Koliber"
Druk: Flexergis Sp. z o.o.
Nakład: 750 egzemplarzy

Redakcja Almanachu Łąckiego:
33-390 Łącko 512
tel. 502 520 123
e-mail: tmzl@elacko.pl

W tym roku mija 600 lat od pamiętnej bitwy pod Grunwaldem i 100 lat od obchodów 500 lecia tejże bitwy na Górze Zyndrama w Maszkowicach.

Redakcja nasza postanowiła przypomnieć ten historyczny fakt przytaczając opis świętowania, znajdujący się w dziełku Antoniego Kurzei „Z rodzinnych stron Zyndrama z Maszkowic", wydanym w Brodach w 1910 roku

Grunwaldzki obchód w Łącku

Miasteczko nasze, położone w przepięknej górskiej okolicy, nad Dunajcem, obchodziło dnia 3 lipca 1910 r., przy współudziale dziesięciu gmin, należących do parafii łąckiej, uroczystość ku uczczeniu 500-letniej rocznicy bitwy pod Grunwaldem.

Lud Maszkowic na grodzisku

Uroczystość rozpoczęła się nieszporami w kościele parafialnym, po których ks. kanonik Piaskowy, zaintonował pieśń „Te Deum Laudamus" i wygłosił okolicznościowe kazanie. Następnie, uczestnicy, uszykowani do pochodu, wysłuchali przemowy p. dr. Chwaliboga, który w krótkich, lecz serdecznych słowach, zachęcał do walki z germanizmem, do walki, tak samo pełnej poświęcenia i brzemiennej w skutki, jaką nasi przodkowie stoczyli z nawałą germanizmu, na polach Grunwaldu.

Banderia konna

Pochód otwierała część banderyi, w malowniczych strojach miejscowych, złożona z 80 koni, pod dowództwem dr. H. Chwaliboga. Następnie oddział kosynierów, składający się z 150 ludzi, których prowadził p. J. Kempa, dalej dziatwa szkolna, prowadzona przez nauczycielstwo, mu-

zyka, sokoli, goście przybyli ze Starego i Nowego Sącza, ze Szczawnicy, Krościenka n. D. i innych miejscowości, straż pożarna, reprezentanci Towarzystwa Szkoły Ludowej, Towarzystwa Kasynowego w Łącku, rad gminnych, wreszcie wyznaniowa gmina izraelicka. Pochód zamykała druga część banderyi (80 koni), pod dowództwem włościanina p. Turka z Zagorzyna.

Pomnik 1000-lecia z kamieniem poświęconym bitwie grunwaldzkiej na Górze Zyndrama

Tak uszykowany pochód, udał się do pobliskiej wsi Maszkowice, na wzgórze, na którym ongiś stał zamek Zyndrama, dowódcy wszystkich wojsk polskich i hufców kmiecych w bitwie pod Grunwaldem – Ku uczczeniu pamięci wielkiego bohatera, osadzono na wzgórzu, zwanem po dziś dzień, „górą Zyndrama", kamień pamiątkowy, na którym wykuto napis: „1410 – 1910 Zyndramowi – ziomkowie". Nastąpiło odsłonięcie kamienia, poprzedzone mową prof. Ćwikowskiego, który przedstawił znaczenie obchodu, dla uczczenia świetnego zwycięstwa.

Banderia ze Szczereża

Burzą oklasków został przyjęty następny mówca, włościanin z Maszkowic, pan Jan Faron. Przemówił krótko, ale powiedział wiele, bo zaznaczył potęgujące się uczucie miłości ojczyzny u ludu, czego dowodem ten parotysięczny tłum ludu, przybyły ze wszystkich stron naszej parafii, by uczcić pamięć złamania potęgi krzyżackiej i oddać hołd wielkiemu bohaterowi. Z powodu nadchodzącej burzy, odbyło się przedstawienie „Kościuszko pod Racławicami", zamiast na górze Zyndrama, w sali Towarzystwa kasynowego w Łącku, Po przedstawieniu odbyła się zabawa ludowa.

Grzegorz Olszewski

Historia miejscowości: Łącko, Czerniec, Maszkowice

Przyczynek do historii Łącka

Muszę przyznać, że nie planowałem pisać tego szkicu historycznego. Lecz kilka miesięcy temu, podczas rozmowy z redaktor Jadwigą Jastrzębską, usłyszałem, że Czytelnicy zwracają uwagę, iż w *Almanachu Łąckim* nie było dotychczas żadnego omówienia dziejów Łącka. Stwierdzenie to przyjąłem z nieukrywanym zdziwieniem. Tym samym wyjaśniam, że brak takiego opracowania w dotychczasowych wydaniach *Almanachu* nie jest zaniedbaniem.

Powodem takiego stanowiska jest fakt, iż Łącko jako miejscowość ma bogatą bibliografię dziejową, a ponadto dwie odrębne książki traktujące tylko o historii tej wsi i okolicy. Mam tutaj na myśli *Przeszłość Łącka* Henryka Stamirskiego (1966) oraz nieco amatorskie opracowanie Stanisława Baziaka *Łącko przez wieki* (1990). Nadto w 1990 r. ukazała się broszura *Łącko nad Dunajcem* Franciszka Podhalskiego, która także w sposób skrótowy opisywała Łącko. Wszystkie te publikacje mają oczywiście dawno wyczerpane nakłady, ale nie zmienia to faktu, że się ukazały i pisanie kolejnych opisów historii Łącka nie jest konieczne.

Na poparcie mojego stanowiska poinformuję, że od dłuższego czasu zespół historyków (na zlecenie wójta F. Młynarczyka) opracowuje monografię historyczno-gospodarczą całej gminy łąckiej (16 wsi), która być może w tym roku ujrzy światło dzienne.

Wychodząc jednak naprzeciw czytelnikom, przedstawiam zwięzły rys historyczny, który ma za zadanie przedstawić najważniejsze momenty w przeszłości wsi. Niech będzie on zachętą dla szerszego poznania dziejów tej wsi.

*

Łącko swą dawną metrykę zawdzięcza swojemu położeniu w dolinie Dunajca. Jak wiemy, wzdłuż tej rzeki powstawały najstarsze osady na Sądecczyźnie: Naszacowice ze swoim słynnym grodziskiem, a także inne punkty osadnicze (Maszkowice, zabrzeska Babia Góra, Łącko-Tarnawa). Powstanie wioski w miejscu dzisiejszego Łącka wykracza poza czasy historyczne i dlatego nie jesteśmy w stanie określić jej początków. Z taką sytuacją spotykamy się bardzo często w Ziemi Sądeckiej; sprawa pozostaje prostą jeśli dana miejscowość posiada dokument lokacyjny, choć i wtedy zdarzają się rozbieżności (Stary Sącz). Należałoby więc przyjąć, że narodziny Łącka miały miejsce bądź w wyniku stopniowego napływu i osiedlania się ludności na to miejsce, bądź w wyniku zamierzchłego nadania. Oczywiście nie można wykluczyć nadania Łącku dokumentu lokacyjnego, który mógł być wystawiony w czasach rycerskich, książęcych, czy klasztornych, a który mógł się nie dochować do czasów nam współczesnych.

Najstarszym właścicielem Łącka, jakiego znamy, był niejaki Wydżga, który był panem tej wioski już w początkach wieku XIII. Jakie były losy wcześniejsze tego osiedla – *ignoramus*. Wydżga posiadał wiele cennych wsi w Małopolsce: m.in. ok. 1240 r. był panem Czorsztyna oraz Ciężkowic. Był on bratem kasztelana sądeckiego noszącego imię Gedko (Gedeon), a także ojcem Wojsława[1].

Sam Wydżga, jako posunięty już w latach człowiek, zdecydował sprzedać całą posiadłość łącką zakonowi bożogrobców miechowskich.

…My Bolesław z bożej łaski krakowski i sandomierski książę, wraz z ukochaną matką Naszą: panią Grzymisławą rzeczonych ziem księżniczką. Uwzględniając pana Wydżgi (…) wierne względem nas usługi: Wszystkie dziedzictwa, które nabył, czyto darowizną Naszą lub ojca Naszego ś.p. księcia Leszka, lub jakim bądź prawnym sposobem; Stwierdzamy onemu i spadkobiercom jego; zezwalając według upodobania: zamienić, potomstwu zostawić, dla zbawienia duszy swej kościołowi nadać, krom wszelkiej trudności ze strony synów i krewnych. Wspomniany bowiem Wydżga, z wielkiej życzliwości: wobec Nas, za zezwoleniem naszem życzliwem, za zezwoleniem wobec stojących brata jego pana Gytona także syna jego pana: Wojsława; Jedno z swych dziedzictw zwane: Łąckiem, które za czasów ojca naszego spokojnie i krom przeszkód posiadał; Braciom grobu świętego to jest: miechowskim księży za 300 grzywien pieniędzy – ku zbawieniu duszy swej odstępuje: wieczyście i dziedzicznie. (…)
Działo się to roku pańskiego 1251 w dzień ś. Agaty w Bochni.

Kolejnym etapem w dziejach Łącka było przejęcie przez Bolesława Wstydliwego tych terenów (poprzez wykup lub zabór), a w kolejności nadanie całej ziemi łąckiej swojej żonie Kindze (10 marca 1257 r.). W 1268 r. z dokumentu określającego gospodarcze powinności ludności, dowiadujemy się, że w Łącku był już folwark.

Przełomowym momentem był rok 1280, kiedy to Kinga powołując zgromadzenie zakonne, ufundowała mu 28 wsi, z Łąckiem na czele. Wsią tą zarządzały klaryski poprzez włodarzy, którzy w imieniu sióstr zarządzali posiadłości. Były też okresy, kiedy ksieni decydowała się puścić w dzierżawę wsie łąckie – wówczas władzę na tym terenie sprawował dzierżawca.

W XIII w. w Łącku była już parafia, która stała się przyczyną ostrego sporu pomiędzy klaryskami a miechowitami. Rzecz szła o prawo prezenty proboszcza w Łącku. Konflikt ten, toczony na przełomie XIII i XIV w. był rozstrzygany w stolicy apostolskiej. Doszło nawet do obłożenia klarysek ekskomuniką w 1311 r. Ostatecznie sprawę zamknięto i klątwę zdjęto w r. 1313.

Co do samej parafii to można tutaj przywołać trzech znanych plebanów łąckich: Tomasza, wymienianego w 1292 r., kapelana klarysek, Wawrzyńca, pełniącego tę funkcję w latach 1325-7, Andrzej, w 1358 r. pojawiający się w roli rektora kościoła łąckiego.

---

1 Wywody przodków przedstawiane przez Franciszka Piekosińskiego i innych badaczy nie są wiarygodne i niepodważalne.

Co zaś tyczy się ówczesnej sytuacji gospodarczej to Łącko miało w owym czasie 12 łanów kmiecych. Areał ten sukcesywnie zmniejszał się. Jak wyżej wspomniano, w XIII w, w Łącku był folwark, jednak u schyłku XV w. juz go tu nie było (nie wymienia go Długosz)[2]. W Łącku znajdowała się karczma, a od drugiej poł. XVI w. były tu już dwie karczmy, po tym jak w roku 1559 ksieni starosądecka zezwoliła na budowę młyna i karczmy w przysiółku Tarnawa.

Jak czytamy w przytoczonym fragmencie Księgi uposażeń Długosza, w Łącku stał drewniany kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, a plebanem był Michał z Lipnicy. Pobierał on od kmieci dziesięcinę, a także po pięć jaj, jednym serze, dwie kiełbasy, dwa chleby – rocznie od każdego kmiecia. Ludność parafii łąckiej w pierwszej poł. XIV w. szacuje się na 930 osób. W r. 1596 i 1608 zaznaczono, że kościół znajdował się niegdyś bliżej Dunajca, lecz z powodu zagrożenia powodziami został przeniesiony na obecne miejsce. Sama parafia obejmowała w czasach Długosza następujące wsie w okolicy: Zarzecze, Czerniec, Zabrzeż, Boczów, Wietrznicę, Piskuliną Wolę, Kosnowską Wolę, Kicznię, Zawadkę (dziś nieistniejącą), Zagorzyn, Maszkowice, Szczereż, Ochotniczkę (Ochotnicę?), Wolicę i Bieniową.

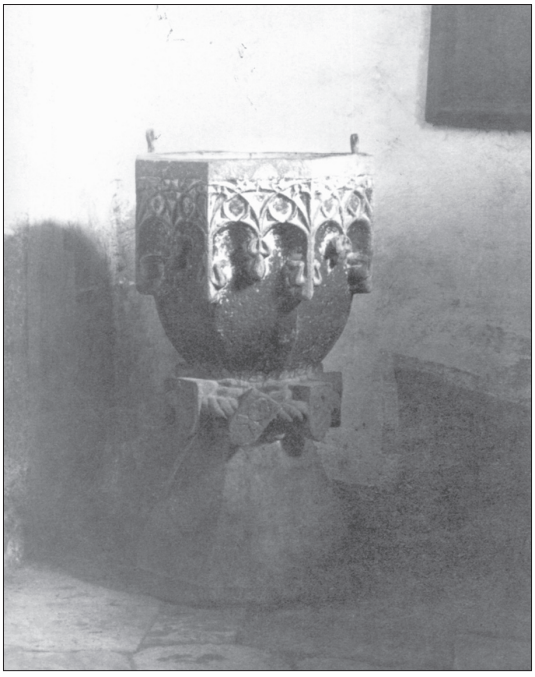

Chrzcielnica z 1493 r. Fot. S. Tomkowicz (1892 r.)

1557 ksieni Barbara Trzecieska, odnowiła akt fundacji parafii, której proboszczem był wówczas, Jakub Woszczynka.

W XVI w. w Łącko liczyło cztery i pół łana kmiecego, czterech zagrodników bez roli, jeden komornik z bydłem i dwóch komorników bez bydła. Natomiast w 1629 r. klasztor klarysek pobierał z Łącka 33 floreny 6 groszy.

Ważnym wydarzeniem w dziejach wsi była budowa murowanego kościoła, który w latach 1728–1735 przejął funkcję świątyni. Kościół drewniany zapewne rozebrano, a z jego wyposażenia, które przeniesiono do nowego budynku, warto wspomnieć kamienną chrzcielnicę z 1493 r.

2 Villa habens in se parochialem ecclesiam ligneam, Sancto Johanni Baptistae dicatam, cuius proprietas ad sanctimoniales Sandeczenses pertinet. In qua sunt duodecim lanei cmethonales, item una taberna habens agros, de quibus omnibus solvitur et conducitur decima manipularis et canapalis sanctimonialibus Sandeczensibus, et valor eius ad decem marcas aestimatur. Item ibi non est scoltetus, neque hortulaniae; item ibi plebanus non habuit agros, sed Michael de Lypnycza impensis propriis extirpavit eos, et habentur nunc satis ampli dicti Tharnowa: item plebanus habet ratione *meschne*, unam mensuram avenae, a quolibet cmethone totius parochiae suae. – J. Długosz, *Liber beneficiorum dioecesis cracoviensis*, t. 2, s. 250.

Przy kościele działała szkoła parafialna, wzmiankowana od połowy XVI w. Natomiast szpital (dla ubogich) ufundowała w maju 1576 r. ksieni starosądecka, Dorota Bylicka. W wieku XVII funkcjonował dobrze i rozbudowywał się. W 1793 r. zapisano, że był on w fazie postępującej ruiny.

Rok 1782 przyniósł wdrożenie reform cesarza Józefa II i kasatę zakonu klarysek starosądeckich. Spowodowało to przejście wszystkich dominiów pod jurysdykcję cesarską. Co prawda w kilka lat później przywrócono zakon do życia, ale jego niegdysiejsze włości już do niego nie wróciły.

Z panowaniem cesarza Józefa II wiązały się jeszcze inne zmiany, jakie odczuło Łącko – w ramach polityki cesarskiej przesiedlono do tej wsi rodziny niemieckie. Utworzono osiedle o nazwie Wiesendorf (osiedli takich w Sądecczyźnie było kilka, m.in. w Kadczy). Za sprawą proboszcza Tomasza Koraba-Pociłowskiego wioska zyskała polską nazwę Łączki. I choć w archiwum parafialnym księgi dla tego przysiółka tak właśnie są opisane, to miejscowi nie skłonili się ku żadnej z tych nazw i osiedle to zwali Niemiecką Wsią.

Kolejną istotną datą dla Łącka był rok 1835, kiedy to rząd wiedeński zdecydował się sprzedać Łącko hrabiemu Sewerynowi Drohojewskiemu. Nabył on tę ziemię w celach gospodarczych, wiążąc duże nadzieje na odnalezienie złoża legendarnego kruszcu. Jednak zawiódł się. Drohojewski nie mieszkał w Łącku, ale zarządzał nim nadal[3].

Z latami I wojny światowej nie można wiązać żadnych spektakularnych wydarzeń w tutejszym terenie, bowiem główny front nie przechodził w pobliżu. Jedynym trwale zapamiętanym akcentem z tego czasu był przemarsz strzelców pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, który 12 grudnia 1914 r. zechciał skorzystać z noclegu w łąckiej plebanii. Podczas tej wojny spłonęła znana austeria, mieszcząca się na rynku, a także szkodę poniósł kościół, z wieży którego zrzucono skonfiskowane dzwony.

W czasie II wojny światowej Łącko znajdowało się w rejonie szczególnie bogatym w działaczy partyzantki, ale ze względu, że w miejscowości tej stacjonowały różne posterunki okupanta, w samym Łącku podziemie nie było rozwinięte aż tak, jakby sobie tego życzyli mieszkańcy i działacze. Z takich aktywnych uczestników wymieńmy Tomasza Talara, Antoniego Koszuta, Piotra Myjaka, Stanisława Baziaka. Bataliony Chłopskie organizował Michał Cycoń i inni.

O Czerńcu słów kilka

Nazwa tej wsi miała wywodzić się nie tyle od czarnego lasu, ile od czernic, ostrężyn, czarnych jagód.

W 1280 r. Kinga poddała wieś klaryskom jako część uposażenia klasztoru.

Długosz podawał, że w czwartej ćwierci XV w. w Czerńcu było 7 łanów kmiecych, z których klasztor pobierał po jednym wiardunku czynszu, po jednym kogucie,

3 Drohojewski miał później odsprzedać ziemie łąckie Michałowi Aderowi, jednak ja, podczas kwerendy do dziejów Jazowska, nie napotkałem potwierdzenia tej informacji. Być może był to rodzaj zastępczej opieki, jaką sprawować nad Łąckiem miał Ader.

po 20 jaj i po dwa sery. Kmiecie byli zobowiązani odrabiać na wiosnę i jesienią powaby (robocizna na folwarku klasztornym z wiktem), oddawać 1 miarę żyta i dwie miary owsa, i 4 grosze jako sep. Istniały we wsi karczma i folwark, ale sołectwa wieś nie posiadała[4]. W 1534 r. na granicy Czerńca i Zabrzeży znajdował się młyn, będący własnością klarysek. W 1564 r. wieś oddawała sep w życie i owsie na rzecz probostwa nowosądeckiego.

W XVI w. w Czerńcu były cztery łany kmiece. W 1629 r. płacono do klasztoru 19 florenów i 6 groszy.

W XIX w. położony był na obszarze 736 mórg, a liczba mieszkańców wynosiła 342 osoby wyznania katolickiego.

Pomimo że wieś nie jest duża to spośród jej mieszkańców wielu kształciło się w Akademii Krakowskiej. Już w 1490 notuje się Jana, syna Jakuba z Czerńca, jako studenta tej wszechnicy. Również w okresie przedwojennym wielu mieszkańców z tej wsi kształciło się na Uniwersytecie Jagiellońskim: Franciszek Ćwikowski (ur. w 1881 r., syn Antoniego, studiował w latach 1902–1906 na Wydziale Filozoficznym), Jan Ćwikowski (ur. w 1879 r., syn Antoniego, studiował w latach 1910–1913 na Wydziale Filozoficznym), Stanisław Ćwikowski (ur. w 1877 r., syn Antoniego, studiował w latach 1896/1897 na Wydziale Prawa, potem przeniósł się na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie zdobył tytuł doktora praw, adwokat, znany jako poseł na Sejm Ustawodawczy w latach 1919–1922 z listy PLS „Piast"), Stanisław Ćwikowski (ur. w 1885 r., studiował w latach 1906–1908 na Wydziale Prawa oraz w latach 1907–1911 na Wydziale Filozoficznym), Jakub Kasprzak (ur. w 1890 r., syn Franciszka, studiował w latach 1911–1914 na Wydziale Prawa), Antoni Kuziel (ur. w 1891 r.,

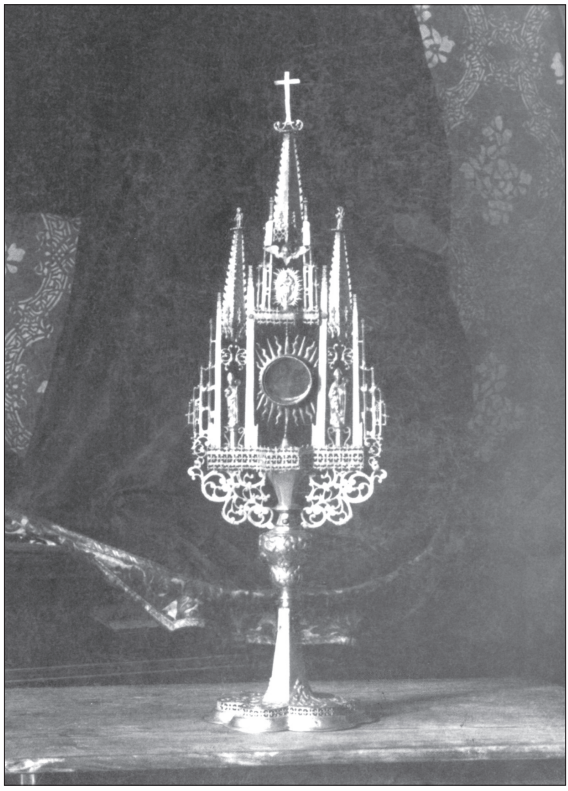

Monstrancja srebrna na cynowej podstawie w łąckim kościele. Fot. S. Tomkowicz (1892 r.)

4 Czyrnyecz, villa sub parochia de Lanczsko sita, cuius proprietas ad sanctimoniales de Antiqua Sandecz pertinet. In qua sunt septem lanei cmethonales, de quibus omnibus solvitur et conducitur decima manipularis pro sanctimonialibus in Antiqua Sandecz, et valor eius ad septem marcas aestimatur. Item tabernae, item hortulaniae, item scoltetus non est ibi. – J. Długosz, *Liber*…, op. cit.,, t. 2, s. 250.

syn Wojciecha, studiował w latach 1911–1913 na Wydziale Prawa), Wincenty Piksa (ur. w 1836 r., syn Józefa, studiował w latach 1860–1863 na Wydziale Teologicznym), Andrzej Pyka (ur. w 1891 r., syn Józefa, studiował w latach 1913/1914 na Wydziale Prawa).

W okresie II wojny światowej podziemie organizowane było gównie w przysiółku Zawodzie przez oficera rezerwy, Stanisława Siegla.

Maszkowice w zarysie

Na terenie wsi znajduje się wzniesienie zwane Grodziskiem. Badania archeologiczne datują pozostałości po tutejszym gródku na okres kultury łużyckiej, także z kultury epoki brązu i żelaza. Graniczny moment istnienia osady wyznaczają znaleziska pochodzące z pierwszych lat naszej ery (kultura puchowska). Brak jakichkolwiek znalezisk świadczących o istnieniu w tym miejscu grodu średniowiecznego, a co się wiąże z tą wiadomością, badania współczesne wykazały całkowicie fałszywy z gruntu pogląd na to, jakoby z tymi Maszkowicami związany był w jakikolwiek sposób miecznik krakowski, Zyndram.

Wieś którą z sąsiednim Łąckiem łączyła wąska skalista droga, miała zajmować równinę z żyznymi glebami, słynącymi urodzajnymi zbiorami grochu i prosa. Znana z dokumentu uposażającego klasztor klarysek (patrz wyżej). Później wiadomo, że Aleksander Jagiellończyk zezwolił niejakiemu Stanisławowi Tarnowskiemu z Poznania i Pawłowi z Gdańska na poszukiwania szlachetnych kruszców w Maszkowicach.

W 1417 r. był we wsi młyn, który klaryski oddawały w dzierżawę. Od Długosza dowiadujemy się, że w Maszkowicach było 16 łanów kmiecych i karczma z rolą. Kmiecie – podobnie jak w Czerńcu – zobowiązani byli do czynienia powab na wiosnę i jesienią, a także do opłacania czynszu klaryskom w wysokości 1 wiardunku oraz oddawali koguta, dwa sery, 20 jaj. Sep wynosił ćwierć żyta, dwie ćwierci owsa i 4 grosze. Karczmarz opłacał czynsz w kwocie 3 wiardunków. Nie było folwarku ani zagród. Dziesięcina dla biskupa krakowskiego wynosiła łacznie 14–15 grzywien[5]. Wiek później, w 1564 r., kmiecie składali się po dwóch na koguta sepnego (po 1 groszu), a każdy z nich dawał sep w wysokości ćwierci żyta i dwóch owsa.

Wieś z czasem podupadła i w czasach nowożytnych uznawana była za przysiółek Łącka. Po likwidacji dominium klasztornego zyskała nowe oblicze poprzez utworzenie osiedla niemieckiego Ernstdorf, uznawanego początkowo za odrębną wioskę, zlokalizowaną we wschodnich przysiółkach Maszkowic – Wyrąbiskach i Gawronówce. W XIX w. Maszkowice współtworzyły z Łąckiem własność hr. S. Drohojewskiego, licząc wtedy 750 mieszkańców wyznania rzymskokatolickiego.

5 Maszkowycze, villa sub parochia de Lanczsko sita, cuius proprietas ad sanctimoniales Sandeczenses pertinet. In qua sunt sedecim lanei cmethonales, item una taberna habens agros, de quibus omnibus solvitur et conducitur decima manipularis et canapalis pro episcopo Cracoviensi, et valor eius aestimatur ad quindecim marcas. Item scoltetia ibi non est, item hortulaniae non sunt. – J. Długosz, *Liber*…, op. cit.,, t. 2, s. 252.

Literatura:

1. Bieniek J., *Łącko konspiracją kwitnące*, SOW, Nowy Sącz 1988.
2. Długosz J., *Liber beneficiorum dioecesis cracoviensis*, t. 2 – Ecclesiae parochiales, Kraków 1864.
3. *Księgi sądowe wiejskie klucza łąckiego*, wyd. A. Vetulani, Ossolineum, Wrocław 1962–1963.
4. Kumor B., *Archidiakonat sądecki*, „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne", t. 9, Lublin 1964.
5. Morawski S., *Sądecczyzna za Jagiellonów*, t. 2, Kraków 1865.
6. Pawiński A., *Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym, Źródła dziejowe*, t. 14: Małopolska, Warszawa 1886.
7. Rutkowska-Płachcińska A., *Sądeczyzna w XIII i XIV wieku. Przemiany gospodarcze i społeczne*, Ossolineum, Wrocław 1961.
8. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krjów słowiańskich*, pod red. B. Chlebowskiego, W. Walewskiego, F. Sulimierskiego, Warszawa 1880–1902.
9. *Słownik historyczno-geograficzny województwa krakowskiego w średniowieczu*, wyd. PAU, Kraków.
10. Stamirski H., *Przeszłość Łącka (l. 1251–1782)*, Nowy Sącz 1966.
11. Stamirski H., *Sądeczyzna w roku 1629*, „Rocznik Sądecki", t. 3, Nowy Sącz 1957.

Adrian Poparda

Rozkwit i zanik starożytnej osady w Maszkowicach. Próba syntezy

59 m nad Maszkowicami wznosi się pradawny punkt osadniczy, po którym dziś niewiele już zostało[1]. Góra ta nosi ślady osadnictwa datowane na III okres epoki brązu[2] i jest jednym z najdalej na południe wysuniętym przyczółkiem osadniczym ludności kultury łużyckiej w Karpatach[3].

Teren, na którym wznosiła się osada ma około 80 arów powierzchni. Wierzchołek góry ma kształt zbliżony do trójkąta. Maria Cabalska prowadziła tu badania, poczynając od 1959 r. Dzięki jej wykopaliskom udało się ustalić jakimi etapami odbywało się osadnictwo na Grodzisku. Badania archeologiczne wykazały dwie fazy osadnicze ludności kultury łużyckiej[4].

Faza starsza przypada już na III okres epoki brązu, co oznacza iż można ją datować na 1200-1000 rok p.n.e.[5] Jednak odkrycie naczynia z ornamentem guzkowym i z uchem powyżej załomu pozwala przesunąć chronologię osady w Maszkowicach nawet na II okres epoki brązu.[6]

Warstwa osadnicza ciągnie się wzdłuż północnej krawędzi góry, przy czym majdan wewnątrz osady wykazuje zubożenie warstwy kulturowej widocznej w materiale archeologicznym[7]. Środek osady odznacza się tylko jamami, które są luźno rozrzucone, maja one charakter przypuszczalnie produkcyjny[8].

Znaleziona ceramika wykazuje, że największe nasilenie osadnictwa w starożytnych Maszkowicach przypada na V okres epoki brązu, czyli na lata od 800 do 650 p.n.e.[9]

Starsza faza osadnicza w Maszkowicach

W tym okresie czasu ludność osady zamieszkiwała w chatach przy północnej krawędzi wzgórza. Chaty tworzyły rodzaj ciągłego ogrodzenia, dodatkowo umocnionego rzędem słupów tworzących palisadę[10].

Przyjmując, iż grodzisko w tej fazie zajmuje około 90 m długości i 55 m szerokości i przy rozmiarze domu 30 m², a domów tych było około 45 do 55[11], liczba

1 M. Cabalska, *Pradzieje powiatu Nowosądeckiego*, Rocznik Sądecki, tom 10-11, Nowy Sącz 1969–1970, s. 113-114.
2 Dokładniejsze objaśnienia chronologii znajdują się na końcu pracy.
3 M. Cabalska, *Pradzieje*…, dz. cyt., s. 113-114.
4 Tamże, s. 113-120. Niestety nie ustalono z kim można etnicznie powiązać ludność kultury łużyckiej.
5 K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia starożytna ziem Polskich*, Warszawa 1979, s. 56.
6 M. Cabalska, *Osadnictwo kultury łużyckiej w rejonie średniego biegu Dunajca w świetle badań z Maszkowic pow. Nowy Sącz*, Prace Archeologiczne, zeszyt 5, Warszawa–Kraków 1963, s. 52.
7 M. Cabalska, *Pradzieje*…, s. 119-120.
8 M. Cabalska, *Osadnictwo*…, s. 50.
9 K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia*…, s. 56.
10 M. Cabalska, *Pradzieje*…,, s. 113-120; M. Cabalska, *Hillfort and fortified settlement of lusatian culture in Maszkowice, voivodship of Nowy Sącz*, Archaeologia Polona, tom 18, Wrocław–Warszawa–Kraków– Gdańsk 1977, s. 110-111.
11 M. Cabalska, *Osada i gród kultury łużyckiej w Maszkowicach, woj. Nowosądeckie, Prace Archeologiczne*, zeszyt 23, Warszawa–Kraków 1976, s. 61-62.

mieszkańców grodziska wynosiła około 300 głów[12]. Poszczególne chaty posiadały od 2 do 3 palenisk, a budowano je w konstrukcji sumikowo-łątkowej[13]. Technika ta polegała na wsuwaniu w rowki w pionowych słupach (łatki) zawężonych końców belek (sumików). Sumiki układano jeden na drugim tworząc ścianę[14]. Ściany wzdłużne chat były najprawdopodobniej wspólne[15]. W podobnej technice wzniesiono domostwa w najbardziej chyba znanej i współczesnej Maszkowicom osadzie w Biskupinie, istniejące około 550-400 r. p.n.e. Gród ten posiadał około 100 domostw. Technikę sumikowo-łątkowa uważano kiedyś za późniejszy wynalazek, a to ze względu na to, iż jest ona ekonomiczna i używana również współcześnie w budownictwie domów w stylu ludowym. W Biskupinie na łatkach szczytowych wspierała się belka dachu (ślemię), a cały dach był wspólny dla rzędu stojących obok siebie domów, które często miały również wspólna ścianę boczną. Jedynym źródłem światła były wejścia do domostw, dlatego miały one po 2 m szerokości i usytuowane były od najbardziej oświetlonej, południowej strony. Jako drzwi służyła pleciona z gałęzi zastawa. Powierzchnia domostw w Biskupinie wynosiła około 80 m². Na dom składały się: wąski przedsionek, duża izba, w której znajdowały się paleniska ułożone z kamienia. Podłoga wyrównywana była gliną[16].

Starsza warstwa osadnicza zawiera liczne fragmenty ceramiki, w przeważającej części użytkowej, ale znaleziono i bardziej wyszukaną cienkościenną, jak na przykład kadłub glinianego ptaszka z czarnej, cienkiej gliny[17].

Młodsza faza osadnicza

Okres lateński w Maszkowicach przynosi zmniejszenie obszaru osady oraz, co za tym idzie, uszczuplenie liczby mieszkańców. Ma to najprawdopodobniej związek ze strukturą społeczności zamieszkującej Maszkowice, jak i zapewne ogólnie całej kultury łużyckiej. Mała społeczność zamieszkująca to wzgórze, zapewne jak w okresie wcześniejszej fazy, musiała wchodzić ze sobą w bliskie powiązania rodowe, tworząc jakiś odrębny klan[18]. W tym czasie zajmuje obszar 40 na 60 m, przy liczbie domów szacowanych na 30 do 40[19]. Domy miały kształt prostokątny, o długości 6,5 na 4,5 m. Dłuższe ściany domostw dotykały się wzajemnie, choć w niektórych wypadkach możemy mieć co do tego wątpliwości. Wszystkie domostwa miały wejścia od strony majdanu[20]. Liczba mieszkańców wynosiła maksymalnie 200 osób[21]. Wraz z uszczupleniem

12 M. Cabalska, *Uwagi o problematyce osadnictwa kultury łużyckiej z terenu Sądecczyzny, Południowa strefa kultury łużyckiej i powiązania tej kultury z południem*, Kraków– Przemyśl 1982, s. 357.
13 M. Cabalska, *Pradzieje*…, s. 113-120.
14 T. Węgrzynowicz, J. Miśkiewicz, *Wędrówki po wykopaliskach*, Warszawa 1972, s. 152.
15 M. Cabalska, *Pradzieje*…, s. 113-120.
16 T. Węgrzynowicz, J. Miśkiewicz, *Wędrówki*…, s. 150-152.
17 M. Cabalska, *Pradzieje*…, s. 113-120.
18 M. Cabalska, *Hillfort*…, s. 129.
19 M. Cabalska, *Osada*…, s. 61-62; M. Cabalska, *Hillfort*…, s. 115: „We may very carefully reckon their number to have jointly been over 40.".
20 M. Cabalska, *Hillfort*…, s. 115.
21 M. Cabalska, *Uwagi*…, s. 357.

powierzchni osady wzrasta liczba znajdowanych w niej przedmiotów metalowych, nie tylko w Maszkowicach, ale i w pobliskiej Zabrzeży, które to grodzisko jest datowane na okres halsztacki[22].

Właśnie wtedy na jamach mieszkalnych i palisadzie zbudowano wał kamienny. Jednak prace archeologiczne nie wykazały przerwania ciągłości osadniczej, istnieje kontynuacja kulturowa, żadnych śladów zniszczeń[23], więc wał kamienny wzniosła ludność miejscowa. Ludność przystosowała kształt wzgórza, a mianowicie zbocza zostały ścięte, przez co uzyskano większą stromość spadu, a od strony północnej i południowej przekopano fosę, która wyodrębniła plateau góry.

Wał kamienny mierzył 7 m szerokości u podstawy, a zewnętrzne, jak i wewnętrzne lica wykonano z dużych płaskich głazów łączonych ze sobą gliną. Środek wału wypełniono drobniejszymi kamieniami, otoczakami rzecznymi, jakie i dzisiaj zalęgają nad brzegami Dunajca[24].

Powstanie takiej konstrukcji jest zjawiskiem nietypowym dla kultury łużyckiej, gdyż ludność tej kultury stosuje zazwyczaj fortyfikacje drewniano-ziemne[25]. Fakt pozostawienia tak nietypowej dla kultury łużyckiej warowni w połączeniu ze znaleziskami o wyraźnie obcej charakterystyce dla kultury łużyckiej, jak nożyce, ułomki naczyń o rodowodzie celtyckim oraz zabytki metalowe wiązane z kręgiem kultury celtyckiej i puchowskiej[26], która mogła w wyniku najazdu przyczynić się do upadku wcześniejszej osady i wzniesienia wału kamiennego[27]. Przeczą temu jednak fakty, jak ciągłość form ceramicznych do okresu lateńskiego włącznie. Niestety, powoduje to implikacje w wydzieleniu najmłodszej fazy osadniczej[28]. Śladowe ilości ceramiki puchowskiej i celtyckiej należałoby uznać za świadectwo kontaktów handlowych[29].

Według Cabalskiej wał kamienny można datować na IV-III w. p.n.e.[30] Wywnioskować można z tego, iż kultura łużycka przetrwała w głąb okresu lateńskiego, co najmniej do II wieku p.n.e.[31]

Życie codzienne

Ludność osady w Maszkowicach zajmowała się najprawdopodobniej uprawą roślin[32]. Potwierdza to znalezisko dwóch kopaczek kościanych z przewierconymi ozdobami. Należałoby tu ogólnie scharakteryzować poglądy na gospodarkę rolną tamtego okresu. System uprawy ziemi nie jest do końca znany. Z jednej strony duże nasilenie

22 M. Cabalska, *Pradzieje*…, s. 119-123.
23 M. Cabalska, *Osadnictwo*..., s. 55.
24 Tamże, s. 50.
25 Tamże, s. 55.
26 M. Cabalska, E. Nosek, A. Mazur, *Wyroby żelazne ze stanowiska kultury łużyckiej w Maszkowicach*, Przegląd Archeologiczny, tom 19/20, Wrocław 1971, s. 72.
27 M. Cabalska, *Pradzieje*…, s. 113-120.
28 M. Cabalska, E. Nosek, A. Mazur, *Wyroby*…, s. 72.
29 M. Cabalska, *Osadnictwo*…, s. 55.
30 M. Cabalska, E. Nosek, A. Mazur, *Wyroby*…,, s. 72.
31 Tamże, s. 72.
32 M. Cabalska, *Osadnictwo*..., s. 63.

pożarów w warstwach palynologicznych torfowisk okresu subatlantyckiego, który odpowiada okresowi trwania kultury łużyckiej, wskazuje na system wypaleniskowy. Przeciw takiemu stanowi rzeczy wypowiadają się jednak dowody archeologiczne, jak znaczna gęstość osadnictwa i mała odległość pomiędzy dużymi i długo użytkowanymi cmentarzyskami z tamtego okresu[33].

Najprawdopodobniej życie ludności warowni w Maszkowicach koncentrowało się na zdobyciu pożywienia z uprawianych pól. Pola najprawdopodobniej należały do ogółu społeczności, która była ze sobą, z dużym stopniem prawdopodobieństwa, silnie związana przez przynależność do jednego rodu czy klanu[34].

Znajomość uprawy roślin przez ludność kultury łużyckiej poświadczona jest znaleziskami ziaren zbóż, wśród których główną rolę odgrywa proso, pszenica, występuje też jęczmień, natomiast żyto występuje w znaleziskach archeologicznych nielicznie, dopiero w schyłkowym okresie trwania kultury łużyckiej nabiera ono większego znaczenia. Na terenie zajmowanym przez tą kulturę stwierdzono też rośliny strączkowe, jak groch, bób, soczewicę. Znano także mak, lnicznik siewny, rzepę oleistą, len i – co nie jest do końca pewne – śliwę i czereśnię. Być może obok uprawy roślin strączkowych występowały uprawy roślin okopowych, niestety nie są one uchwytne w materiale archeologicznym.

Sama technika uprawy roli jest poświadczona licznymi znaleziskami, między innymi w Biskupinie. Chodzi tu o znalezisko radła krzywogądzielowego i rylcowego oraz liczne narzędzia motykowe wykonane z rogów jeleni. Potwierdzają to alpejskie i skandynawskie rysunki naskalne przedstawiające te narzędzia. Oprócz tego znano sierpy z brązu, w późniejszym okresie zastąpione przez sierpy żelazne.

Dużą rolę oprócz uprawy ziemi odgrywała również hodowla zwierząt, łowiectwo, zbieractwo i rybołówstwo. Szacuje się, że bydło rogate zajmowało pierwsze miejsce (około 50% ogólnego udziału szczątków kostnych), na dalszych miejscach plasuje się chów świń, owiec, kóz i koni.

Trzeba jednak podkreślić, że mimo liczebności znalezisk zwierząt dzikich wśród szczątków innych zwierząt (wynosi ona około 20%), może być to szacunek zaniżony, gdyż zazwyczaj nie przynoszono do osady całości tusz upolowanej zwierzyny.

Dużą rolę odgrywało zbieractwo, o czym świadczą liczne znaleziska szczątków roślin dzikich[35].

W samych Maszkowicach znaleziono liczne szczątki kości zwierzęcych. Dominują tu kości bydła długorogiego, obok kości świń. Ze zbóż znaleziono jęczmień[36]. Niektórzy badacze są skłonni uznać, iż właśnie bydło mogło być obok brązu ekwiwalentem w wymianie handlowej[37]. Przy obecnym stanie badań, wnioskujemy, że

33 K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia*…, s. 78-79.
34 M. Cabalska, *Hillfort*…, s. 129.
35 K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia*…, dz. cyt., s. 78-79.
36 M. Cabalska, *Z badań nad najstarszą ceramiką zdobioną ornamentem guzowym z terenu Małopolski w świetle materiału z Maszkowic*, Prace Archeologiczne, zeszyt 18, Warszawa– Kraków 1974, s. 43; M. Cabalska, Uwagi…, s. 358.
37 K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia*…, s. 80.

starożytny krajobraz w dolinie Dunajca nie wykazywał wcale dominacji lasów i tym był zbliżony do sytuacji obecnej. Areał ziemi uprawnej, jaki musiał przypadać na jednostkę osadniczą był mniejszy niż na innych obszarach zaludnionych przez kulturę łużycką, bardzo przypominając stan ilościowy z terenu Słowacji (Orawa). Dunajec pełnił rolę buforową, ograniczając przestrzeń ziem uprawnych i pastwisk okolicznej ludności[38].

Inna sfera działalności gospodarczej mieszkańców Maszkowic starożytnych wiąże się z eksploatacją solanki. Miejscowe źródło solanki znajdowało się naprzeciwko Grodziska, u stóp wzgórza Kamienica. W mokradle o nazwie Solnisko w trakcie prac budowlanych znaleziono fragmenty naczyń kultury łużyckiej[39]. Nie było by to niczym niezwykłym, gdyż analiza usytuowania osad kultury łużyckiej wykazała, iż sytuowano je często w pobliżu naturalnych źródeł solanki[40].

Źródła takie występują nawet w znacznym oddaleniu od podziemnych złóż soli, mogą bowiem przemieszczać się pod powierzchnią ziemi. Takie usytuowanie osadnictwa w pobliżu źródeł słonych miało zapewne olbrzymie znaczenie nie tylko dla ludzi, ale i zwierząt hodowanych przez niego, dostarczając cennego minerału[41].

Ciekawym zagadnieniem jest penetracja Podhala przez ludność czy to z samych Maszkowic, czy też Sądecczyzny. Ten tak bliski Sądecczyźnie obszar nie posiada co prawda, w świetle dotychczasowych badań, śladów osadnictwa, od epoki brązu aż po wczesne wieki średnie. Dziwne wydaje się to, ponieważ zdaniem badaczy, odtwarzających środowisko naturalne na podstawie próbek palynologicznych, ten obszar wykazuje obecność pyłków zbóż. Co dziwniejsze, nastąpiło to od około 1050 r. p.n.e. i trwa w sposób ciągły do czasów współczesnych. Pyłkom zbóż towarzyszą pyłki roślin synantropijnych, czyli związanych z działalnością człowieka[42]. Najprawdopodobniej ludność Zabrzeży i Maszkowic starożytnych organizowała wyprawy na Podhale. Ich wędrówka w te rejony wiązała się z wyrębem tamtejszych lasów i wysiewem zbóż. Zapewne polowano także na dziką zwierzynę podhalańską, o czym zdają się świadczyć znalezione w Maszkowicach liczne drobne narzędzia kamienne.

Istnieje jednakże inny kierunek, z którego mogła przybyć ludność penetrująca Podhale. Na południe bowiem od omawianego obszaru rozwijała się w tym czasie inna grupa kultury łużyckiej, obejmująca północną Słowację[43].

---

38 A. Żaki, *Problem starożytnych fortyfikacji w Sądeckiem*, Rocznik Sądecki, tom 7, Nowy Sącz, s. 375.

39 M. Cabalska, *Z badań osady ludności kultury łużyckiej w Maszkowicach*, Sprawozdania Archeologiczne, tom 22, Warszawa–Wrocław– Kraków 1970, s. 98.

40 M. Cabalska, *Uwagi*…, s. 357.

41 M. Cabalska, *Użytkowanie źródeł słonej wody na Sądecczyźnie w najdawniejszych czasach*, Kwartalnik Historii Kultury materialnej, tom 19, Warszawa 1971, s. 431.

42 M. Cabalska, Pradzieje Nowego Targu i okolicy, Dzieje miasta Nowego Targu, Nowy Targ 1991, s. 25.

43 Tamże, s. 26.

Zabytki metalowe

Analiza chemiczna znalezisk metalowych (głównie żelaznych) wykonana przez pracownię Muzeum Archeologicznego, przy współpracy Katedry Metalografii i Obróbki Cieplnej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, wykazała, iż na 19 przebadanych przedmiotów tylko dwa posiadały stosunkowo niewielką zawartość miedzi. Ilość miedzi oraz występowanie takich pierwiastków, jak nikiel i chrom, wskazuje na rudę, w której te pierwiastki musiały występować. Równocześnie analiza zawartości fosforu w żelazie wskazuje na to, iż wykonano je, z wyjątkiem jednego, z żelaza dymarskiego o niskiej zawartości fosforu. Biorąc pod uwagę fakt, iż techniką taką mogły dysponować ośrodki o długiej tradycji i lepszej technice niż występująca w tym czasie w Polsce oraz, że rudy powierzchniowe rudy żelaza w naszym kraju nie posiadają miedzi, chromu i niklu w takich ilościach, jak wykazała analiza, możemy określić, iż surowiec użyty do produkcji tych przedmiotów jest importem z zachodniej Europy. Nie można też wykluczyć, że niektóre przedmioty mogły dostać się do Maszkowic już w formie gotowej, jak na przykład nożyce, z ośrodków celtyckich w Nadrenii, Lotaryngii, Alzacji czy Szwajcarii[44]. Jednak o miejscowej produkcji metalurgicznej świadczy żużel, wykryty tutaj jako pierwsze takie znalezisko w Polsce południowej[45]. Znaleziono trzy ułamki żużla w obrębie chat, jednak ani pieca dymarskiego, ani śladów po jego obecności nie stwierdzono. Żużel jest więc śladem po miejscowych kowalach, przerabiających metal, a nie śladem po wytopie żelaza z rud darniowych. Innym dowodem na przerabianie metalu jest znaleziony kęs żelazny, wagi 875.5 g. Jest to drugi kęs znaleziony w Polsce, znaleziony w osadzie kultury łużyckiej. Pojawienie się takiego zabytku łączy się najczęściej z wytwórczością Celtów. Wynika z tego, że znalezisko ma charakter importu[46].

Co można powiedzieć o samych przedmiotach? Są one silnie przeżarte rdzą ze względu na płytką warstwę kulturową, w której zalegały. Wiele z nich nie udało się przeanalizować, gdyż uległy znacznemu zniszczeniu. Dotychczasowe prace wykopaliskowe odkryły blisko czterdzieści przedmiotów metalowych. Są to między innymi liczne ułomki i fragmenty szpil, żużla, pręta, bransolet. Z ciekawszych znaleziono nagolennik wykonany z grubego pręta, nóż żelazny z wyodrębnionym trzonkiem i łukowato wygiętym grzbietem, dobrze zachowaną bransoletę, siekierę żelazną o ostrzu trapezowym, ogniwo łańcucha, fragment siekiery z tuleją, wspomniany wyżej kęs żelazny i nożyce[47].

Warto dodać, że w pobliskiej Zabrzeży również dokonano odkryć przedmiotów żelaznych. Stanowisko to leży na ostatnim obniżeniu pasma górskiego między Kamienicą a Czarnym Potokiem, wpadając do doliny Dunajca i Kamienicy. Wznosi się na 78 m nad poziom szosy Nowy Sącz–Krościenko. Prace archeologiczne wyka-

44 M. Cabalska, E. Nosek, A. Mazur , *Wyroby*…, dz. cyt., s. 53-62.
45 M. Cabalska, *Osadnictwo*…, s. 63.
46 M. Cabalska, E. Nosek, A. Mazur , *Wyroby*…, dz. cyt., s. 70.
47 Tamże, s. 53-60.

zały tu dwie fazy osadnictwa, kultury łużyckiej i grodu wczesnośredniowiecznego. Warstwa kultury łużyckiej zawiera liczne ilości skorup, kości oraz muszli ślimaków. Poziom ten został jednak silnie zniszczony przy budowie gródka wczesnośredniowiecznego.

Znaleziska żelazne związane z kulturą łużycką to 7 przedmiotów. Są to: obręcz do okucia osi wozu, siekierka z tulejką, dwa groty oszczepów, wędzidło, dwa noże. Niektóre z nich są przedmiotami rzadko występującymi w kulturze łużyckiej. Bardzo rzadkie na terenie Podkarpacia są groty oszczepów. Podobne groty znaleziono w Świdniku, powiat Nowy Sącz.

Wszystkie przedmioty wykonano z metalu dymarkowego, o nieco podwyższonej zawartości manganu. Niska jest zawartość fosforu miedzi i niklu, wyklucza to import na przykład z terenu Czech[48]. Ciekawym znaleziskiem jest ułamek ozdoby wykonanej z brązu, znaleziony w pobliżu kamiennego wału. Ozdoba ta składa się z dwóch płaskowypukłych wałkowatych gałek pokrytych silną, ciemnozieloną patyną. Dwie, nierównej wielkości gałki, przytwierdzone są do pręta o szerokości 8 mm i grubości 6 mm. Pręt jest lekko wygięty, a gałki zamocowane są w odległości około 9 mm, większa ma długość 6 cm, szeroka jest na 2,3 cm. Mniejsza ma długość 5.5 cm, szeroka zaś jest na 2.5 cm, a przy końcu pręta na 1 cm. Cały ułamek waży 5,3 g. Tego typu ozdoba nie została odnaleziona na terenie Polski. Nie można też dokładnie określić rodzaju tej ozdoby, ze względu na jej fragmentaryczne zachowanie. Wielkość wskazywać może na bransoletę lub nagolennik. Podobne fibule i naramienniki występują na obszarze Karpat i stanowią świadectwo wpływów greckich na ludy celtyckie i trakodackie. Najbliższe podobne do ozdoby z Maszkowic możemy znaleźć na Słowacji i Siedmiogrodzie. Cabalska porównała ja z dwiema brązowymi fibulami z terenu Słowacji. Oba okazy ze Słowacji posiadają lite soczewkowate gałki podobne do tych, znalezionych na ułamku w Maszkowicach. Fibula z miejscowości Slovenske Pravno zdobiona jest siedmioma gałkami, zmniejszającymi się proporcjonalnie na wygiętej nóżce. Poszczególne gałeczki pokrywają pręt w taki sposób, że nie jest on widoczny. Zapinka jest zachowana w stanie bardzo dobrym i podobnie, jak ta z Maszkowic pokryta patyną. Jej długość to 13,5 cm. Druga słowacka zapinka to gorzej zachowana fibula z miejscowości w okresie Trencie, z odłamaną sprężynką. Okaz ten ma 14,5 cm, z sześcioma gałeczkami zdobiącymi odgiętą nóżkę. Różni się on jednak od tego z Maszkowic tym że, posiada zgrubienie pręta pomiędzy gałeczkami. Oba okazy stanowią jednak bliską analogię do ułamka z Maszkowic. Główne różnice to przede wszystkim długość i wielkość gałek na pręcie. Gałki z ułomka z Maszkowic są znacznie większe niż te ze Słowacji. Próba rekonstrukcji ozdoby jako fibuli daje nam ozdobę o długości prawdopodobnie 26 cm, przy wysokości około 3,5-5 cm. Jednak byłaby to ciężka ozdoba o wadze około 22 dag, co według Cabalskiej jest masą za dużą do noszenia, chyba że była to ozdoba kamiennego posągu lub fibula była darem

48 M. Cabalska, E. Nosek, *Zabytki żelazne ze stanowiska kultury łużyckiej w Zabrzeży*, Materiały Archeologiczne, tom 9, Kraków 1968, s. 289-308.

wotywnym, wykonanym tylko w takim celu. Powyższa rekonstrukcja nie jest jednak łatwa, bo najbliższe fibule podobne do słowackich, na podstawie których zrekonstruowano ułomek z Maszkowic jako zapinkę, występują w Dacji, ale są to srebrne fibule zdobione gałkami na kabłąku.

Skarby z takimi fibulami datowane są na I w. p.n.e. Znaleziono je na terenie Mołdawii, Transylwanii, Oradei, czyli obszarze ściśle związanym z Dakami. Ozdoby te były chętnie noszone, gdyż znane są z wyobrażeń nagrobnych. Formy te przetrwały po podboju Dacji przez Rzym. Masa ozdób dochodzi do 140 g, więc były to drogie, srebrne fibule. Zapinki składają się z nierównej wielkości okrągłych gałek, a podobna do nich fibula znaleziona została w Hiszpanii, w miejscowości Monsato da Beira, jednak o cechach wskazujących na wpływy celtyckie. Również fibule Tesalskie ze świątyni w Pherai wykazują pewne podobieństwo. Są duże (od 14,6 do 20,1 cm) i ciężkie (jeden okaz o masie 2 kg).

Fibule ze Słowacji i Maszkowic również należą do dużych ozdób. Ma to związek z upodobaniem w okresie młodszego halsztatu do dużych ozdób, np. u Celtów noszono ciężkie fibule, dlatego okazy z Maszkowic i Słowacji nie są wcale tak wyjątkowe. Prawdopodobnie fibula z Maszkowic wskazuje na kierunek wycofywania się Celtów wzdłuż doliny Wagu aż do Maszkowic, po klęsce w walce z Dakami i ma związek z kultura puchowską.

Rekonstrukcja ułomka z Maszkowic jako bransolety lub nagolennika również daje nam kilka wątpliwości, jeśli chodzi o możliwość noszenia takiej ozdoby. W takim wypadku analogią mogły by być związane ze wschodnimi Celtami charakterystyczne bransolety. Jednak różnią się wielkością i sposobem wykonania w stosunku do fragmentu ułomka z Maszkowic, natomiast znajdują odniesienie na terenie Słowacji, w tym na przedpolu Bramy Morawskiej.

Według Cabalskiej, nie można jednoznacznie powiedzieć czy fragment ułomka z Maszkowic to fibula czy bransoleta. Wskazanie, że jest to bransoleta lub nagolennik, wskazałoby na środkowy laten jako okres powstania ozdoby. Jeśli określimy fragment ułomka jako fibulę, to czas jej powstania byłby analogiczny jak powstania omawianych wyżej zapinek ze Słowacji, czyli na lata drugiej polowy I w. p.n.e. Potwierdza to fakt, że ułomek z Maszkowic zalegał w warstwie z ceramiką kultury puchowskiej. Na innych obszarach, będących pod wpływem kultury puchowskiej, zaistniała potrzeba tworzenia ciężkich i drogich ozdób podkreślających rangę społeczną, może religijny status posiadacza[49].

Trzeba by tu jeszcze wspomnieć o ozdobach znanych nam z Łososiny Dolnej. Znaleziono tam bowiem podczas prac melioracyjnych w 1967 r., w pobliżu południowej części wioski Łososina Dolna, ciężki naszyjnik wykonany z brązu. Znajduje się on obecnie w muzeum w Nowym Sączu[50]. Ozdoba ma średnicę 27 cm, grubość

49 M. Cabalska, *Ułamek ozdoby z Maszkowic, woj. Nowy Sącz, fibula czy bransoleta?*, „Acta Archaeologica Carpathica", t. 23, 1984, s. 163-171.

50 Numer inwentaryzacyjny 4586.

od 3,1-4,2 cm. Jest to naszyjnik lity, zamknięty, zdobiony głównie pasmami linii i nacięć, na przemian z pasmami kątów nasuwanych na siebie. Naszyjnik tego typu jest pierwszym, znalezionym w zachodnich Karpatach polskich. Najbliższe podobne odnaleziono w dorzeczu Sanu i Wisłoka oraz na Wyżynie Małopolskiej w Wojniczu i Międzygórzu. Jak sugeruje Andrzej Żaki, produkcja tych stosunkowo rzadkich form zdobniczych ogranicza się tylko do obszaru Małopolski. Chronologicznie, ten ciężki naszyjnik z brązu zamyka się w V okresie epoki brązu[51].

Ceramika

Ceramika z Maszkowic odznacza się charakterystyczną cechą, jaką są guzy umieszczone poniżej załomu naczynia, obwiedzione potrójnymi albo poczwórnymi żłobkami, a przy nasadzie szyjki występuje kolankowato zgięte uszko. Charakterystyczne są tutaj kubki w dwóch odmianach, cylindrycznej i doniczkowatej, wszystkie zaopatrzone są w małe wałeczkowate uszka[52]. Znaleziono też ręcznie lepiony kubek związany z kulturą puchowską[53].

Podstawowym motywem zdobniczym garnków są sęczki guzkowate i podłużne. Pewna ilość garnków i niektóre misy miały powierzchnię pokrytą odciskami i zadrapaniami, co określono jako ornament tekstylny. Materiał ceramiczny z Maszkowic nie ma ścisłego odpowiednika na terenie Polski[54]. Jako ciekawostkę wymienić należy dwie skorupy naczyń o charakterze puchowskim, z facetowatym brzegiem, znalezione w pobliżu wału kamiennego, względnie w jego rozsypisku[55]. Naczynia z Grodziska dzielą się na kilka podstawowych typów, jak amfory, garnki, misy, dzbany, małe naczyńka i kubki. Właściwie podstawowym typem naczyń występującym w Maszkowicach są garnki. Stanowią one około 70% całej zebranej masy ceramicznej. Odznaczają się one znaczną różnorodnością form odnośnie kształtów. Wyróżnić można garnki o profilu esowatym, baniaste, tulipanowate, wiadrowate. Również duża liczba mis to cecha wyróżniająca ten zespół. Amfory, dzbany, kubki i małe naczynka i naczynka sitowate stanowią około 30% ceramiki wydobytej na tym stanowisku. Wspomniany ornament guzowy zdobi większość kubków i amfor. Posiadają one jako motyw zasadniczy guz, któremu dodatkowo towarzyszą dodatkowe żłobki gładzone i ryte. Pozornie jednolite guzy dają się podzielić ze względu na sposób wykonania oraz motywy towarzyszące na trzy zespoły. Do pierwszego należą guzy wypychane od wewnątrz, umieszczone na krawędzi załomu. Drugą grupę tworzą płaskie, rozlane guzki nalepiane, otoczone pojedynczą a rzadziej podwójną linią gładzoną. Występuje ona często na kubkach cylindrycznych małych i dużych, zdobiąc je dwoma pasami występującą pod

51 B. Sikora, *Ciężki naszyjnik brązowy z Łososiny Dolnej*, pow. Nowy Sącz, Acta Archaeologica Carphatica, tom 11, Kraków 1969, s. 127-128.
52 M. Cabalska, *Z badań nad najstarszą ceramiką*…, s. 91-92.
53 M. Cabalska, *Z badań osady ludności* …, s. 94.
54 M. Cabalska, *Z badań nad najstarszą ceramiką*…, s. 91-92.
55 M. Cabalska, *Osadnictwo*…, s. 53.

krawędzią i przy dnie. Trzecia odmiana ornamentu guzowego jest najliczniejszą występującą. Stanowią ją wysokie, piramidalne guzki nalepiane, uformowane kolistym ruchem i wyodrębnione żłobkiem dookolnym[56].

Upadek kultury łużyckiej na Sądecczyźnie

W dziejach osadnictwa w Maszkowicach starożytnych przewija się co jakiś czas „wątek celtycki", który wciąż powraca, czy to w problemie przynależności etnicznej, czy odkrywanych zabytków, a wraz z tym zagadnieniem pytanie dotyczące końca osadnictwa na Grodzisku w Maszkowicach. Swego czasu literatura wiązała upadek osady w Maszkowicach z najazdem ludności z kręgu kultury puchowskiej[57], na którą silnie oddziaływali Celtowie. Upadek Maszkowic jest fragmentem zaniku kultury łużyckiej, przypisywanej również najazdom koczowniczych Scytów, którzy zajmowali w VII-III w. p.n.e. tereny stepowe nad Morzem Czarnym. Ich charakterystyczna broń – trójgraniaste groty strzał – znajduje się w spalonych grodach Słowacji, Węgier, a zabytki o charakterze scytyjskim występują aż po Francję. W Polsce niektóre spalone grody noszą ślady bytności Scytów; znajdujemy rogowe, kamienne i żelazne groty ich strzał, tkwiące jak na przykład w Strzegomiu, w zewnętrznych obwarowaniach grodu. W Kamieńcu pod zgliszczami spalonej bramy odnaleziono szkielety ludzi i koni, prócz tego znajduje się brązowe okucia scytyjskich sztyletów (akinakes), złote przedmioty i uprzęże o tym samym pochodzeniu. Fakty te interpretuje się jako najazdy Scytów, którzy pod koniec V w. p.n.e. doprowadzili do upadku niektóre ośrodki kultury łużyckiej. Interpretacja ta jest podważana przez część badaczy, na przykład w kwestii militariów scytyjskich, które mogły być też wykorzystywane przez miejscową ludność w walkach międzyplemiennych. Najazdy mogły ewentualne spowodować osłabienie i wyniszczenie ludności kultury łużyckiej. Pewną rolę odgrywało zapewne przerwanie kontaktów z południem, na skutek upadku dalekosiężnego handlu brązem i niepokoje wywołane przez wędrówki Celtów. Jak na razie możemy z całą pewnością powiedzieć, iż mamy poświadczone blisko 1000 lat obecności ludności kultury łużyckiej na Sądecczyźnie (Maszkowice)[58].

Na południu Polski obserwujemy zanik osadnictwa kultury łużyckiej[59], jak ma to miejsce w Maszkowicach w II wieku p.n.e.[60], lecz dokładna data nie jest możliwa do ustalenia, być może miało to miejsce w początkach naszej ery.

---

56 M. Cabalska, *Z badań nad problematyką najstarszej ceramiki zdobioną ornamentem guzowym z terenu Małopolski w świetle materiału z Maszkowic*, Slovenska Archeologia, tom 22, Bratysława 1974, s. 43-49.
57 A. Kakowski, *Starożytna Polska*, Warszawa 2005, s. 221.
58 M. Cabalska, *Hillfort*…, s. 126.
59 K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia*…, s. 84-88.
60 M. Cabalska, E. Nosek, A. Mazur, *Wyroby*…, s. 72.

Chronologia	Epoka	Okresy	Sądecczyzna
Początki n.e.	Epoka żelaza	Późny (A)	Prawdopodobny upadek Maszkowic. Ok. 50 p.n.e. ceramika puchowska w Maszkowicach?
	Epoka żelaza	Lateński środkowy	Podegrodzie
	Epoka żelaza	Przedrzymski wczesny	
400 p.n.e.	Epoka żelaza	Halsztacki D	
	Epoka żelaza	Halsztacki C	Rozwój osad w Marcinkowicach i Maszkowicach. Cmentarzysko w Starym Sączu
700 p.n.e.	Epoka brązu	V	Największe nasilenie osadnictwa w Maszkowicach (800-650 p.n.e.)
	Epoka brązu	IV	
	Epoka brązu	III	Rozpoczyna się penetracja Sądecczyzny przez ludność kultury łużyckiej, do IV okresu ery brązu. Starsza faza osadnicza w Maszkowicach (od ok. 1200-1000 p.n.e.)
	Epoka brązu	II	Prawdopodobnie najstarsze ślady osadnictwa kultury łużyckiej w Maszkowicach (fragment naczynia z uchem powyżej załomu)
1900 p.n.e.	Epoka brązu	I	

Tabela 1. Wybrane wydarzenia na Sądecczyźnie[61]

61 Chronologia na podstawie: K. Godłowski, J. Kozłowski, *Historia starożytna ziem Polskich*, Warszawa 1985, s. 22.

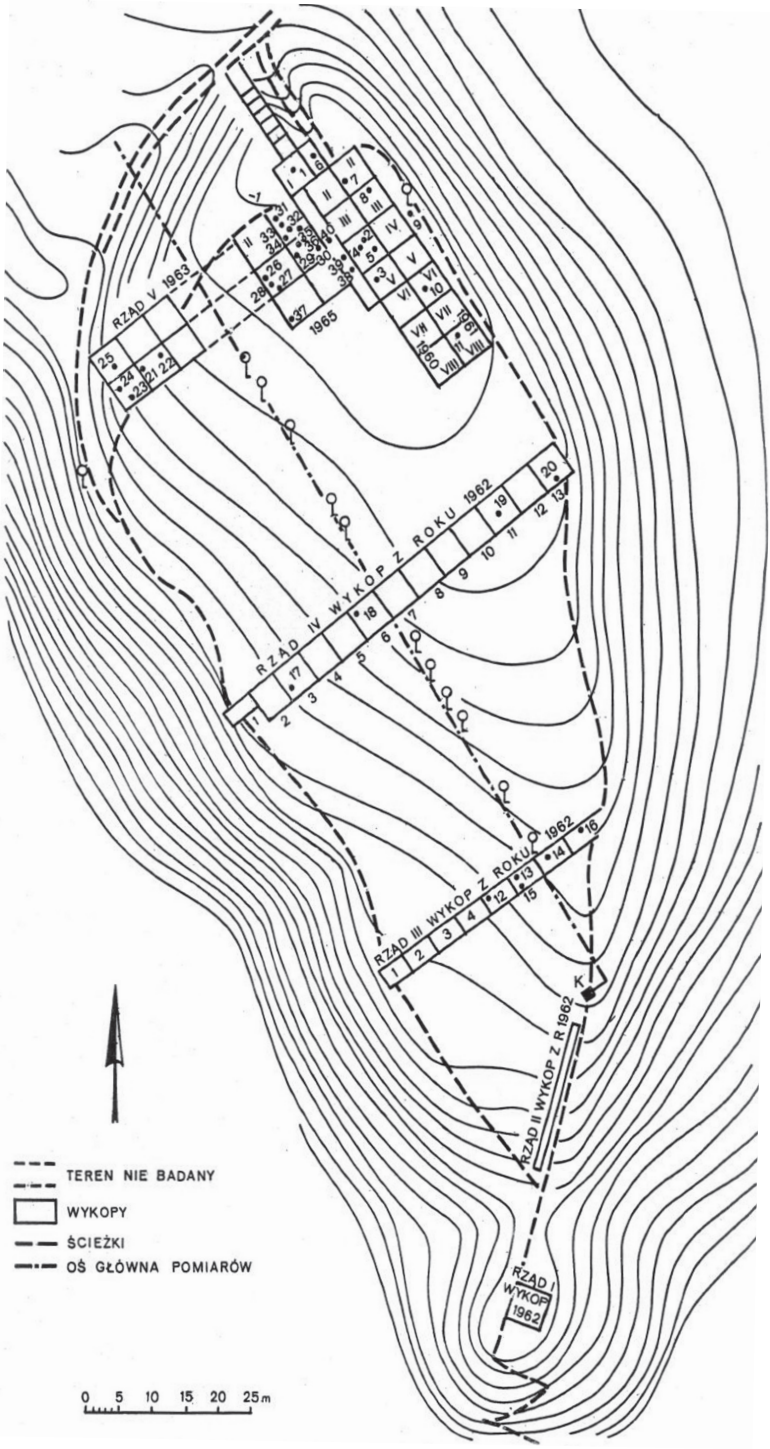

Maszkowice, pow. nowosądecki. Plan warstwicowy

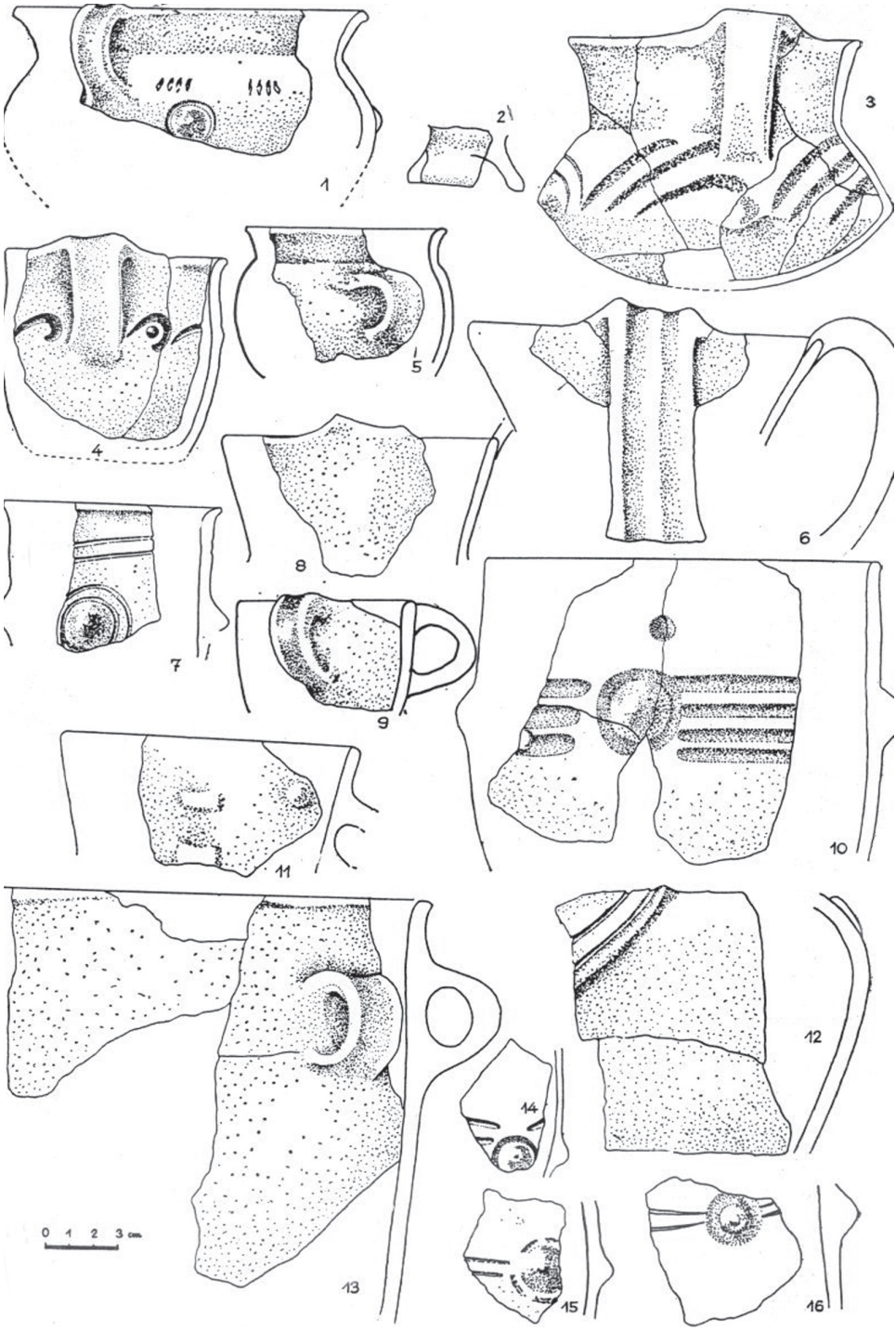

Ceramika z Maszkowic

Andrzej Rozmus

Historia zorganizowania i powstania Ruchu Strażackiego Ochotniczej Straży Pożarnej w Łącku

120 lat w dziejach świata – to niezbyt długi okres. Ale dla społecznej organizacji, jaką jest Ochotnicza Straż Pożarna – to bardzo wiele. Właśnie 120 lat temu, w 1889 roku, kilku prężnych obywateli Łącka, postanowiło założyć zorganizowane struktury do walki z żywiołem ognia, wody i powietrza. W ten sposób narodziła się tradycja, która przekazywana jest na kolejne pokolenia, sprawia, że strażacki mundur założyło wiele setek mieszkańców Łącka spiesząc z pomocą innym, a także dając na przestrzenia lat dowód wielkiego patriotyzmu, odwagi i bezgranicznego poświęcenia.

Również dziś ochotnicy z Łącka ratują życie i mienie, kultywują tradycje, włączają się w życie społeczne, religijne swojej „małej ojczyzny".

Lokalizacja Łącka przypada na 1227 rok, pod koniec panowania księcia Leszka Białego. Miejscowość wraz z okolicznymi wioskami stanowiła tzw. „klucz łącki", który został wydzielony z dóbr królewskich i oddany przez księcia Bolesława Wstydliwego swojej żonie Kindze fundatorce i późniejszej księżnej Sióstr Klarysek w Starym Sączu. Po raz pierwszy Łącko pojawiło się w dokumentach 1251 roku. Wówczas kasztelan sądecki Wydżga (właściciel zamku w Czorsztynie i Rytrze) sprzedał wieś Bożogrobcom z Miechowa. W 1268 roku wieś znalazła się w rękach księżnej Kingi, wdowy po Bolesławie Wstydliwym, która zakładając zakon Klarysek w Starym Sączu obdarowała go „kluczem Łąckim". Klaryski były w pożądaniu tych terenów, aż do kasaty zakonu przez Austriaków w końcu XVIII wieku.

Jeszcze przed wybuchem I wojny światowej planowano przeprowadzenie doliną Dunajca linii kolejowej łączącej Nowy Sącz ze Szczawnicą, a następnie przeniesienie do Łącka sądu powiatowego i utrzymanie starostwa. Realizacje tych zamierzeń przekreślił wybuch I wojny światowej.

Łącko jest dużą wsią letniskową, której charakterystycznym elementem krajobrazu są sady, które należą do najstarszych w województwie.

Doroczną atrakcją gromadzącą rzesze sympatyków Łącka jest Święto Kwitnącej Jabłoni a drugą co do wielkości imprezą jest Święto Owocobrania. W trakcie tych dni nie brakuje oczywiście imprez towarzyszących.

Ochotnicza Straż Pożarna należy do najstarszych na Sądecczyźnie. Została założona już w 1889 roku. Był to okres kiedy Polska południowa zwana Galicją wchodziła w skład krajów zagarniętych przez cesarską Austrię. Władze zaborcze nie troszczyły się o rozwój i bezpieczeństwo pożarowe na podległych im ziemiach. Mieszkańcy Łącka podobnie jak pozostała część społeczeństwa polskiego żyli wówczas w biedzie, poniżeniu i zacofaniu. Ludność nękana częstymi pożarami ubożała, a łatwopalne, drewniane budynki kryte strzechą były łatwym łupem dla „czerwonego kura". W takich warunkach światlejsi obywatele Łącka, chcąc zapobiec dotkliwym stratom po-

wodowanym przez pożary, postanowili zorganizować samoobronę przeciwpożarową i założyć – także z pobudek patriotycznych – Ochotniczą Straż Pożarną, która była wówczas jedyna polską organizacją tolerowaną przez ówczesne austriackie władze zaborowe.

Inicjatorami powołania straży byli ówczesny burmistrz miasteczka Pantaleon Lenartowicz a także Józef Zygadło, Józef Linder, Filip Jakub, Jan Maurer senior, Tomasz Faron, Franciszek Mozdyniewicz, Michał Chrobak i Zygmunt Wadowski. Pierwszym naczelnikiem zorganizowanej jednostki strażackiej w Łącku został miejscowy organista – Józef Zgadło, a jego zastępcą i instruktorem – Józef Linder, miejscowy rolnik. Drużyna liczyła w tym czasie 16 członków.

Funkcję pierwszego prezesa nowo powołanej organizacji powierzono z wyboru Pantaleonowi Lenartowiczowi, burmistrzowi Łącka, które zostało podniesione do rangi miasteczka przez władze austriackie prawdopodobnie po to, by stworzyć podstawę do ściągnięcia z jego mieszkańców wyższych podatków.

W 1910 roku Straży w Łącku został wręczony sztandar ufundowany ze składek druhów. Stało się to podczas uroczystości 20-lecia istnienia straży połączonych z jubileuszem 500. rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem. Obchody tego święta odbyły się w lipcu na Górze Zyndram w Maszkowicach, a poczet sztandarowy Ochotniczej Straży Pożarnej godnie reprezentował brać strażacką w tej wielkiej patriotycznej manifestacji. Uroczystości związane z wielkim narodowym jubileuszem stały się doskonałą okazją do powszechnego wzbudzenia wśród Polaków świadomości narodowej oraz przypomnienia najchlubniejszych dziejów chwały polskiego oręża.

Trzy lata później miejscowi ochotnicy mieli do dyspozycji nowoczesna jak na ówczesne czasy, czterokołową sikawkę ręczną ufundowaną przez społeczeństwo, a udana akcja gaśnicza płonącego kompleksu zabudowań austerii (karczmy) w 1918 roku udowodniła konieczność istnienia sprawnej i dobrze wyposażonej struktury strażackiej w Łącku. Akcja ratowniczo-gaśnicza miejscowych druhów – przy wsparciu innych jednostek oraz społeczeństwa – spotkała się z dużym uznaniem.

W 1919 roku komendantem został Jan Sopata z Faronówki. Niestety małe zdolności organizacyjne (doszła do tego także trudna sytuacja gospodarcza kraju po odzyskaniu niepodległości) doprowadziły łącka straż niemal na skraj upadku. W 1921 roku komendantem został Jan Arendarczyk (Janas). W tym czasie zakupiono dla całego oddziału piękne „rzymskie" hełmy, które zachowały się do czasów współczesnych. Poprawiła się w tym czasie także dyscyplina wśród strażackiej braci. Nowym impulsem do działania dla miejscowych druhów było włączenie ich struktur do Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP. Prężnie rozwijająca się na szczeblach ogólnopolskich organizacja o jednolitym statucie i przejrzystych zasadach funkcjonowania była szansą również dla jednostki z Łącka.

W 1928 roku powołano nowe władze. Tworzyli je: Stanisław Jakub, Stanisław Dybiec, Tomasz Kucharski i Augustyn Franczyk, którego powołano na stanowisko naczelnika. Wcześniej ukończył on kurs pożarnictwa zorganizowany na terenie Łącka pod kierunkiem inspektora pożarnictwa – Franciszka Zwolińskiego z Nowego Sącza.

Współzałożyciel straży w Łącku; pierwszy naczelnik – Józef Zygadło

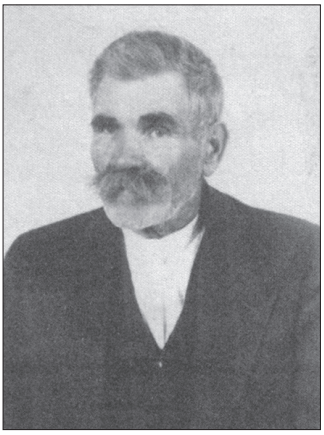

Zastępca naczelnika straży i pierwszy instruktor – Józef Linder

Jeden z założycieli jednostki – Filip Jakub, prezes OSP w latach 1927-35

Władysław Wadowski, prezes OSP w latach 1935-39

Augustyn Franczyk, naczelnik OSP w latach 1935-40, prezes OSP w latach 1946-69

Józef Pasoń, prezes OSP w latach 1969-2001

Stanisław Dybiec, naczelnik OSP w latach 1940-45

Stefan Gromala, naczelnik OSP w latach 1945-73

Tadeusz Wojnarowski, naczelnik w latach 1972-2005

Strażacka brać liczyła wówczas 18 członków, a dobre rzemiosło i odwagę druhowie potwierdzili gasząc w tym czasie pożar zabytkowego kościoła w pobliskiej Kamienicy. Wkrótce ochotnicy wyróżnili się przy lokalizowaniu pożaru w centrum Łącka.tzw. Gawronówki, a żywioł ognia zagrażał wówczas całemu przysiółkowi Kyrczówka. Udanie ugasili „czerwony kur", który trawił tzw. Kuciówkę w Czerńcu. Dzięki bohaterskiej postawie strażaków obroniono całą wieś przed spaleniem. Lata 1931–34 obfitowały w wiele groźnych pożarów na terenie ziemi łąckiej. Ale nie tylko żywioł ognia stanowił zagrożenie dla mieszkańców. W 1934 roku wezbrany Dunajec i przepływająca przez Łącko rzeka Czarna Woda oraz potok Lichnia odcięły miasteczko od reszty świata. W tej sytuacji musiano liczyć na własne siły, a na domiar złego nie dysponowano żadnym sprzętem do tego typu akcji. Tym bardziej na pamięć i szacunek zasługują dwa zdarzenia. Pierwsze – to bohaterskie zachowanie strażaka Władysława Kyrcza, który na lichej łódce uratował dwóch wyczerpanych mężczyzn otoczonych wezbranymi wodami Dunajca. Drugi – uratowanie z remizy całego sprzętu strażackiego. Dokonał tego prezes Stanisław Jakub wspólnie z innymi ochotnikami a wkrótce potem pomieszczenie zostało zmyte falami Czarnej Wody.

W 1936 roku prezesem Ochotniczej Straży Pożarnej w Łącku został Władysław Wadowski. Jedna z pierwszych decyzji władz było postawienie nowej remizy. W 1939 roku wielu druhów zostało powołanych do wojska, brali udział a kampanii wrześniowej, a po rozpoczęciu okupacji włączyli się w działalność konspiracyjną. Naczelnik Augustyn Franczyk jako jeden z pierwszych został aresztowany i odesłany do obozu w Oświęcimiu, Mauthausen, Melk i Ebensee, gdzie przebywał aż do wyzwolenia 1945 roku. Obowiązki naczelnika przejął Stanisław Dybiec. W czasie okupacji wielu łąckich strażaków straciło życie za działalność konspiracyjną. Ochotnicza Straż Pożarna utrzymywała kontakt z Podziemiem Walczącym, m.in. por. poż. Stanisławem Mazanem, który był współautorem projektu dalszej rozbudowy remizy w Łącku, czyniąc w tym zakresie starania, ale został aresztowany przez Niemców i powieszony w Męcinie koło Nowego Sącza.

Jeszcze w czasie wojny druhowie mieli do dyspozycji furgon, który w ostatnich dniach wojny został zarekwirowany przez partyzantów i uległ zniszczeniu. Po zakończeniu II wojny światowej funkcje naczelnika objął Stefan Gromala i pełnił ta funkcję aż do śmierci. W 1946 roku w centrum Rynku wybudowano studnię komunalną w formie kapliczki, znajduje się tu figurka św. Floriana uratowana z kapliczki zniszczonej po wysadzeniu mostu na rzece Czarna Woda.

W 1964 roku przystąpiono do rozbudowy remizy. Dzięki dużemu zaangażowaniu i pracy społecznej druhów oraz mieszkańców Łącka zwiększono kubaturę obiektu.

W marcu 1969 roku zmarł zasłużony prezes Augustyn Franczyk. Zastąpił go na tym stanowisku Józef Pasoń. Cztery lata później, 8 marca 1973 roku zmarł niespodziewanie, nieodżałowany naczelnik Stefan Gromala. Jego następcą wybrano Tadeusza Wojnarowskiego, który pełnił tę funkcję do 2006 roku.

W 1995 roku jednostka została włączona do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego, a dwa lata później strażacy musieli borykać się z żywiołem powodzi;

Łącko znalazło się pod woda, a druhowie w tym czasie wspierali także mieszkańców Nowego Sącza. Często pomagali także ofiarom wypadków drogowych.

W 2002 roku obchodzono 110-lecie istnienia Straży Pożarnej w Łącku. Z tej okazji druhowie otrzymali kolejny, czwarty już sztandar ufundowany przez mieszkańców, który został odznaczony Złotym Znakiem Związku. Podczas tej uroczystości miało miejsce przekazanie druhom – samochodu Lublin, który poświęcił proboszcz miejscowej parafii ks. Prałat Józef Trzópek.

Do 2001 roku prezesem jednostki był Józef Pasoń, a jego następcą został Stanisław Myjak syn Józefa, który z roczną przerwą (wówczas prezesem był Stanisław Słabaszewski, który zrezygnował z funkcji prezesa ze względu na stan zdrowia) sprawuje tę funkcję do dnia dzisiejszego, pełni jednocześnie funkcję prezesa Gminnego OSP Gminy Łącko.

W 2006 roku Tadeusza Wojnarowskiego na stanowisku naczelnika zastąpił Andrzej Rozmus, na co dzień Komendant Gminny OSP Gminy Łącko.

Strażacy często są wzywani do różnego rodzaju akcji – poszukiwaniu osób zaginionych, pożarów, powodzi, wypadków drogowych i wielu innych potrzeb ratowania ludzi i mienia. Nasza jednostka uczestniczy także w zawodach sportowo – pożarniczych oraz ćwiczeniach zgrywających.

Odpowiednie przeszkolenie i dobre wyposażenie w sprzęt pozwala łąckim strażakom samodzielnie prowadzić akcje ratowniczo – gaśnicze. Ta sytuacja nie byłaby możliwa gdyby nie wsparcie działalności jednostki zarówno przez samorząd lokalny, jak również wszystkie szczeble struktur ochotniczej i zawodowej straży pożarnej oraz społeczności Łąckiej.

Ochotnica Straż Pożarna Łącko liczy 55 członków czynnych, 21 członków honorowych, Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza dziewcząt – 9, Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza chłopców – 16 członków.

Zarząd:

Prezes – Stanisław Myjak syn Józefa
Zastępca prezesa – Andrzej Duda
Naczelnik – Rozmus Andrzej
Zastępca naczelnika – Paweł Trembecki
Skarbnik – Paweł Dybiec
Sekretarz – Tadeusz Zbozień
Gospodarz – Ryszard Kozicki
Członkowie zarządu – Jacek Baziak, Dariusz Rams

Komisja Rewizyjna:

Przewodniczący – Stefan Grabiec
Członkowie – Wojciech Gondek senior, Zbigniew Kołodziej

Ochotnicza Straż Pożarna Łącko dysponuje czterema samochodami pożarniczymi:

- GLM Żuk – z 1996 roku
- SLRT Lublin – z 1998 roku
- GBA 2,5/16/4 Mercedes Atego – z 2008 roku
- GCBA 6/32 Jelcz – z 1983 roku

Po za tym w ciągu ostatnich lat jednostka zakupiła między innymi następujący sprzęt, ubrania i ekwipunek:

- motopompę szlamową,
- zestaw Holmatro (tzw. „szczęki życia" do ratownictwa drogowego),
- agregat Lukas,
- mundury bojowe USP,
- mundury koszarowe,
- węże bojowe W- 75, W- 52, W- 110,
- buty bojowe „ oficer",
- radiotelefony przenośne,
- radiotelefony samochodowe,
- zamontowano system „szybkiego reagowania",
- zainstalowano komputer i Internet.

Za obecnego Zarządu zostało wykonanych wiele prac remontowych i modernizacyjnych. Natomiast największym osiągnięciem dla jednostki było zakupienie nowego samochodu pożarniczego GBA marki Mercedes Atego 2,5/16/4.

Obecnie nad bezpieczeństwem mieszkańców Łącka czuwają druhny i druhowie:

Stanisław Myjak syn Józefa, Andrzej Rozmus, Paweł Dybiec, Andrzej Duda, Paweł Trembecki, Tadeusz Zbozień, Ryszard Kozicki, Jacek Baziak, Dariusz Rams, Stefan Grabiec, Wojciech Gondek senior, Zbigniew Kołodziej, Tadeusz Myjak, Grzegorz Najduch, Jan Pierzga, Roman Mrówka, Adam Dudek, Zbigniew Kałuziński, Czesław Mrówka, Rafał Gromala, Mieczysław Adamczyk, Adam Gromala, Andrzej Jakób, Krzysztof Krzyśko, Krzysztof Grabiec, Jan Mrówka, Stanisław Zbozień, Wojciech Gondek junior, Marcin Gondek, Stanisław Myjak syn Franciszka, Mirosław Mrówka, Michał Pierzga, Tomasz Mrówka, Tadeusz Kyrcz, Franciszek Dziedzina, Łukasz Pelc, Tadeusz Królicki, Tomasz Pasiud, Marek Duda, Paweł Duda, Wojciech Duda, Piotr Duda, Grzegorz Kołodziej, Paweł Kozieński, Justyna Florek, Danuta Marek, Izabela Marek, Iwona Mrówka, Piotr Pachut, Damian Babeł, Dariusz Kozieński, Jolanta Plechta.

Młodzieżową Drużynę Pożarniczą tworzą:

Gabriela Pyrdoł, Karolina Dąbrowska, Agnieszka Linder, Sylwia Duszyńska, Weronika Duszyńska, Edyta Głód, Sabina Majewska, Natalia Myjak, Kinga Dybiec, Pa-

weł Domek, Rafał Faron, Michał Myjak, Patryk Pulit, Dawid Rusnarczyk, Mateusz Rusnarczyk, Piotr Tomasiak, Szymon Tomasiak, Wiktor Tomasiak, Grzegorz Turek, Józef Turek, Łukasz Myjak, Filip Plechta, Przemysław Duda, Krystian Wnęk, Patryk Wnęk.

Młodzi druhowie zawsze mogą liczyć na pomoc zasłużonych druhów. Do tego grona należą:

Józef Pasoń, Władysław Dybiec, Marceli Franczyk, Stefan Klimczak, Tadeusz Wojnarowski, Stefan Mrówka, Stanisław Pyrdoł, Jan Adamczyk, Władysław Klimek, Zbigniew Liwerski, Władysław Faron, Kazimierz Trembecki, Jerzy Pomietło, Henryk Mozdyniewicz, Marian Mozdyniewicz, Franciszek Mozdyniewicz, Andrzej Mozdyniewicz, Michał Jakób, Leopold Dybiec, Józef Duda, Stanisław Słabaszewski.

Druhowie z Łącka, nie tylko w listopadzie wspominają swoich zmarłych kolegów. Niebiańską drużynę tworzą:

Stefan Gromala, Augustyn Franczyk, Stanisław Dybiec, Józef Dybiec, Franciszek Dybiec, Jan Grabiec, Władysław Dziorny, Stanisław Baziak, Antoni Arendarczyk, Jan Arendarczyk I, Jan Arendarczyk II, Ludwik Arendarczyk, Eugeniusz Piksa, Władysław Arendarczyk, Antoni Dybiec, Jan Kucharski, Jan Dąbrowski, Andrzej Duda I, Andrzej Duda II, Franciszek Duda, Jan Duda, Tomasz Faron, Jan Hilgier, Filip Jakub, Stanisław Jakub, Jan Kałuziński, Roman Kałuziński, Krzysztof Klimczak, Leonard Królicki, Tomasz Kucharski, Antoni Kutwa, Jan Kyrcz, Teodor Kyrcz, Władysław Kyrcz, Pantaleon Lenartowicz, Józef Linder I, Józef Linder II, Henryk Maciuszek, Jan Maciuszek, Piotr Maciuszek, Jan Maurer I, Jan Maurer II, Józef Maurer, Leon Maurer, Franciszek Mozdyniewicz, Franciszek Misiewicz, Stanisław Mozdyniewicz, Franciszek Myjak, Jan Nowak, Jan Noworolnik, Marcin Pancerz, Władysław Plechta, Wojciech Pietrzak, Franciszek Pogwizd, Antoni Pyrdoł, Władysław Pyrdoł, Antoni Rdzawski, Jan Skut, Maciej Siekierka, Jan Sopata, Józef Sopata, Marian Strączek, Franciszek Turek, Jan Turek I, Jan Turek II, Tomasz Turek, Zygmunt Wadowski, Piotr Zasadny, Józef Zgadło, Bolesław Bodziony, Jan Byniowski, Michał Chrobak, Michał Myjak, Jan Klag, Władysław Wadowski, Zdzisław Jezioro, Stanisław Zbozień, Jan Wojnarowski, Tomasz Kowalik, Wojciech Dybiec, Stanisław Wąchała, Stefan Pyrdoł

Składamy słowa uznania i podziękowania wszystkim, którzy przyczynili się do obchodów jubileuszu 120-lecia istnienia Ochotniczej Straży Pożarnej Łącko: druhnom, druhom, sympatykom i darczyńcom, mieszkańcom Łącka i całej Gminy, władzom strażackim i samorządowym na czele z wójtem Franciszkiem Młynarczykiem.

Oby kolejni, młodzi mieszkańcy Łącka kontynuowali to piękne dzieło strażackiej służby.

Niech ta publikacja będzie podziękowaniem dla tych, którzy tworzyli historię naszej jednostki, a ludziom młodym pokaże wspaniałe wzorce do naśladowania.

Nestorzy OSP z zarządem; siedi były prezes – Józef Pasoń; od lewej stoją: Stanisław Myjak syn Józefa, Stefan Grabiec, Marceli Franczyk, Leopold Dybiec, Jerzy Pomietło, Kazimierz Trembecki, Stanisław Pyrdoł, Stefan Mrówka, Zbigniew Liwerski, Henryk Mozdyniewicz, Tadeusz Wojnarowski, Stefan Klimczak, Władysław Dybiec, Michał Jakób, Jan Adamczyk, Andrzej Rozmus, Władysław Faron

Mundur strażacki z czasów austriackich

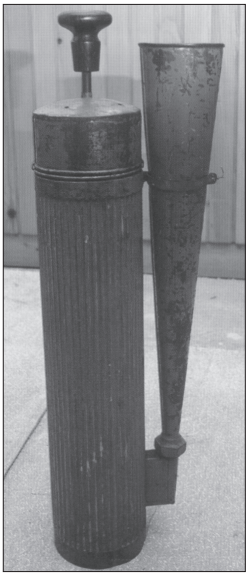

Przedwojenne tzw. bekadło sygnalizacyjne, stosowane przez strażaków w czasie alarmów; później zastąpione przez syrenę

Strażacki toporek – niegdyś podstawowe wyposażenie druha

Zabytkowa trąbka sygnałowa

Drugi sztandar OSP Łącko z 1958 roku

Spotkanie w 1989 roku;zarząd OSP i przedstawiciele komendy rejonowej Straży Pożarnych w Nowym Sączu. Od lewej: Michał Myjak, Jan Klag, Marceli Franczyk, Stefan Mrówka, Władysław Faron, Stanisław Myjak syn Józefa, Kazimierz Trembecki, chor. poż. Stanisław Witkowski, Józef Pasoń, chor. poż. Tadeusz Fałowski, Zbigniew Liwerski, kpt. poż. Antoni Bienias, Władysław Dybiec, Stanisław Pyrdoł, Tadeusz Wojnarowski

Obecnie druhowie do dyspozycji mają cztery samochody

Zbigniew Czepelak

Sto lat działalności Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerńcu

W 2010 roku Ochotnicza Straż Pożarna w Czerńcu obchodzi okrągłą, setną rocznicę swego powstania. Tak zacne jubileusze są bardzo dobrą okazją do spojrzenia wstecz i wspomnienia historii tej ważnej dla wsi i całej Gminy Łącko, jednostki.

Na początku dwudziestego wieku, wśród społeczności polskiej pod zaborami następował wzrost świadomości politycznej i społecznej. Również mieszkańcy wsi podejmowali działalność społeczną, zarówno dla poprawy swego bytu jak i dla zachowania polskości poprzez wychowanie patriotyczne. Tworzenie banków spółdzielczych, (w Łącku powstał w 1900 r.) oraz straży pożarnych, było formą organizowania się społeczności lokalnej, świadczącą o rosnącej świadomości i aspiracjach mieszkańców. Przykładem takich wolnościowych i patriotycznych dążeń była wielka manifestacja z okazji 500 rocznicy Bitwy pod Grunwaldem, zorganizowana w 1910 r. na Górze Zyndrama w Maszkowicach.

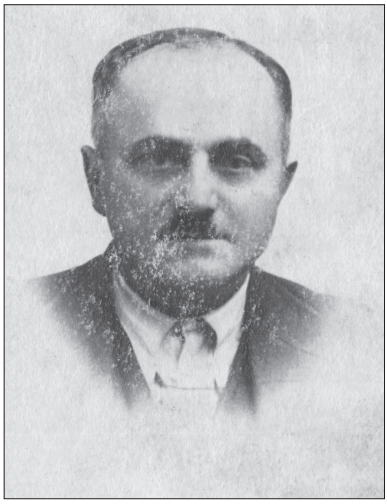

Michał Ćwikowski – pierwszy komendant OSP Czerniec

Straże pożarne były jednymi z nielicznych organizacji, jakie mogły powstawać pod zaborami. Na terenie obecnej Gminy Łącko początkiem dwudziestego wieku działały tylko dwie ochotnicze straże pożarne; najstarsza w Jazowsku, gdzie funkcjonowała fabryka mebli giętych – utworzona w 1880 r. oraz w Łącku – utworzona w 1889 r. Również we wsi Czerniec grupa światłych mieszkańców starała się o utworzenie straży pożarnej w celu zabezpieczenia przed pożarami zwartej, drewnianej i krytej w większości słomą, zabudowy. W 1910 r. mieszkańcy Czerńca powołali komitet założycielski straży pożarnej, w skład którego weszli: Michał Ćwikowski, Stanisław Sopata, Stanisław Piksa i Stanisław Pasiud. Fakt powołania już w 1910 r. straży w takiej miejscowości jak Czerniec jest o tyle znamienny, że następne jednostki straży zostały powołane w innych wsiach naszej gminy dopiero po dwudziestu latach (w 1930 r. – Maszkowice; 1934 r. – Czarny Potok; 1935 r. – Zagorzyn; 1941 r. – Zabrzeż; 1946 r. – Kadcza; 1948 r. – Zarzecze; 1954 r. – Obidza; a w 1957 r. w Woli Kosnowej i w Kiczni).

Pierwszym komendantem został wybrany Michał Ćwikowski, któremu pomagało w tym okresie 13 strażaków. Warto wymienić ich wszystkich z imienia i nazwiska, tym bardziej, że również dzisiaj w Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerńcu służą ich potomkowie. W skład pierwszego zorganizowanego oddziału straży wchodzili: Michał Ćwikowski (naczelnik), Stanisław Sopata (zastępca naczelnika), Stanisław Piksa,

Stanisław Pasiud, Antoni Majchrzak, Franciszek Klag, Piotr Kurzeja, Jan Leszko (instruktor szkoleniowy), Tomasz Ochoda, Jan Maciuszek, Jan Chrobak, Michał Jurkowski, Jakub Zbozień i Antoni Siekierka.

Początki straży pożarnej w Czerńcu były bardzo trudne. Brakowało podstawowego sprzętu gaśniczego i wyposażenia a strażacy mogli liczyć jedynie na ofiarność mieszkańców. W 1911 r. ze składek ludności zakupiono hełmy i toporki a w 1912 r. ręczną sikawkę przenośną, którą dostosowano do przewozu końmi a podwozie wykonał Józef Linder z Łącka. Ten pierwszy sprzęt gaśniczy był przechowywany w prowizorycznej szopie.

Prowizoryczne pomieszczenia na sprzet gaśniczy po 1910 r.

Pod koniec 1913 roku zakupiono materiał na uszycie mundurów, jednak z powodu wybuchu I Wojny Światowej nie zdążono ich uszyć, a straż otrzymała mundury dopiero w 1928 roku. Stało się to dzięki Józefowi Rdzawskiemu, który po powrocie ze Stanów Zjednoczonych ufundował mundury wyjściowe dla całego oddziału straży w Czerńcu.

Dużym problemem dla czernieckich strażaków był brak remizy. Ponieważ tymczasowa szopa przestała wystarczać dlatego postanowiono podjąć działania w kierunku budowy własnej siedziby. W 1933 roku powołano komitet budowy w składzie: Franciszek Franczyk (przewodniczący), Walenty Piksa, Franciszek Kasprzak, Jan Pasiud, Antoni Siekierka, którego zadaniem było zebranie odpowiednich środków finansowych i starania o pozyskanie terenu pod budowę. Wielką pomocą był gest Rady Gminnej wsi Czerniec, która postanowiła nieodpłatnie przekazać strażakom budynek spichlerza gromadzkiego wraz z parcelą. Rozpoczęto zbiórkę pieniężną w Czerńcu oraz wystąpiono do Rad Gminnych

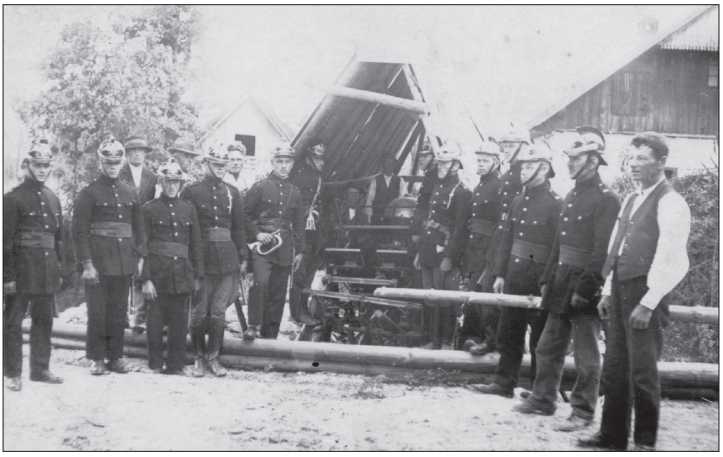

Strażacy przed remizą w latach dwudziestych XX wieku

w Zagorzynie i Kiczni o przekazanie drewna budowlanego na ten cel. Należy podkreślić, że obydwie wsie podeszły bardzo przychylnie do tej prośby i przydzieliły znaczne ilości drewna z lasów gminnych. Roboty budowlane prowadzono od początku 1933 r. do października 1934 r., kiedy to remizę poświęcono i oddano do użytku. W uroczystości wzięło udział wielu znamienitych gości i przedstawicieli władz, a w imieniu Marszałka Józefa Piłsudskiego pamiątkowego gwoździa wbił Minister Spraw Zagranicznych Józef Beck. W tym czasie była to największa i najładniejsza remiza w ówczesnym Powiecie Nowosądeckim i służyła strażakom przez sześćdziesiąt lat, aż do wybudowania nowej w 1993 roku. Jej charakterystyczny budynek stoi do dziś przy przystanku autobusowym w Czerńcu, pełniąc obecnie funkcję handlową.

Remiza OSP w Czerncu – lata trzydzieste XX wieku

Do wybuchu II Wojny Światowej strażacy zabiegali o poprawę wyposażenia oraz spłacali długi związane z budową remizy. W czasie wojny zmienił się zakres działań podejmowanych przez strażaków, którzy oprócz conocnych dyżurów przeciwpożarowych ostrzegali mieszkańców przed wszelkimi akcjami hitlerowców skierowanymi przeciwko ludności polskiej. Do czernieckiej straży należało w tym czasie 30 druhów, a komendantem był Franciszek Franczyk. Wielu strażaków ryzykując życiem podejmowało zbrojną walkę w ruchu oporu, byli to, między innymi: Franciszek Kasprzak, Antoni Ćwikowski, Stanisław Ćwikowski, Michał Piksa i Jan Jurkowski.

Członkowie OSP Czerniec przed remiza w 1942 r.

Minął czas wojny, a powrót do życia w warunkach pokoju przyniósł wiele nowych inicjatyw służących rozwojowi zarówno Ochotniczej Straży Pożarnej jak i wsi Czerniec. Na walnym zebraniu straży w 1947 r., przyjęto wniosek komendanta Franciszka Franczyka i podjęto uchwałę o założeniu orkiestry dętej

przy jednostce straży pożarnej. Było to przedsięwzięcie bardzo trudne do realizacji z uwagi na brak pieniędzy na zakup instrumentów oraz małe doświadczenie w prowadzeniu takiej działalności. Komendant zwrócił się z prośbą o społeczne prowadzenie orkiestry do łąckiego organisty, Tadeusza Moryto, który podjął to wyzwanie. Zdobycie instrumentów muzycznych wymagało wielu zabiegów i starań, zarówno ze strony władz jak i członków zarządu straży. Zabiegi Tadeusza Moryto i Franciszka Franczyka, pełniącego w tym czasie obowiązki wójta gminy Łącko, wspierali szczególnie członkowie zarządu: Jan Leśniak, Stanisław Sopata, Walenty Piksa i Tadeusz Zbozień. Dzięki dużej liczbie uzdolnionych muzycznie strażaków oraz talentowi Tadeusza Moryto, udało się w iście ekspresowym tempie przygotować pierwszy koncert nowej orkiestry, który odbył się w dniu 31 sierpnia 1947 r. Po roku pracy Tadeusz Moryto, z uwagi na pogorszenie stanu zdrowia, musiał zrezygnować ze swej społecznej pracy w orkiestrze, a dyrygowania podjął się J. Mordarski ze Starej Wsi. Nowy dyrygent przez dwa lata zajmował się szkoleniem orkiestry otrzymując nieduże wynagrodzenie oraz bezpłatne mieszkanie i wyżywienie. Mieszkańcy Czerńca zobowiązali się kolejno po tygodniu utrzymywać kapelmistrza z czym, jak odnotowują kroniki, nigdy nie było problemów. Niestety z różnych przyczyn, między innymi powołań do wojska i wyjazdów za pracą, stan osobowy orkiestry, która liczyła początkowo 25 muzyków, znacznie się zmniejszył co spowodowało zawieszenie jej działalności. Muzycy, którzy pozostali na miejscu podjęli grę w orkiestrze dętej w Łącku, kontynuatorce działalności swej czernieckiej poprzedniczki.

Orkiestra strażacka z Czerńca. Z lewej Stanisław Franczyk, skrzypce – Tadeusz Zbozien, bęben – Józef Pyrdoł

W latach pięćdziesiątych na wsi było jeszcze bardzo dużo domów krytych słomianymi strzechami, stwarzającymi duże zagrożenie pożarowe. Z uwagi na brak możliwości zakupu materiałów budowlanych strażacy z Czerńca postanowili podjąć się produkcji dachówki cementowej i w 1959 r. stworzyli zespół do produkcji dachówki, jeden z osiemnastu takich zespołów w powiecie. Pierwszym kierownikiem zespołu był Stanisław Sopata, a następnie działalnością tą kierował Jan Ćwikowski, prezes Zarządu OSP. Pracownikami zespołu byli: Jakub Arendarczyk, Piotr Kurnyta, Franciszek Klag, Tadeusz Zbozień i Antoni Kurnyta. Gdy w 1963 r. obłożono tę społeczną działalność podatkiem, strażacy zrezygnowali z produkcji ale dzięki ich dotychczasowym działaniom udało się wyprodukować około 1 200 000 sztuk dachówki cementowej, którą pokryto około 600 dachów, wydatnie zwiększając bezpieczeństwo pożarowe.

Lata pięćdziedziąte i sześćdziesiąte były dla OSP w Czerńcu czasem starań o poprawę wyposażenia w sprzęt strażacki i zaangażowania w sprawy rozwoju wsi. Prezesem straży, aż do przedwczesnej śmierci w wieku 39 lat, był Jan Ćwikowski. W 1965 r. jego obowiązki przejął Franciszek Klag, a we władzach OSP w tych latach angażowali się, między innymi: Stanisław Sopata (wieloletni naczelnik straży), Józef Pyrdoł, Franciszek Franczyk, Jakub Arendarczyk, Tadeusz Zbozień, Walenty Piksa, Władysław Kurzeja, Antoni Kurnyta, Józef Jawor, Jan Pasiud, Władysław Gurgul i Piotr Baziak. W latach tych strażacy angażowali się w rozwój wsi Czerniec wspomagając elektryfikację tych przysiółków miejscowości, które dotychczas nie zostały nią objęte. Na zebraniu w 1958 r. uchwalono sprzedaż parceli gromadzkiej na pokrycie kosztów dokumentacji i wybrano komitet do zajęcia się tą sprawą, w składzie: Pokrzyk Ludwik, Andrzej Rusnak, Franciszek Gromala, Piotr Mrówka, Józef Gromaczyński, Jan Ćwikowski, Stanisław Sopata, Walenty Piksa, Ludwik Rusnak i Stanisław Pasiud. W 1960 roku strażacy podjęli się budowy zbiornika przeciwpożarowego na potoku „Byniowskim" i wybudowali go społecznymi siłami. W latach tych modernizowano remizę, doprowadzając do niej prąd i wykonując instalację elektryczną, a także zamontowano syrenę alarmową. Zakupiono meble na wyposażenie remizy, a strażacy zostali wyposażeni w piękne umundurowanie z kapeluszami i płaszczami podhalańskimi. Gdy przegląda się stare kroniki straży można zauważyć, że prawie na każdym corocznym walnym zebraniu zajmowano się drobnymi, lecz ważnymi dla strażaków i mieszkańców sprawami. Pomimo biedy tamtych lat oraz trudności ze zdobyciem materiałów budowlanych i pieniędzy, czerniecka straż rozwijała się bardzo dynamicznie. Najlepszym dowodem pozycji, jaką miała ta jednostka w środowisku gminnym, był wybór Stanisława Sopaty na stanowisko Komendanta Gminnego w Gminie Łącko. W 1973 r. powstały Zarządy Gminne OSP i w dniu 21 marca tego roku powołano Zarząd Gminny OSP w Łącku w skład którego weszli wszyscy prezesi i komendanci z terenu Gminy Łącko. Prezesem został Jan Zaremba z Jazowska, a wspomniany wyżej Stanisław Sopata z Czerńca został Komendantem Gminnym i pełnił tę funkcję do 1978 r. kiedy złożył rezygnację z tej zaszczytnej funkcji.

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych następowały zmiany w Zarządzie OSP, do którego weszli: Stanisław Jurkowski jako naczelnik (w zamian za Władysława Kurzeję, który złożył rezygnację), a ponadto Stanisław Pokrzyk, Adam Klag i Józef Kasprzak. W tym czasie najważniejszym wyzwaniem była konieczność poprawy warunków w remizie, która była już za ciasna, a możliwości modernizacyjne były ograniczone z uwagi na brak miejsca wokół budynku. Na zebraniu w dniu 2 lutego 1981 roku, na wniosek Prezesa Franciszka Klaga, podjęto uchwałę o budowie nowej remizy. Pierwsze przygotowania trwały dwa lata. Zebranie wiejskie wyraziło zgodę na przekazanie strażakom nieodpłatnie działki gromadzkiej, tak zwanej „Świniarni", pod budowę nowej remizy. Na zebraniu w 1983 r. wybrano Komitet Budowy remizy w składzie: Wojciech Piksa jako przewodniczący, Tadeusz Gurgul i Stanisław Jurkowski. Zakupiono projekt budowlany i w dniu 1 czerwca 1984 r. uzyskano zezwolenie na budowę nowej remizy. Roboty ruszyły pełną parą, już w czerwcu tego

roku i do 1985 r. udało się wybudować parter, garaże oraz zabetonowano strop nad parterem. Tak duży postęp robót był możliwy dzięki zabiegom Komitetu, który pozyskał dotację z PZU w wysokości 1500 tys. zł a wartość czynu społecznego wyniosła w tym czasie 1410 tys. zł. Wsparcie finansowe ze strony PZU było w następnych latach jeszcze większe i wyniosło ogółem do końca 1987 r. niebagatelną kwotę 7 500 000 zł. Niestety dalsze prace realizowano znacznie wolniej ponieważ strażacy ochotnicy mogli polegać w swych działaniach przede wszystkim na własnej społecznej pracy i wsparciu mieszkańców wsi.

Trudno w tym miejscu wspomnieć wszystkich zaangażowanych w pomoc przy budowie naszej remizy, bo było ich bardzo wielu. Na podstawie kronik i wspomnień członków komitetu budowy należy szczególnie podziękować tym osobom z zewnątrz, które zainspirowały i wspierały działania strażaków. Ogromnym wsparciem były środki finansowe uzyskane dzięki życzliwości Józefa Śliwy – dyrektora PZU w Nowym Sączu i Mieczysława Gądka – Inspektora d/s. inwestycji w PZU. W trakcie budowy strażacy mogli liczyć na wsparcie Komendanta Wojewódzkiego Państwowej Straży Pożarnej Józefa Strojnego oraz Komendanta Rejonowego PSP Antoniego Bieniasa. Skuteczne działanie nie byłoby możliwe bez wsparcia Gminy Łącko poprzez osobę ówczesnego Naczelnika Gminy, a obecnie Wójta Gminy Łącko Franciszka Młynarczyka. Gmina wspomagała strażaków biorąc również na siebie ewidencję finansową i rozliczanie budżetu tej inwestycji przy dużym zaangażowaniu Heleny Siekierka pod kierunkiem i nadzorem Skarbnika Gminy Ireny Owsianka.

Obecna remiza OSP w Czerncu

Wypada podkreślić szczególnie duży społeczny wkład pracy strażaków w budowę swojej remizy. Warto wymienić tu szczególnie starszych strażaków, którzy wspierali budowę swoim doświadczeniem i pomagali w różny sposób w jej realizacji. Zdaniem członków ówczesnego komitetu budowy należy szczególnie wymienić: Józefa Kasprzaka, Eugeniusza Baziaka, Adama Klaga, Stanisława Jurkowskiego, Jana Pasiuda, Piotra Kurnytę, Stanisława Sopatę, Zygmunta Wiatra, Stanisława Pokrzyka, Jana Szczepaniaka, Władysława Piksę, Władysława Kurzeję, Stanisława Franczyka, Antoniego Ochodę, Antoniego Kurnytę, Stanisława Klaga, Franciszka Klaga, Tadeusza Zboźnia, Eugeniusza Rdzawskiego, Władysława Gurgula i Józefa Wnęka. Janusz Klag pełnił społecznie obowiązki inspektora nadzoru, a Tomasz Ćwikowski wspierał

doradzając w sprawach projektowych i budowlanych. W pomocy przy robotach budowlanych, w pracy własnymi ciągnikami oraz w pracy w lesie i na tartaku angażowali się szczególnie ludzie młodzi, ci którzy do dziś są czynnymi członkami straży a których nazwiska znajdą się w monografii straży przygotowywanej na obchody stulecia OSP Czerniec.

Dziś trudno sobie wyobrazić jak trudno było w latach osiemdziesiątych realizować tak duże przedsięwzięcie i to siłami społecznymi. Ci którzy pamiętają ten okres wiedzą, że zdobycie materiałów budowlanych było największym problemem dlatego też należy szczególnie docenić determinację z jaką mieszkańcy i strażacy z Czerńca budowali swoją remizę. Po pokonaniu wszelkich trudności można było z dumą doprowadzić tę imponującą inwestycję do szczęśliwego finału. Uzyskano obiekt o powierzchni 900 m2 w którym mieszczą się dwa garaże, magazyn na sprzęt, sala konferencyjna, sala balowa z zapleczem socjalnym i kuchennym oraz ogólnie dostępne boisko sportowe dla dzieci i młodzieży.

W dniu 12 września 1993 r. przy okazji obchodów 80-lecia istnienia OSP Ksiądz Prałat Józef Trzópek uroczyście poświęcił obiekt remizy w Czerńcu i oficjalnie oddano ją do użytku strażakom i mieszkańcom wsi. Uczestnicy tego wydarzenia zapewne do dziś pamiętają radość i dumę, jaka towarzyszyła im z chwilą oddania remizy do użytku. Ten pełen wrażeń dzień zakończył się zabawą taneczną, którą dla wszystkich mieszkańców przygotowali strażacy. Od tego czasu stało się tradycją, że po corocznym walnym zebraniu OSP odbywa się zabawa dla wszystkich strażaków i ich rodzin oraz dla osób i instytucji wspierających działalność OSP w Czerńcu.

Najnowocześniejszy sprzęt bojowy OSP Czerniec pozyskany przy wsparciu Gminy Łącko

Oczywiście funkcjonowanie straży pożarnej to nie tylko zmaganie się z problemami inwestycyjnymi, organizacja życia społecznego i imprez kulturalnych. Podstawowymi zadaniami były i są zadania ochrony przeciwpożarowej. Przez minione sto lat druhowie szkolili się w zakresie obsługi sprzętu i organizacji akcji gaśniczych. Efekty szkolenia sprawdzają w formie ćwiczeń w trakcie zawodów sportowo-pożarniczych w których od lat zajmują wysokie lokaty. Te umiejętności są weryfikowane przez udział w akcjach pożarowych i pomoc w usuwaniu skutków wypadków drogowych, a takich zdarzeń jest około 30 – 40 rocznie. Jak wszystkie straże pożarne, również ochotnicy z Czerńca stanowią ważne ogniwo zapewnienia bezpieczeństwa i pomocy na wypadek klęsk ży-

wiołowych, takich jak powodzie, które nawiedzały naszą gminę szczególnie w latach 1997 i 2007. Klęski te pokazały, że jedyną zorganizowaną służbą, na jaką władze lokalne mogą liczyć w usuwaniu skutków kataklizmów, są jednostki Ochotniczych Straży Pożarnych. W OSP Czerniec powódź 1997 roku była szczególnie tragiczna, ponieważ w trakcie ratowania dobytku zginął druh Piotr Majchrzak, członek tej jednostki.

Prezes OSP Czerniec Tadeusz Gurgul. W tle po prawej tablica z gwozdziem pamiatkowym Jozefa Pilsudskiego z 1934 r.

Czerniecka straż dysponowała przez długie lata wysłużonym i starym sprzętem bojowym. Pierwszym samochodem jaki strażacy zakupili już w 1948 roku był samochód transportowy Dodge, który po dwudziestu latach eksploatacji został zastąpiony przez Stara-20 typu MG 8 pozyskanego z Kopalni Węgla Kamiennego „Paweł" w Hebziu. W tym czasie wymieniono również stare i prymitywne motopompy na nowoczesną motopompę PO-3, zakupioną do straży w 1961 r. Kolejnym nabytkiem był samochód Żuk, który straż otrzymała w 1978 r. Obecnie strażacy z Czerńca dysponują bardzo nowoczesnym sprzętem, przystosowanym zarówno do akcji gaśniczych jak i do pomocy w sytuacjach awaryjnych na drogach i pomocy w usuwaniu skutków wypadków. Straż dysponuje samochodem bojowym marki Magirus GBA 2,5/24 pozyskanym w 2003 r. oraz samochodem Nissan Pickup L-300, który zostanie oficjalnie oddany do użytku w dniu obchodów setnej rocznicy powstania OSP w Czerńcu. Dziś strażacy oprócz samochodów bojowych posiadają również bardzo profesjonalne wyposażenie w sprzęt ratowniczo-gaśniczy, między innymi dwie motopompy PO-5, pompę pływająca Niagara i dwie pompy szlamowe. Tak dobry sprzęt i wyposażenie udało się pozyskać dzięki wsparciu Gminy Łącko, której władze nigdy nie pozostają obojętne na potrzeby straży pożarnych. Sprzęt ten jest używany corocznie do pomocy w zdarzeniach, do których strażacy z Czerńca są wzywani. Od 2003 r. OSP Czerniec została włączona do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego, co jest dowodem bardzo dobrego wyposażenia i wysokiego poziomu wyszkolenia, gwarantującego profesjonalizm w działaniach ratowniczych.

Obecne władze OSP Czerniec to twórcza mieszanka doświadczenia i młodości. Prezesem jest Tadeusz Gurgul, pełniący te funkcję nieprzerwanie od 1984 r. Zastępcą prezesa jest Wojciech Piksa (w zarządzie od 1980 r.), Naczelnikiem – Tadeusz Kurnyta, zastępcą naczelnika – Stanisław Jawor, skarbnikiem – Stanisław Pasiud (od 1989 r.) a sekretarzem – Janusz Klag. Zarząd ciągle zabiega o poprawę wyposażenia w sprzęt oraz o coraz wyższy poziom wyszkolenia bojowego. Ciągła praca przynosi efekty w postaci bardzo dużego zainteresowania młodzieży, czego dowodem jest liczna Mło-

dzieżowa Drużyna Pożarnicza w której pod okiem instruktorów: Roberta Gonciarza i Stanisława Jawora ćwiczy 49 młodych strażaków. „Młodzieżówka" jest oczkiem w głowie władz OSP ponieważ osiąga bardzo dobre wyniki, wystarczy zaznaczyć, że w zawodach pożarniczych 2009 r. zajęła pierwsze miejsce w gminie.

Wieś Czerniec jest jedną z mniejszych na terenie gminy, bo liczy tylko 639 mieszkańców. Tym większe jest zaskoczenie, gdy przyjrzymy się liczbie strażaków w OSP Czerniec, a jest ich niemało. Jednostka liczy 101 druhów, w tym 10 honorowych i 14 kobiet w drużynie kobiecej. Przyszłość jednostki zapewniają 23 dziewczęta i 26 chłopców działających w Młodzieżowej Drużynie Pożarniczej. Łączna liczba osób zaangażowanych w działalności tej zasłużonej jednostki to 150 mieszkańców Czerńca, tak więc co czwarty mieszkaniec jest bezpośrednio zaangażowany w działalności OSP a pośrednio, poprzez wsparcie finansowe i inne formy zaangażowania, swoją jednostkę wspiera cała wieś. Trudno sobie wyobrazić tę miejscowość bez remizy i prężnie działających strażaków.

Oprócz udziału w akcjach i interwencjach Czernieccy strażacy nigdy nie szczędzą sił w pracy społecznej na rzecz swojej wsi. Biorą częsty udział w uroczystościach patriotycznych i kościelnych, realizując w sposób praktyczny wychowanie do wartości i wpajając młodemu pokoleniu szacunek dla tradycji.

Strażacy z Czerńca kontynuując stuletnią tradycję, pełnią swą społeczną działalność w warunkach całkowicie odmiennych od poprzednich pokoleń. Coraz trudniej jest znaleźć pracodawców, którzy rozumieją konieczność ułatwienia pracownikowi jego udziału w akcjach gaśniczych i działalności przeciwpożarowej, realizowanej ochotniczo poza pracą. W obecnym czasie następują szybkie zmiany w świadomości społecznej, nakierowane na pogoń za pieniądzem, żądzą sukcesu materialnego i skoncentrowanie na swoim osobistym sukcesie. Dlatego tym bardziej należy docenić fenomen, jakim są Ochotnicze Straże Pożarne, które w samym Powiecie Nowosądeckim liczą ponad 3 000 członków. Jest to ogromna liczba wolontariuszy, którzy angażując się w działalność profilaktyczną oraz walcząc z pożarami i zdarzeniami losowymi, niosą pomoc swym sąsiadom kosztem własnego czasu, nie licząc się z niebezpieczeństwem. Jest to również ogrom działań na rzecz kultury lokalnej, bo przecież remizy są miejscami spotkań, zebrań wiejskich, lokalnymi domami kultury, a praca z dziećmi i młodzieżą jest nieocenioną szkołą patriotyzmu i wychowania.

Te wartości przyświecały przez minione sto lat również strażakom-ochotnikom z Czerńca. Rodzi się pytanie, jak udało się stworzyć tak mocna więź mieszkańców ze strażakami, z czego bierze się dynamizm, prężność i zaangażowanie mieszkańców działających w strukturach straży. Nie jest to łatwe do zdefiniowania, lecz na pewno jest w tym duża zasługa silnie zakorzenionej tradycji, w której od stu lat kolejne pokolenia przekazują sobie wzorce zaangażowania społecznego. Wynika to z ciągłości międzypokoleniowej, siły tradycji i wewnętrznego przekonania, że aby coś osiągnąć musimy liczyć przede wszystkim na siebie. W funkcjonowanie straży angażują się całe rodziny, a w chwilach potrzeby wszyscy mieszkańcy spieszą z pomocą. Nawiasem mówiąc, umiejętność współpracy i wola społecznego działania na rzecz wspólnoty

przejawiały się w historii Czerńca również na innych polach. To przecież w tej małej miejscowości, dzięki zaangażowaniu mieszkańców i społecznej pracy, doprowadzono prąd elektryczny i zbudowano wodociąg, zanim jeszcze takie zdobycze cywilizacji pojawiły się w sąsiednim Łącku. To w Czerńcu, przy Ochotniczej Straży Pożarnej powstała pierwsza orkiestra dęta, której kontynuatorką jest Orkiestra im. Tadeusza Moryto, obecna chluba naszej gminy. To również tutaj, w sadzie Stanisława Sopaty, organizowano pierwsze obchody Święta Kwitnącej Jabłoni.

Umiejętność wspólnego działania i współpracy z lokalnymi liderami dała imponujące rezultaty, a w roku stulecia Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerńcu można z całym przekonaniem stwierdzić, że strażacy dobrze przysłużyli się rozwojowi swojej „małej ojczyzny".

Lucyna Prostko

Szkoła św. Kingi – historia i współczesność

Zespół Szkół im. św. Kingi Łącku niedługo będzie obchodził 50 rocznicę swego istnienia. Niniejszy artykuł jest wstępnym opracowaniem wydarzeń z tego okresu, a zarazem zachętą do dzielenia się informacjami, które mogłyby zostać umieszczone w obszerniejszej publikacji, która zostałaby wydana z okazji złotego jubileuszu tej placówki. Absolwentów szkoły i nauczycieli zachęcamy do podzielenia się wspomnieniami, utrwalającymi pamięć o ludziach, którzy przyczynili się do rozwoju tak istotnej dla Łącka szkoły.

1. Szkoła Przysposobienia Rolniczego

Początki Zespołu szkół im. św. Kingi w Łącku sięgają roku 1963. Została wtedy powołana Szkoła Przysposobienia Rolniczego (SPR). Jej inicjatorem był agronom okręgu łąckiego, Kazimierz Garbacz. Na pierwszym spotkaniu z kandydatami okazało się, że liczba chętnych przewyższała oczekiwania organizatorów. Na rok szkolny 1963/1964 zostało zapisanych ponad 50 uczniów, zatem utworzono 2 równoległe oddziały klasowe.

Kierownikiem szkoły został Kazimierz Nowak, pełniący równocześnie funkcję kierownika Szkoły Podstawowej. Na podstawie zapisów w protokołach rady pedagogicznej udało się ustalić, że rok szkolny w SPR trwał od 4 listopada 1963 r. do końca października 1964 r. i dzielił się na 3 okresy (XI–II, III–V, VI–X). Głównym zadaniem, a jednocześnie zmartwieniem kadry nauczycielskiej, była organizacja zaplecza dydaktycznego. Brakowało bowiem bazy lokalowej, podręczników, pomocy naukowych i programów nauczania. Lekcje odbywały się w budynku szkoły podstawowej w godzinach popołudniowych. W okresie wakacji (czerwiec–lipiec), gdy budynek był zajęty przez kolonię letnią z Krakowa, zajęcia przeniesiono do sali zebrań w agronomówce.

Już wtedy, kierownik Kazimierz Nowak dostrzegał potrzebę dobrej współpracy z lokalnymi partnerami, zatem zabiegał o powołanie tzw. Komitetu Opiekuńczego Szkoły, w skład którego weszliby przedstawiciele Gromadzkiej Rady Narodowej, gminnej spółdzielni, kółka rolniczego, banku i klubu sportowego. Zakładano, że lokalne organizacje będą wspierały aktywnie nową placówkę.

Nauczycielami prowadzącymi zajęcia pierwszych roczników byli m.in.:

– Czesława Jahn, Jadwiga Biernacka, Zofia Błaszczyk, Jadwiga Kędzierska – język polski,
– Kazimierz Sypień, Maria Franczyk – fizyka i chemia,
– Józef Biernacki – zajęcia techniczne chłopców,

– Krystyna Chochorowska, Józef Kaczor – wychowanie fizyczne,
– Kazimierz Garbacz – uprawa roślin, mechanizacja,
– Krystyna Dobosz – zajęcia świetlicowe,
– Tadeusz Zygadło – matematyka,
– Zuzanna Sotoła – zajęcia w gospodarstwie, uprawa roślin, chów zwierząt, organizacja wsi i gospodarstw rolnych,
– Zofia Kurzeja, Franciszka Pałka – zajęcia gospodarcze dziewcząt
– Józef Szerszeń (miejscowy weterynarz) – chów zwierząt.

2. Zasadnicza Szkoła Rolnicza

Od września 1969 r. kierownikiem szkoły został nauczyciel matematyki, Tadeusz Zygadło, pełniący wtedy też funkcję zastępcy kierownika szkoły podstawowej. Po kilku latach funkcjonowania rekrutacja do Szkoły Przysposobienia Rolniczego napotkała na spore trudności, ponieważ młodzież zaczęła wybierać zamiejscowe szkoły zawodowe, po ukończeniu których, można było kontynuować naukę na poziomie średnim. Poczyniono zatem zabiegi o przekształcenie placówki w Zasadniczą Szkołę Zawodową. Realizacja tego zamierzenia wymagała większej samodzielności szkoły tj. niezależnego kierownictwa, własnej sali lekcyjnej, w której odbywałyby się zajęcia w godzinach przedpołudniowych, i biblioteki. Po spełnieniu tych warunków decyzją Kuratorium Okręgu Szkolnego w Krakowie 1 września 1970 r. rozpoczęła działalność Zasadnicza Szkoła Rolnicza, licząca początkowo 21 uczniów. Z czasem, gdy przybyło młodzieży, nauka odbywała się w kilku punktach. Poza salą lekcyjną użytkowaną w budynku szkoły podstawowej oraz pracownią zajęć technicznych korzystano z pomieszczeń ogniska muzycznego oraz wynajmowano prywatne izby na terenie Łącka m.in. u Haliny Grabiec i Czesława Kowalczyka.

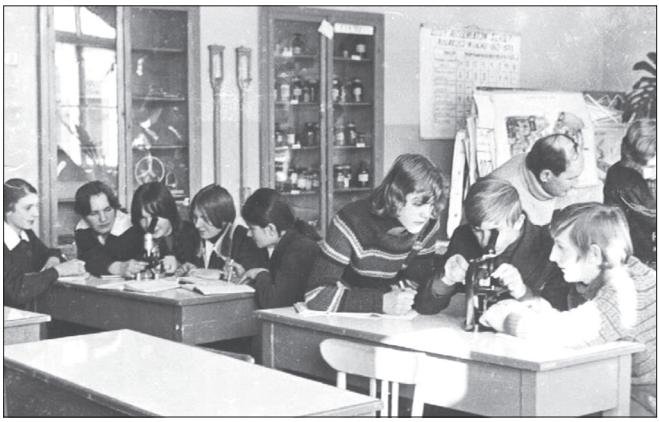
Lekcja z Kazimierzem Garbaczem

Do grona nauczycieli dołączyli:

– Zofia Młynarczyk – język rosyjski, wychowanie obywatelskie,
– Kazimiera Talar – zajęcia w gospodarstwie – gotowanie,
– Stanisława Cidyło – zajęcia gospodarcze dziewcząt, matematyka,
– Filomena Wańczyk – krawiectwo,

– Janina Zygadło – biblioteka, przysposobienie sportowe dziewcząt,
– Jan Kalarus – przysposobienie sportowe chłopców,
– Marian Wawrzyniak – biologia, zajęcia praktyczne, chów zwierząt, ogrodnictwo (opieka nad działką szkolną) do roku 1973,
– Kazimiera Mayer, Ludwik Pacholarz, Rozalia Trela – przedmioty zawodowe po odejściu Mariana Wawrzyniaka.

W zapiskach szkolnej kroniki z roku 1969/1970 znalazła się następująca informacja: „Przydzielono dla szkoły działkę 6-arową, która w czynie społecznym uczniowie ogrodzili siatką i zagospodarowali, tj. obsadzili ozdobnymi krzewami i niskopiennymi drzewkami sprowadzonymi od Profesora Śląskiego z Krakowa". W tym samym roku odnotowano też fakt założenia inspektów pod uprawę warzyw oraz poletek doświadczalnych. Pomimo ciągłych trudności lokalowych kadra pedagogiczna czyniła starania o odpowiedni poziom kształcenia, by przynajmniej część młodzieży mogła kontynuować naukę w okolicznych technikach uzupełniających. Wzbogacano księgozbiór biblioteczny, prowadzono wypożyczalnię czasopism rolniczych, przygotowywano młodzież do udział w Olimpiadzie Wiedzy Rolniczej, zorganizowano kursy jazdy ciągnikiem. Zdarzało się, że uprawnienia do obsługi tego pojazdu nabywały też dziewczęta. Do szkolnej kroniki został wklejony wycinek prasowy informujący, że łącka szkoła zorganizowała kurs ciągnikowy jako pierwsza placówka w powiecie.

Zajęcia na działce szkolnej pod kierunkiem magistra Mariana Wawrzyniaka

Od roku 1972, z inicjatywy wspomnianego wcześniej Kazimierza Garbacza, młodzież zaczęła wyjeżdżać na praktyki zawodowe w okolice Szczecina. Coroczne wakacyjne wyjazdy służyły zarobkowaniu i zwiedzaniu okolic nadmorskich.

Z dniem 1 września 1975 r. dyrektorem szkoły została Zofia Młynarczyk. Do grona pedagogicznego dołączyli nowi nauczyciele zawodu – urocze panie: Rozalia Trela i Wanda Zapolska, którą w roku 1978 zastąpiła Alicja Serwin. W następnych latach pracę w szkole podjęli nauczyciele przedmiotów zawodowych: Bogusław Duda, Zbigniew Czepelak, Władysław Baziak, Stefan Pogwizd i Jan Plechta.

Szkoła przejęła umowną pieczę nad ukwiecaniem Łącka. Często wykorzystywano własne rozsady wyprodukowane w inspektach podczas zajęć. W oczach mieszkańców utrwalił się wizerunek szkoły rolniczej jako placówki dbającej o staranne utrzymanie obszarów zieleni.

W programie nauczania kontynuowano kursy jazdy ciągnikiem, organizowane podczas miesięcznych wyjazdów do Gorlic. Młodzież mogła też uzyskać prawo jazdy kat. A oraz B. Dużym powodzeniem cieszyły się praktyki zawodowe w województwie szczecińskim organizowane we współpracy z OHP. Wyjeżdżano także do dużych zakładów rolniczych i sadowniczych w Grudyni (dawne woj. opolskie), w Świebodzinie koło Poznania, a nawet do Pragi.

3. Zespół Szkół Rolniczych

Jedną z pilniejszych potrzeb szkoły było umożliwienie młodzieży kontynuacji nauki na poziomie średnim, z możliwością zdawania egzaminu dojrzałości i uzyskania tytułu technika. Dyrektor Zofia Młynarczyk podjęła zatem starania o utworzenie Technikum Rolniczego dla Pracujących (TRdP) na podbudowie szkoły zasadniczej. 1 września 1981 r. miało miejsce uroczyste otwarcie nowej placówki. Do pierwszego utworzonego oddziału TRdP zapisało się aż 44 słuchaczy. W maju 1983 r. po raz pierwszy w Łącku odbyły się egzaminy dojrzałości.

1 września 1992 r. dyrektorem placówki został Zbigniew Czepelak, pełniący równocześnie funkcję zastępcy wójta gminy Łącko. Oto fragment jego wspomnień z tego okresu zamieszczony w szkolnej gazecie „Ale numer", wydanej w styczniu 2008 r.: „Szkoła działała w bardzo trudnych warunkach lokalowych ponieważ lekcje odbywały się w pomieszczeniach gminnego ośrodka kultury i w klasach szkoły podstawowej.

We własnym budynku 1993 r. Grono pedagogiczne (od lewej) Rozalia Trela, Anna Grabiec, Zofia Gierczyk, Rozalia Szlęk, Zbigniew Czepelak (dyrektor szkoły), Tadeusz Zygadło, Bogusław Duda, Jan Plechta, Józef Piksa, w ostatnim rzędzie drugi od lewej strony stoi Stefan Pogwizd

Podjąłem starania o przekazanie przez gminę budynku po dawnym Ośrodku Zdrowia w Łącku i uzyskałem zgodę Rady Gminy na nieodpłatne przekazanie tego obiektu w użytkowanie szkoły". W szkolnej kronice z tego okresu odnotowano ten fakt z zaznaczeniem jednomyślnego głosowania Rady w tej sprawie. Uzyskanie budynku wyzwoliło wielki zapał i ofiarność całej społeczności szkolnej, tj. grona pedagogicznego, uczniów i rodziców. Postawa ta była bardzo ważna, ponieważ długo wyczekiwane lokum wymagało gruntownego remontu i przebudowy. Z małych gabinetów lekarskich oraz pomieszczeń funkcjonującej wcześniej w budynku izby porodowej należało utworzyć sale lekcyjne. Pierwszy egzamin z zarządzania szkołą nowy dyrektor zaliczył z wynikiem celującym. Szeroko zakrojone prace adaptacyjne, w tym wymiana instalacji elektrycznej i wodnokanalizacyjnej, wymiana dachu, przebudowa pomieszczeń przebiegły bardzo sprawnie. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu wielu osób sprzyjających rozwojowi szkoły rok 1993/1994 placówka rozpoczynała we własnych murach. Ten przełomowy rok zbiegł się z 30 rocznicą powstania szkoły. W nowym obiekcie kształciło się początkowo 189 uczniów pod kierunkiem 17 nauczycieli.

Zmiany wyzwoliły wiele śmiałych inicjatyw w zarządzaniu szkołą. Zbigniew Czepelak okazał się człowiekiem bardzo kreatywnym. Wyczuwając nowe potrzeby młodzieży i rodziców uruchamiał nowe kierunki kształcenia. Jako pierwsze zastało powołane Liceum Zawodowe 1993 r., a następnie Zasadnicza Szkoła Ogrodnicza 1996 r. Utworzenie liceum było swoistym przełomem w pracy szkoły, ponieważ otworzyło szansę kształcenia młodzieży na poziomie średnim bez konieczności dojeżdżania do odległych szkół w Starym Sączu, Nowym Sączu czy w Krościenku. Poszerzała się baza dydaktyczna i lokalowa placówki. Dzięki zabiegom dyrektora szkoły i przychylności władz gminy, przekazano na potrzeby szkoły budynki Gminnego Zakładu Gospodarki Komunalnej w Łącku w części, w której była zlokalizowana stolarnia. Budynek był bardzo zniszczony i wymagał generalnego remontu. Ze środków budżetowych Ministerstwa Rolnictwa wykonano dach oraz zaadaptowano pomieszczenia byłej stolarni uzyskując dwie sale lekcyjne, małą salę gimnastyczną, sanitariaty, pomieszczenia dla biblioteki szkolnej i pracowni informatycznej. Wyposażenie szkoły uzupełniano ze środków Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (ARiMR), dzięki czemu można było utworzyć specjalistyczne pracownie: komputerową, gastronomiczną i krawiecką oraz warsztaty szkolne. Na potrzeby organizowanych kursów nauki jazdy kat. T i B zakupiono ciągnik i samochód osobowy, a nawet minibusa w celu ułatwienia dowozu młodzieży na zajęcia praktyczne odbywające się w terenie. Środki finansowe agencji wykorzystywano też na cele praktyk zawodowych organizowanych we wspomnianym Gospodarstwie Sadowniczym w Grudyni, Stacji Hodowli Roślin w Dziekanowicach koło Krakowa, Sadowniczym Zakładzie Doświadczalnym w Brzeznej. Uczniowie zainteresowani poszerzaniem umiejętności mogli korzystać z kursów spawaczy i operatorów koparki w Radymnie koło Rzeszowa.

W latach 1994–1996 dzięki współpracy władz gminnych z gminą Puch, na terenie Austrii znacząca grupa młodzieży – ponad setka uczniów – odbywała praktyki w nowoczesnych gospodarstwach agroturystycznych i sadowniczych poza granicami

kraju. Absolwenci z tego okresu wzbudzili zaufanie austriackich rolników. Dzięki nawiązanym kontaktom korzystali z możliwości zarobkowania na terenie Austrii przez kolejne lata po o puszczeniu szkoły.

Szansą na uaktywnienie młodzieży i budowanie wizerunku szkoły w szerszym środowisku stało się w tamtym okresie organizowanie Wojewódzkich Rajdów Szkół Rolniczych. Odbywały się one w maju podczas Dni Kwitnących Jabłoni i cieszyły się ogromnym zainteresowaniem. Wyznaczonymi szlakami górskimi młodzież z odległych miejscowości m.in. Nowego Targu, Bystrej, Lubnia, Mszany Dolnej, Marcinkowic, Nawojowej, Niedzicy wędrowała do Łącka, by wziąć udział w turniejach sportowych i konkursach krajoznawczych.

Szkoła w latach 1993-2004

Tak szeroki zakres działań ukazuje ogromną dynamikę pracy szkoły w tamtym okresie oraz ofiarność i zaangażowanie wielu nauczycieli. Wśród nich wymienić należy m.in. Rozalię Trelę, Bogusława Dudę, śp. Jana Plechtę, Stefana Pogwizda, Tadeusza Zygadło, Annę Grabiec, Zofię Gierczyk, Rozalię Szlęk, Małgorzatę Kwit (Chlipałę), Józefa Piksę.

Bardzo energicznym koordynatorem kształcenia praktycznego okazał się w tym czasie nauczyciel Władysław Baziak, który w latach 1997–2007 podjął formalnie funkcję kierownika kształcenia praktycznego

4. Zespół Szkół w Łącku

W drugiej połowie lat 90. placówka bardzo się zmieniła. Przybywało uczniów i nauczycieli. Szkoła traciła swój rolniczy charakter na rzecz nowych potrzeb rynku pracy. W 1997 r. utworzony został oddział Liceum Ogólnokształcącego. Zasadnicza Szkoła Zawodowa przestała kształcić rolników wychodząc z ofertą kształcenia w zawodach kucharza i krawca. Po trzydziestu kilku latach działalności Zespól Szkół przestał być placówką rolniczą.

Szybko okazało się też, że szkoła docelowo potrzebuje dużego przestronnego budynku z większą ilością pracowni, nowoczesna biblioteką i bazą sportową. Już w roku 1997 Zbigniew Czepelak poczynił pierwsze starania o rozbudowę szkoły i doprowadził do przygotowania dokumentacji projektowej tej inwestycji. Marzenia o nowym budynku musiały być jednak odłożone na później.

5. Zespól Szkół im. św. Kingi w Łącku

Pod koniec lat 90. pojawiła się też potrzeba wzorca wychowawczego jakim jest patron szkoły. Wśród wyłonionych kandydatur znaleźli się: Bracia Potoczkowie, ks. Jan Piaskowy, Maciej Rataj i Błogosławiona Kinga. Po wnikliwej ich prezentacji absolutną większością głosów uczniowskich została wybrana postać Błogosławionej Kingi. Wybór ten skłonił wszystkich do refleksji nad mądrością młodzieży, która wybierając tę patronkę opowiedziała się jednocześnie za wartościami utożsamianymi z tradycją chrześcijańską.

Od 1 stycznia 1999 r. wprowadzono reformę systemu samorządowego w Polsce, w wyniku której prowadzenie szkół ponadpodstawowych stało się zadaniem nowo powstających powiatów. Organem prowadzącym dla Zespołu Szkół Rolniczych oraz Liceum Ogólnokształcącego stał się Powiat Nowosądecki, którego starostą został Jan Golonka. Zmiany organizacyjne w systemie oświaty zbiegły się ze zmianami na stanowisku dyrektora szkoły.

Dyrektor Zbigniew Czepelak przyjął z rąk starosty nowosądeckiego propozycję kierowania Wydziałem Edukacji, Kultury i Sportu w Starostwie Powiatowym w Nowym Sączu, w ramach którego przyjął na siebie obowiązki zarządzania szkołami ponadpodstawowymi na terenie powiatu, w tym szkołą w Łącku. Kierowanie Zespołem przejął Bogusław Duda – nauczyciel związany ze szkołą od roku 1979. Nowy dyrektor z powodzeniem podjął kontynuację zadań swojego poprzednika. We współpracy z rodzicami i gronem pedagogicznym wszczął procedury związane z nadaniem imienia placówce oraz przystąpił do zoorganizowania tej prestiżowej uroczystości.

6 stycznia 2000 r. w obecności wielu znamienitych gości m.in. przedstawicieli władz powiatowych, gminnych, duchowieństwa, rodziców oraz Małopolskiego Kuratora Oświaty, szkoła otrzymała imię św. Kingi. Przekazany został też szkole sztandar poświęcony przez Papieża Jana Pawła II podczas uroczystości kanonizacyjnych św. Kingi w Starym Sączu 16 czerwca 1999 r. „Święci nie przemijają!" wołał Papież na starosądeckich błoniach. Dewiza ta potwierdziła wybór średniowiecznej patronki dla młodzieży wchodzącej w trzecie tysiąclecie.

6 stycznia 2000 r. przed kościołem. Pierwszy poczet sztandarowy – Piotr Rdzawski, Alicja Maurer, Krystyna Kałużna w obecności Dyrektora Bogusława Dudy oraz nauczyciela Jana Dziedziny

Na pamiątkę wydarzenia nadania imienia, każdego roku obchodzone jest święto szkoły, podczas którego prezentowane są osiągnięcia i talenty młodzieży.

Na przełomie lat 1999–2001 jednym z kierunków działań placówki stała się polsko-francuska wymiana młodzieży. Jej inicjatorem była Regionalna Izba Rolnicza we współpracy z Wydziałem Edukacji, Kultury i Sportu Starostwa Powiatowego. Wymiana odbywała się pomiędzy Liceum Rolniczym w Sabaudii a zespołami szkół w Marcinkowicach i w Łącku. Celem wyjazdów było poznanie i porównanie warunków gospodarowania, w tym produkcji sadowniczej i przetwórstwa, walorów turystycznych i systemów oświatowych regionów Rhone Alpes oraz Małopolski. W ramach wyjazdu spora grupa polskiej młodzieży miała też okazję poznać trochę nietypowe gospodarstwa rolnicze specjalizujące się w hodowli kóz lub ślimaków oraz uprawie orzeszków ziemnych. Uczniowie zapoznawali się z produkcją słynnych serów francuskich oraz wina. Podczas dalekiej podróży do Sabaudii wycieczka zatrzymała się w Wenecji, Genewie i Wiedniu, co stało się okazją do zwiedzania tych pięknych miast. Podjęta współpraca przyniosła niezapomniane przeżycia oraz efekty edukacyjne istotne w procesie integracji Polski z Unią Europejską.

Wraz z potrzebami rynku pracy stale poszerzała się oferta edukacyjna placówki. W roku 2000 uruchomiono szkołę policealną dla dorosłych. Funkcjonowała ona do 2008 r., kształcąc w zawodach technik agrobiznesu, technik ekonomista i technik rachunkowości. W tym samym czasie (2000 r.) dotychczasowe liceum zawodowe zostało zastąpione liceum technicznym, a następnie tzw. liceum profilowanym (2002 r.). Zasadnicza szkoła zawodowa podjęła kształcenie młodzieży w nowych zawodach w formie określonej dla tzw. młodocianych pracowników. Od 10 lat absolwentami szkoły stali się kucharze, cukiernicy, piekarze, murarze, mechanicy samochodowi, blacharze, elektrycy, elektromechanicy, krawcy, fryzjerzy, instalatorzy urządzeń sanitarnych, sprzedawcy, stolarze itp. Kształcenie praktyczne dla tych specjalności odbywa się w lokalnych zakładach, z którymi uczniowie podpiszą odpowiednie umowy o pracę.

W roku 2001 nastąpiła kolejna zmiana na stanowisku dyrektora szkoły. Wraz z odejściem Bogusława Dudy na emeryturę od 1 września 2001 r. funkcję kierowniczą przejęła dotychczasowa nauczycielka biologii Lucyna Prostko.

Jednym z pierwszych jej zadań stało się przygotowanie uczniów i nauczycieli do nowej formy egzaminów maturalnych i zawodowych. Wyniki egzaminów zewnętrznych stały się bowiem nowym sposobem oceniania pracy szkoły i poziomu jej absolwentów. Kadra pedagogiczna uzyskała kwalifikacje do pełnienia funkcji egzaminatorów, a szkoła, po wcześniejszej weryfikacji Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej w Krakowie, uzyskała status ośrodka egzaminacyjnego dla wszystkich zawodów nauczanych w szkolnych pracowniach.

Temat rozbudowy szkoły został podjęty na nowo w 2001 r. Koniecznym warunkiem inwestycji stało się uzyskanie przez organ prowadzący – Powiat Nowosądecki prawa własności gruntu. Ogromną przychylność w tym względzie wykazała Rada Gminy w Łącku przekazując nieodpłatnie działkę pod rozbudowę wraz z dotychczasowym budynkiem. Decyzja ta była przykładem daleko idącej troski o dobro wspólne i wzorowego współdziałania różnych organów samorządowych. Powiat Nowosądecki bardzo prężnie przystąpił do realizacji swoich planów. W roku 2003 szkoła otrzymała

piękny prezent – ruszyła rozbudowa. W 40 rocznicę istnienia placówki 4 czerwca został wmurowany kamień węgielny. Mottem umieszczonego w fundamentach powstającego budynku aktu erekcyjnego stały się słowa Stanisława Wyspiańskiego:

„Musimy zrobić coś, co by od nas zależało,
zważywszy, ze dzieje się tak dużo, co nie zależy od nikogo."

Nie minął rok od tego wydarzenia, gdy inwestycja została w pełni wykonana. 28 kwietnia 2004 r. nastąpiło uroczyste przekazanie do użytku nowego obiektu. Wśród zaproszonych gości niewątpliwe powody do dumy miały władze powiatowe reprezentowane przez Starostę Nowosądeckiego, Jana Golonkę, Przewodniczącego Rady Powiatu, Wiesława Bastę oraz innych członków Zarządu i Rady Powiatu. Niewątpliwie swój „wielki życiowy dzień" przeżywał też, przecinając symboliczna wstęgę, Dyrektor Wydziału Edukacji, Kultury i Sportu Starostwa Powiatowego, Zbigniew Czepelak. Były dyrektor szkoły mógł zobaczyć efekty swoich zabiegów na rzecz rozbudowy podjętych w 1997 r. Po 41 latach łącka szkoła otrzymała piękną, nowoczesną bazę. Nie mniejszym sukcesem była 570-osobowa społeczność uczniowska skupiona w 21 oddziałach. Radość z nowej siedziby nie byłaby możliwa bez ogromnego zaangażowania wszystkich dotychczasowych dyrektorów szkoły – Kazimierza Nowaka, Tadeusza Zygadło, Zofii Młynarczyk, Zbigniewa Czepelaka, Bogusława Dudy, Lucyny

Kwiecień 2004 – szkoła rozbudowana

28 kwietnia 2004 – uroczystość otwarcia i poświęcenia nowego obiektu

Prostko oraz jej założyciela Kazimierza Garbacza. Wieloletni ich trud i podejmowane inicjatywy zaowocowały rozwojem placówki na miarę XXI w.

Po uroczystych chwilach praca szkoły skupia się na rzetelnym kształceniu i wychowaniu.

Placówka musi skutecznie konkurować ze szkołami miejskimi, dając młodzieży szansę dalszej edukacji na poziomie akademickim oraz szansę pracy w poszukiwanych zawodach.

W roku 2009/2010 w Zespole Szkół funkcjonują następujące oddziały:

– liceum ogólnokształcące,
– technikum ekonomiczne,
– technikum żywienia i gospodarstwa domowego,
– technikum budownictwa,
– zasadnicza szkoła zawodowa – kucharz małej gastronomii,
– oraz zasadnicza szkoła wielozawodowa.

W 17 oddziałach dla młodzieży kształci się 470 uczniów rekrutujących się z powiatów nowosądeckiego, nowotarskiego i limanowskiego. Szkoła pracuje w systemie jednozmianowym. Dysponuje nowoczesną bazą dydaktyczną w postaci specjalistycznych pracowni: komputerowej i językowej, dwóch pracowni technologicznych dla kierunków gastronomicznych oraz sal lekcyjnych wyposażonych w sprzęt multimedialny. Z pozyskanych przez Powiat Nowosądecki środków finansowych Europejskiego Funduszu Społecznego (EFS) w latach 2010–2013 organizowane będą dodatkowo zajęcia wyrównawcze, lekcje powtórzeniowe przed egzaminami oraz koła przedmiotowe dla uczniów osiągających wysokie wyniki w nauce. W ramach unijnych projektów młodzież może skorzystać z bezpłatnych kursów specjalistycznych. Ekonomiści z kursu prawa jazdy kat. B, kursów „Kadry i płace", „Prowadzenie książki przychodów i rozchodów". Technicy żywienia z kursów: „Zdobnictwa cukierniczego", „Barmana" oraz tzw. „Carvingu", czyli rzeźbienia w owocach. Dzięki pozyskanym samodzielnie przez szkołę środkom EFS w roku 2009/2010 zorganizowano też kursy: „Angielski? Już umiem" adresowany do uczniów gimnazjum oraz „Europejskie Certyfikaty Umiejętności Komputerowych dla mieszkańców gminy Łącko". Ten prestiżowy kurs komputerowy prowadzili wykładowcy Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Nowym Sączu, z którą Zespół podpisał porozumienie dotyczące współpracy dydaktycznej.

W opisanym 47-letnim okresie Zespołu Szkół opuściło ponad 3 tysiące absolwentów. Wielu z nich nauczyciele wymieniają po imieniu, śledząc dalsze losy. Mieszkańcy zaczęli nazywać placówkę „Szkołą św. Kingi", podkreślając tym samym jej wyjątkowy charakter. Nikt nie wyobraża już sobie Łącka bez młodzieży podążającej rano do żółtego budynku przy ulicy ks. Jana Piaskowego. W dalszym ciągu ważna pozostaje lokalna inicjatywa na rzecz tej placówki – SZKOŁA POTRZEBUJE SALI GIMNASTYCZNEJ.

Opisane fakty opracowano na podstawie zachowanej dokumentacji szkolnej, zapisów w kronikach, wypowiedzi udzielonych na łamach szkolnej gazety „Ale Numer".

Kilka osób poproszono o bezpośrednie relacje na temat minionych wydarzeń, w tym: Tadeusza Zgadło, Bogusława Dudę, Zbigniewa Czepelaka, Władysława Baziaka, Rozalię Trelę. Wszystkim serdecznie dziękuję.

Codzienna praca szkoły

Zajęcia z języka angielskiego

Technologia informacyjna

W pracowni gastronomicznej

Stoisko szkoły na Święcie Owocobrania w Łącku

Szkolny wolontariat Laureat Projektu Urzędu Marszałkowskiego Pt. „Mieć wyobraźnię miłosierdzia" w Filharmonii Krakowskiej (listopad 2008 r.) Od lewej Siostra Aleksandra z Przytuliska św. Brata Alberta w Grywałdzie, Kardynał Stanisław Dziwisz, Dyrektor Lucyna Prostko, Starosta Nowosądecki Jan Golonka

Laureaci konkursu w Rzymie

Maria Rysiewicz

ŁĄCKI BANK SPÓŁDZIELCZY
rok założenia 1900

Krótka historia Łąckiego Banku Spółdzielczego

I. Wstęp

Już od początku XVI wieku powstawały w Polsce organizacje, których celem była pomoc wzajemna. Ożywienie nastąpiło w II połowie XVIII wieku. W 1822 r. Stanisław Staszic założył Bank pożyczkowy pod hasłem „ratowania się wspólnie w nieszczęściach". Była to bardzo postępowa organizacja, ale w warunkach feudalno-pańszczyźnianych nie mogła dać oczekiwanych efektów. Władze krajowe podjęły w 1868 r. decyzję o powołaniu Galicyjskiego Zakładu Kredytowego, który miał udzielać kredytów długoterminowych, zabezpieczonych hipoteką. Dążono też do rozwoju gminnych kas pożyczkowych, których kapitały tworzono z pozostałości po likwidacji spichrzy gromadzkich, wpływów ze sprzedaży gruntów oraz z odszkodowań za zlikwidowanie serwituty. Zakład kredytowy upadł już w 1894 r. kredyty były bardzo drogie, zabezpieczenia hipoteczne w warunkach rozdrobnienia i ciągłych podziałów ziemi niemożliwe.

Gminne kasy pożyczkowe nie spełniły swej roli. Prowadzone były przez osoby nie posiadające fachowej wiedzy, dążące do uzyskania własnych korzyści. Brakowało właściwej dokumentacji i ksiąg rachunkowych, nie egzekwowano spłat rat i odsetek. Chłopi galicyjscy dotkliwie odczuli klęskę nieurodzaju w 1875 r. W 1880 r. zlicytowano aż 3240 zagród. Istniała pilna potrzeba pomocy. Próby tworzenia kas Raiffeisena początkowo napotkały na opór Związku Stowarzyszeń Zarobkowych i Gospodarczych, który reprezentował interesy środowiska miejskiego. Nieprzychylnie przyjmowano stowarzyszenia oparte na zasadach z kraju zaborcy. Nieprzychylni byli również polscy obszarnicy, obawiający się aktywności chłopów. Sejm 3 krotnie odrzucał propozycje utworzenia kas na austriackich wzorach Raiffeisena. Za wszelką cenę dążono do przywrócenia kas gminnych, które już nie miały żadnych kapitałów i były fikcją. Pewne ożywienie gospodarcze, a także nasilająca się emigracja zarobkowa pod koniec XIX wieku stwarzały chłopom możliwości dodatkowego zarobku oraz poznanie intensywnych metod uprawy, stosowanych w krajach gospodarczo rozwiniętych. Rolnicy odczuli potrzebę nawożenia ziemi i zakupu maszyn i narzędzi. Pragnęli powiększać swoje gospodarstwa. Rosło zapotrzebowanie na kredyt, a z drugiej strony potrzeba ulokowania chwilowo wolnej gotówki. Rozwój szkolnictwa ludowego wyłonił kadrę organizatorów przyszłych kas.

Pierwsza kasa oparta na wzorach Raiffeisena powstała w Czernichowie w 1889 r. Założycielem był dr Franciszek Stefczyk nauczyciel szkoły rolniczej i wielki społecznik. Przeprowadził on głębokie studia nad różnymi modelami spółek oszczędności i pożyczek, wyjeżdżał za granicę, obserwował i analizował działalność kas i zdecydował, że

w warunkach ubogiej wsi galicyjskiej jedynie kasy Raiffeisena mogą spełnić swoje zadanie. Po 10-ciu latach Sejm powołał Patronat dla Spółek Oszczędności i Pożyczek we Lwowie. Patronat przystąpił do rejestracji Spółek. W 1907 r. powstała własna Centrala finansowa we Lwowie. W 1913 r. istniało 1397 spółek z 320 tysiącami członków.

II. 110 lat historii Łąckiego Banku Spółdzielczego

1. Działalność gospodarcza

28 stycznia 1900 r. powstała w Łącku Spółka Oszczędności i Pożyczek. Założycielami Spółki byli: Ks J. Piaskowy, Kasprzak, Baziak, Sopata, A. Myjak, P. Lenartowicz, J. Babik, J. Szczurkowski i inni.

W skład I Zarządu weszli:

Panteleon Lenartowicz z Łącka	Przewodniczący
– Ks J. Piaskowy z Łącka	Zastępca
– Michał Sopata z Czerńca	Członek
– Józef Szczurkowski z Łącka	Członek
– Jan Babik z Maszkowic	Członek
– Jan Turek z Zarzecza	Członek
– Antoni Myjak z Zagorzyna	Członek

– Jedyną zatrudnioną osobą był kasjer Jan Wadowski z Łącka.

W skład Rady Nadzorczej wybrani zostali:

– Kornel Lewicki z Łącka	Przewodniczący
– Stanisław Wilkowicz z Łącka	Członek
– Antoni Turek z Łącka	Członek
– Michał Domek z Zagorzyna	Członek
– Marcin Turek z Zarzecza	Członek
– Jan Huza z Zabrzeży	Członek
– Jan Babik z Czernca	Członek
– Marcin Zbozień z Maszkowic	Członek
– Piotr Duda z Woli Kosnowej	Członek

W 1908 r. nastąpiła zmiana na stanowisku kasjera. Kasjerem został Stanisław Sopata z Czerńca, który pełnił tę funkcję do 1921 r., ponownie w latach 1923-25, a w latach 1936–1945 jako Prezes Zarządu. W czasie pierwszej wojny światowej Spółka zawiesiła działalność tylko na czas działań wojennych w najbliższej okolicy od 15 listopada do 20 grudnia 1914 r. W 1920 r. rezygnację złożył Stanisław Sopata i Spółka miała problem z zatrudnieniem kasjera. Przez 1 rok kasjerem był Jan Plechta, od 1923 r. ponownie Stanisław Sopata. W latach 20 tych wystąpiły pierwsze trudności

związane z kryzysem. W 1923 roku zmarł Ks J. Piaskowy i Spółka zawiesiła działalność do końca 1924 r. Po reformie walutowej w 1924 r. na rachunkach wkładów zostały 43 gr. Ludność utraciła zaufanie do Spółki i oszczędzania. Mimo trudności działacze dążyli do reaktywacji Spółki.

Po śmierci Franciszka Stefczyka Spółka z dniem 1 stycznia 1925 r. została przemianowana na Kasę Stefczyka. Przewodniczącym Rady został ks Józef Put kasjerem nadal Stanisław Sopata. Dodatkowo trudności pogłębiła powódź w 1934 r. Kasa dotrwała do wybuchu wojny i nie zawiesiła działalności na czas wojny. Całą dokumentację przechowywał i zabezpieczał w czasie wojny Tomasz Kucharski z Łącka. Zaraz po wyzwoleniu na czele z Tomaszem Kucharskim dążono do reaktywowania kasy. Kasa połączyła się z kasami Stefczyka w Jazowsku i Czarnym Potoku. W myśl dekretu z 25.10.1948 r. przemianowano Kasę Stefczyka na Gminną Kasę Spółdzielczą, podporządkowaną Bankowi Rolnemu. Statut nie przewidywał Rady Nadzorczej, ograniczył samorządność spółdzielczą. Ponadto dokonano weryfikacji Członków, wykreślając właścicieli większych gospodarstw uznając ich za wyzyskiwaczy. Wśród wykreślonych byli: Ks Józef Put, Stanisław Kuziel, Piotr Duda, Józef Stanisz z Obidzy, Antoni Stec z Jazowska, Wojciech Krawenda z Jazowska, Kazimierz Baran z Czarnego Potoka, Michał Ćwikowski z Czerńca, Wiktor Królicki z Łącka, Józef Kurzeja, Jan Bogucki, Zofia Stanisz, Wincenty Skut, Jan Potoniec, Jan Zbozień, Tomasz Babik, Kasie groziła likwidacja. Prowadzenia Kasy podjął się Stanisław Jakób. Uporządkował dokumentację i poczynił starania o lokal. W 1951 r. Stanisław Jakób zrezygnował i nowym Przewodniczącym Zarządu został Wincenty Wielosik z Jazowska.

W 1953 r. Kasa została podporządkowana Narodowemu Bankowi Polskiemu. Miała bardzo ograniczoną samodzielność. W 1955 r. kierownictwo Kasy objął Eugeniusz Piksa.

W 1956 r. nastąpiła kolejna zmiana nazwy na „Kasa Spółdzielcza". Od 1956 r. Kasa uzyskała prawo gromadzenia wkładów na własny rachunek.

Z dniem 1 stycznia 1957 r. przywrócono spółdzielczy charakter kas. W 1960 r. wszystkie szkolne kasy oszczędności przeniosły rachunki z PKO do Kasy Spółdzielczej. Przy Radzie Nadzorczej powstał Zespół Pracy Kobiet, którego Przewodniczącym została Janina Zygadło. Zajął się propagowaniem uprawy porzeczki czarnej i podpisał pierwszą w powiecie zbiorową umowę kontraktacyjną z Spółdzielnią Ogrodniczą. Zespół prowadził również wypożyczalnię naczyń. Kasa zatrudniała 5 osób, które dodatkowo obsługiwały przejściowo punkty kasowe w punktach skupu owoców. W dniu 8 lipca 1968 r. powstał pierwszy stały punkt obsługi klientów w Jazowsku. Usilne starania Prezesa Eugeniusza Piksy o własny lokal zakończyły się sukcesem.

W dniu 22 lutego 1969 r. nastąpiło otwarcie nowej własnej siedziby w Łącku. Nastąpiła mechanizacja prac obrachunkowych. Zastosowano maszyny księgujące Ascota, Prezes Zarządu E.Piksa był zawsze otwarty na wszelkie nowe rozwiązania. W 1969 r. Kasa Spółdzielcza została przemianowana na Bank Spółdzielczy.

W 1969 r. po likwidacji Gromadzkiej Rady Narodowej w Gołkowicach, do Gromadzkiej Rady Narodowej w Jazowsku przyłączona została wieś Kadcza, po likwidacji

Gromadzkiej Rady Narodowej w Jazowsku w 1972 r., do Gminy Łącko przyłączono wsie: Jazowsko, Kadcza, Obidza, Brzyna. W 1973 r. od Banku w Podegrodziu przejęto obsługę kasową wsi Szczereż i Czarny Potok i uruchomiono drugi stały punkt w Czarnym Potoku.

W 1975 r. rozpoczął się kolejny okres działalności Banku. Banki Spółdzielcze połączone zostały z Państwowym Bankiem Rolnym, powstał Bank Gospodarki Żywnościowej i nastąpiło ograniczanie spółdzielczej samorządności.

W 1990 r. BGŻ utracił uprawnienia jednostki nadrzędnej wobec banków spółdzielczych i banki uzyskały samodzielność. W okresie transformacji 1100 banków spółdzielczych uległo likwidacji. Z 1600 pozostało 560. Były początkowo traktowane jako relikt przeszłości, banki państwowe wyposażono w potężne kapitały. Po dłuższym czasie, w szczególności ostatni kryzys dowiódł, że spółdzielcza forma gospodarowania sprawdziła się.

Łącki Bank Spółdzielczy wykorzystując możliwości samodzielnego rozwoju rozszerzył teren działania i uruchomił sieć punktów obsługi klientów na terenie Nowego Sącza i powiatu Nowosądeckiego, w Gminie Ochotnica Dolna, Rytro oraz w mieście Tarnowie. Bank posiada 20 Punktów Obsługi Klientów, zatrudnia 120 osób. W roku jubileuszu otwarta zostaje nowa siedziba Banku.

2. Działalność społeczna

Ważnym kierunkiem działalności Banku była i jest działalność społeczna. W drugim roku działalności sprowadzono dla członków wagon nawozów sztucznych, mówiono o potrzebie łączenia się w stowarzyszenia handlowe i przemysłowe, zakupiono wagę bydlęcą, inicjowano zakładanie bezdymnych suszarni, przetwórni zespołowych, sklepu, spółdzielni mleczarskiej. Ożywiono dwa kółka rolnicze. Zakupiono zegar na wieżę kościoła, dwa witraże. W okresie powojennym organizowano szkolenia rolnicze i spółdzielcze, wspierano lokalne inicjatywy.

3. Zarządzanie Bankiem

Prezes Zarządu:

– Panteleon Lenartowicz	1900–1907
– Ks J. Piaskowy	1907–1923
– Jan Plechta	1925–1934
– Stanisław Sopata	1934–1945
– Alojzy Szczurkowski	1945–1948
– Maciej Talar	1948–1949
– Stanisław Jakób	1949–1951
– Wincenty Wielosik	1951–1955

– Eugeniusz Piksa
  – Prezes 1955–1990
  – Członek Zarządu 1990–2008
  – Dyrektor do 1986
– Maria Rysiewicz
  – Dyrektor od 1986
  – Prezes od 1990

Kasjer jedyny etatowy Pracownik w przedwojennym okresie:

– Jan Wadowski 1900–1907

– Stanisław Sopata 1908–1921

– Jan Plechta 1922

– Stanisław Sopata 1923–1935

Ceniony Kasjer, po rezygnacji w 1920 r. Spółka rozważała zawieszenie działalności.

– Tomasz Kucharski 1935–1945

Pracował bardzo rzetelnie, odbył kurs kasjerów w Krakowie, kurs księgowości, zabezpieczył w czasie wojny i przechował akta kasy, po wojnie przystąpił do ożywienia jej działalności.

Bibliografia:

1. A. Górnicz, Franciszek Stefczyk – *Życie, poglądy,* 1976
2. St. Inglot – *Zarys historii polskiego ruchu spółdzielczego*, praca zbiorowa, 1971
3. T. Kowalak – *Z dziejów spółdzielczości polskiej*, 1971
4. Protokoły z posiedzeń Rady Nadzorczej
5. Protokoły z posiedzeń Zarządu

Kasa Spółdzielcza w Łącku w budynku A. Franczyka - maj 1967 r. Na zdjęciu: Eugeniusz Piksa – Kierownik, Jadwiga Adamczyk – księgowa, właściciel budynku Augustyn Franczyk w dniu próby włamania do kasy (obok okna widoczne ślady)

Budowa siedziby kasy w Łącku w Rynku – 1968 r.

Otwarcie własnego budynku w dniu 22 lutego 1969 r. – pierwsi Klienci

Powódź – lipiec 1997 r.

Plac budowy nowej siedziby Banku – 11 luty 2009 r.

Jubileusz 105 lat istnienia Banku i 50-lecie pracy w Zarządzie – Eugeniusz Piksa – lipiec 2005 r.

Własny budynek – siedziba POK w Jazowsku – 2001 r.

Nowy budynek bankowy Łącko - grudzień 2009 r.

Własny budynek – siedziba POK w Nowym Sączu – 2008 r.

Julian Dybiec

Z Łącka w świat

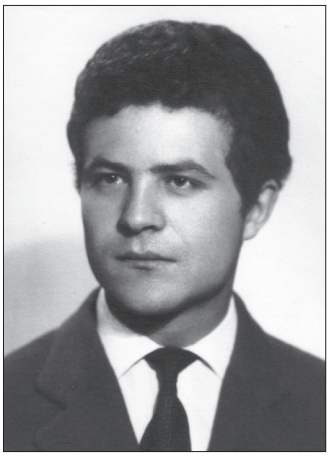

Julian Dybiec – zakończenie studiów

Proszę nie myśleć, że te wspomnienia piszę, aby podkreślić swoją drogę życiową. Pragnę jedynie pokazać, jak mój przypadek był typowy dla ówczesnych, dziś już odległych czasów. Pragnę też nawiązać do publikacji o młodzieży z Łącka i okolic na studiach i rozpocząć po wspomnieniach Bolesława Farona serię publikacji o wychodzeniu z rodzinnych miejscowości w świat, przynajmniej tych osób, które udało mi się do tego nakłonić. Opis wychodzenia w świat ze swej Małej Ojczyzny za pomocą edukacji znamy tylko w ograniczonym zakresie i tylko z powojennych czasów dzięki książce Tadeusza Aleksandra *Awans oświatowy młodzieży wiejskiej 1945–1970 na przykładzie Sądecczyzny* (Olsztyn 1972).

Z poprzednich okresów mimo kilkudziesięciu osób, które wyszły z tych okolic i zdobyły społeczne pozycje nie mamy żadnych informacji, źródeł pokazujących w jakich warunkach wydobywali się do innego świata. Tylko pośrednio z podań uniwersyteckich Antoniego Kurzeji autora *Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama…*, Jana Bulandy późniejszego profesora tarnowskiego gimnazjum im. Kazimierza Brodzińskiego możemy wnosić, że była to trudna droga, jaką musiała pokonywać z reguły biedna młodzież z tych okolic.

Tradycyjnie opis wychodzenia w świat zaczyna się od kończenia szkoły elementarnej, która jest na miejscu, i przechodzenia do średniej, znajdującej się w oddalonym mieście. Zazwyczaj jest to pierwsza bariera wiedzy i cywilizacji. Wiedzy, gdyż szkoła średnia zaczyna naukę od pewnego stałego poziomu określonego programem nauczania i własną tradycją. Do szkoły chodzą uczniowie z różnych geograficznych, społecznych i edukacyjnych środowisk. W szkole średniej ukazują się braki szkoły elementarnej albo też zaniedbania jej absolwentów bądź też mniejsze lub większe zdolności. Bariera cywilizacyjna polega najczęściej na tym, że dziecko ze środowiska wiejskiego, małego, prowincjonalnego wchodziło w krąg ludzi, spraw, współkolegów reprezentujących kulturę miejską. Często miejskość przytłaczała dzieci z prowincji. Brak im było tzw. „obycia". Język, wyrażenia gwarowe wyróżniały ich z całości. Prowadziły do kpin kolegów, a nawet nietaktownych nauczycieli. Różnorodne drukowane pamiętniki szkolne, zwłaszcza wybitnego uczonego Stanisława Pigonia *Z Komborni w świat* (szczególnie piękne i głębokie) pokazują te trudności przedzierania się w świat miejski, szkoły średniej i studiów.

Przechodzenie ze szkoły podstawowej do średniej oznacza nie tylko rozpoczynanie nowego etapu, ale też jest rezultatem poprzedniego. Tak widzę tę sprawę z własnej perspektywy.

Moje przejście do szkoły średniej było rezultatem bardzo wielu czynników, działających w małej miejscowości jaką było Łącko. Zatem bardzo ważną była atmosfera rodzinna. Mama była zapaloną czytelniczką literatury pięknej. Przemykało jej przed oczami wiele dzieł literackich, a także z dziedziny religijnej. Być może, że częściowo wynikało to z kontaktów ze światem nauczycielskim (u stryja mieszkał kierownik szkoły) i lekarskim (związki zarobkowe). Mój dom rodzinny został wybudowany w okresie międzywojennym, przy jednej z głównych ulic – Kościelnej – ks. Jana Piaskowego. Był przy tej ulicy jednym z niewielu budynków z cegły, otynkowany i jedyny który miał balkon. Balkon miała tylko apteka i budynek Wacława Rolnego i restauratora Michała Piksy. Przed wojną Łącko stawało się, jak dowodzą pocztówki i publikacje współczesne miejscowością letniskową. Wybierano nasz mały dom, bo był nowy, elegancki i czysty. Ulubili go sobie zwłaszcza biedni klerycy, którzy przyjeżdżali tu na wypoczynek i modne wówczas leczenie klimatyczne. Często z powodu braku pieniędzy, mej wrażliwej na biedę i wyrozumiałej Mamie zostawiali książki religijne a nawet modlitewniki. Jeszcze w latach pięćdziesiątych XX w. było kilka pięknie wydanych modlitewników z kolorowymi rycinami co było wówczas niespotykane. W taki sposób znalazły się m.in. w domu staropolskie *Żywoty świętych* Piotra Skargi. Być może ta tradycja przeszła na mą siostrę, która za wcześniej zapracowane pieniądze kupowała i czytała – kontemplowała rozmyślania Alfonsa Liguoriego i inne utwory rozwijające i formujące duchowość. Będąc w Krakowie na studiach dawałem te książki do oprawy introligatorom.

Wieczorami, przy lampie naftowej nasza kuchnia zamieniała się w czytelnię. W pamięci tkwi mi *Profesor Wilczur* Tadeusza Dołęgi Mostowicza, który był naszą własnością i wywoływał podczas czytania łzy. Poruszały moją wyobraźnię głośno czytane książki o Joannie D`Arc, tym silniej, że miały drzeworyty ze scenami z jej życia. Były to książki pożyczane w Łącku od znajomej siostry, ale też lektury z miejscowej biblioteki, np. J. I. Kraszewskiego *Hrabina Cosel*, która wywoływała sympatię i współczucie dla niej.

Do książek, które ja głośno czytałem wieczorami dla rodziny należał ulubiony *Robinson Cruzoe*, w jakiejś przeróbce chyba jeszcze galicyjskiej z ilustracjami, a także historia biblijna z ilustracjami. Utkwiła mi też w pamięci książka używana przez dziadka *W lochach zamczyska*, której autora odkryłem o wiele lat później przeglądając K. Estreichera *Bibliografię Polską*. Książki pożyczało się też od stryja Stanisława Dybca, który należał do założycieli i pracowników Towarzystwa Szkoły Ludowej w Łącku i występował w miejscowym teatrzyku.

Ta lektura była jednak czasami niebezpieczna. Gdy bowiem raz pod wpływem książki o konstytucji międzywojennej zapytałem na lekcji kierownika szkoły Kazimierza Nowaka o to jaka jest panująca religia w Polsce, potraktował to niemal jako prowokację i niemal całą lekcję poświęcił na wyjaśnienie problemu religii w PRL. Wspomnę, że innym razem nauczycielka odebrała mi przyniesioną do klasy domową

książeczkę wydaną przez Niemców o zbrodni katyńskiej z przerażającymi zdjęciami, a także przedwojenny podręcznik do literatury polskiej w szkole średniej.

Te wszystkie okoliczności oraz chęć nauki i dobre oceny sprawiły, że gdy w dzień otrzymania świadectwa siódmej klasy nasza nauczycielka p. Janina Zygadło zagadnęła mą siostrę,w której towarzystwie się znajdowałem, o dalszą mą edukację zapadła decyzja o dalszej nauce. Do kontynuowania przeze mnie nauki p. Zygadło bardzo zachęcała mą siostrę. Siostra parę lat starsza ode mnie otrzymała wówczas pierwszą pracę w Gminnej Spółdzielni w Łącku i wzięła na siebie trud opłacania mi nauki w pierwszej klasie, ze swej bardzo małej pensji.

Sprawa została zatem wstępnie rozstrzygnięta. Problem pozostawał tylko do jakiej szkoły. W Łącku, w mej rodzinie, była silna tradycja kształcenia specjalistycznego – zawodowego. Stryj formował się u Stanisława Bocheńskiego na malarza i pozłotnika, drugi brat ojca na rymarza i kupca. Synowie siostry ojca Stanisław i Mieczysław Arendarczykowie poszli do Liceum Pedagogicznego w Starym Sączu i zostali potem nauczycielami podobnie jak Maria Wąchała z Łącka. Inni jak Jan Myjak udawali się do seminarium duchownego i to aż na Śląsk. Niezbyt wiele osób szło i tylko z niektórych środowisk do liceum ogólnokształcącego np. Lipieniowie – Antoni i Kazimierz, Lubomir Pawłowski.

Ustalono zatem, że pójdę do dobrego liceum kupieckiego w Nowym Sączu noszącego wówczas nazwę Technikum Finansowe. Zdobędę zawód, bardzo wówczas poszukiwany i usamodzielnię się. Z obu siódmych klas mojego rocznika zaledwie parę osób wybrało się na dalszą naukę. Krystyna Pasoń, Justyna Zborowska, Helena Mrówka, Stanisław Piksa i Antoni Arendarczyk do Liceum Pedagogicznego, Antoni Faron, Janina Leśniak, Józef Myjak do Liceum Ogólnokształcącego.

W czerwcowy ranek pod opieką siostry udaliśmy się PKSem na egzamin wstępny: Helena Mrówka, kuzynka Zofia Arendarczyk i ja. Zdawało się egzamin z matematyki i polskiego. Zadanie matematyczne o budowie drogi rozwiązałem natychmiast dwoma sposobami za pomocą zastosowania proporcji i równania. Musiało ukontentować prof. Józefa Szafrańskiego, gdyż już o nic nie pytał. Wypracowanie polskie też stosunkowo szybko i obszernie napisałem, ale znaleziono w nim usterki ortograficzne i krótkie wyjaśnienie wykazujące moje gruntowne oczytanie zadowoliło egzaminatorkę prof. Marię Rawską. Po wakacjach rozpoczął się nowy etap życia, w nowym nieznanym i obcym mi środowisku. Ostatecznie w szkole znalazła się jeszcze tylko kuzynka i ja, a H. Mrówka przeszła do Liceum Pedagogicznego.

Do nowych warunków należało się wcześniej przygotować. Trzeba było w coś zapakować rzeczy i załatwić kwaterę. Wiktoria i Henryk Wiatrowie odkurzyli drewniany kuferek, chyba jeszcze pamiętający czasy austriackie lub międzywojenne i przekazali mi go jako mężczyźnie, mówiąc, że służył uczniom (zachowuję go do Muzeum Łąckiego). Ostatecznie nie skorzystałem z niego, gdyż po pewnym czasie siostra zaopatrzyła mnie w nową walizkę. Mieszkanie załatwiła również siostra w rynku, naprzeciw ratusza od strony fary. Dzieliłem pokój z rodziną urzędniczo-handlową, mającą dwóch młodszych ode mnie synów, z których jeden ukończył później Wyższą

Szkołę Ekonomiczną. Kuzynka mieszkała w pobliżu, naprzeciw fary sądeckiej. Potem od drugiego roku zmieniliśmy nasze kwatery.

Szkoła i klasa w której się znalazłem we wrześniu 1954 r. stanowiła duże zbiorowisko bardzo zróżnicowanej młodzieży. Część uczniów pochodziła spoza Nowego Sącza np. ze Starego Sącza, Limanowej, Trzetrzewiny, Piwnicznej, jeden z kolegów klasowych dojeżdżał bodajże ze Stróż. Chyba mniejsza część klasy pochodziła z Nowego Sącza.

Byłem bardzo zżyty z rodziną, Łąckiem, kolegami i dlatego wielkim szokiem było dla mnie znalezienie się w N. Sączu jedynie z kuzynką, nad którą według próśb cioci miałem czuwać. Na nic zdały się moje wcześniejsze doświadczenia a więc pobyt na koloniach, a nawet na „Zlocie Młodych Przodowników Budowniczych Polski Ludowej" w Warszawie podczas uchwalenia Konstytucji w 1952 r. Tęsknota była tak wielka, że prosiłem siostrę by mię przeniosła do liceum ogólnokształcącego w Krościenku, gdzie uczyli się moi klasowi koledzy m.in. Józef Myjak późniejszy profesor Akademii Górniczo-Hutniczej i Antoni Faron spod Pożóg w Łącku. Ostatecznie pozostałem w Sączu. Nie odpowiadał mi też kierunek bardzo fachowy szkoły. Mimo, że dotychczas matematyka była dla mnie takim samym przedmiotem jak wiele innych, tutaj, siedząc chyba bliżej końca ławek, nie mogłem zrozumieć wykładu profesora Jewdokimowa, który przybył do naszej szkoły. Był chyba trochę zrusyfikowanym Polakiem, albo spolonizowanym Rosjaninem kresowym. Mówiono też, że był rosyjskim arystokratą. Moje zainteresowania i predyspozycje z czasem bardziej ewoluowały w kierunku humanistycznym. Odpisywano moje wypracowania z polskiego, a pomagano w matematyce. Zespół nauczycieli był bardzo zróżnicowany pod każdym względem. Nie było tutaj tej zatęchłej rutyny starogalicyjskiej jaka w niektórych przedmiotach panowała w I liceum im. J. Długosza, z którego koledzy skarżyli się na niepedagogiczne epitety z jakimi niektórzy nauczyciele zwracali się do uczniów. Języka polskiego uczyła prof. Maria Rawska, uczennica prof. Zygmunta Czernego, romanisty w Uniwersytecie Lwowskim, która dopiero po moim wyjściu ze szkoły ujawniła swą świetną francuszczyznę. Rachunkowości uczył prof. Józef Szafrański, świetny fachowiec, wpajający punktualność, solidność, odpowiedzialność, ale zarazem mający pewną dozę bezwzględności. Ekonomia polityczna była domeną prof. Jerzego Potoczka, człowieka wówczas z przekonania komunisty, ale liberalnego. W dziedzinie technologii sprawdzał nas prof. Wałęga, którego żona bardzo poczciwa i czcigodna osoba uczyła mnie w szkole podstawowej rosyjskiego, a ja nieszczęsny parę razy urządziłem jej „kawały" językowe (rusycystyczne). Prof. Wałęga uczył nas też języka niemieckiego w czasie jego lekcji tego przedmiotu przez pewien czas toczyliśmy z nim wojnę. W rosyjski wprawiała nas pani z kresów, bardzo poczciwa, zwracająca także uwagę nam na savoir vivre. Z fizyką zapoznała nas wytworna prof. Maria Flis. Rachunków gospodarczych chyba, i biurowości nauczała prof. Kellerowa, a jej mąż ze Śląska Cieszyńskiego o postawie nieskazitelnego sportowca i człowieka z dobrymi manierami prowadził wychowanie fizyczne. Potem przyszła po studiach dowcipna pochodząca chyba z Limanowej prof. Pach i zapoznała nas z planowaniem oraz świeżo po studiach prof. Jan Legut-

ko (później poślubił mą kuzynkę) i rozpoczął błyskotliwą dla niektórych zbyt szybką edukację matematyczną. Chemię i biologię poznaliśmy pod kierunkiem prof. Eugeniusza Frőhlicha ucznia prof. Władysława Szafera w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Utrzymanie mnie w świadomości historycznej zawdzięczam prof. Eleonorze Żdżańskiej, absolwentce Uniwersytetu Lwowskiego, uczennicy znakomitego historyka Stanisława Łempickiego. To jej bardzo szybko wpadłem w oko jako uczeń nietypowy w tego rodzaju szkole, który interesuje się historią i najlepiej ją zna. To jej zwrócenie uwagi i wyróżnianie mnie, jak mi się wydaje zadecydowało o mej przyszłości. Z perspektywy czasu bardzo też cenię mego pierwszego profesora matematyki, któremu urządzałem „psikusy", gdy widziałem, że wywołuje do odpowiedzi uczennicę, która nie jest do tego przygotowana i w efekcie mego żartu, pytał inną o podobnym nazwisku, ale gotową do egzaminowania. Ów prof. o wielkim sercu i liberalnej postawie zawsze mówił „Nu wiem, że pan jest humanistą, ale matematyki też trochę należy umieć".

Mimo dobrych nauczycieli, przyjaznych nam przynajmniej w dwu pierwszych klasach 1954/55, 1955/56, atmosfera w szkole była duszna. Ekonomii uczyliśmy się z ogromnego podręcznika, wydanego przez Rosyjską Akademię Nauk i przetłumaczonego na polski. Odbywały się pogadanki światopoglądowo-ideologiczne. Działał Związek Młodzieży Polskiej. Niewiele brakowało, abym przez niego wyleciał ze szkoły. Kiedy opuszczaliśmy szkołę podstawową nasz nauczyciel Mikulec, wszystkich tych, którzy wybierali się na dalszą edukację zapisał do tej organizacji, mówiąc, że bez tego nie dostaniemy się do żadnej szkoły. Ponieważ chyba byłem dosyć lubiany w szkole, miałem najwięcej głosów w wyborach na przewodniczącego ZMP. Nie paliłem się do tego i tym bardziej się ucieszyłem, kiedy po perswazjach prof. Jerzego Potoczka objąłem funkcję zastępcy, a główne stanowisko przypadło osobie z pożądanym „wyrobieniem" ideologiczno-światopoglądowym. Mimo członkostwa i funkcji, wskutek mego ciągłego „niewyparzonego języka" wymknęła mi się jakaś niepolityczna wypowiedź, z którą do dyrektora szkoły zaczęła biec moja koleżanka. Zadrżałem cały, gdyż nie miałem innej alternatywy jak tylko nauka, a tymczasem w taki głupi sposób byłbym musiał stracić wszelką szkołę. Bardzo wiele błagań kosztowało mnie uproszenie koleżanki, aby nie biegła z donosem do dyrekcji.

Odetchnąłem więc z ulgą po wydarzeniach w 1956 r. i byłem pierwszym w Nowym Sączu, który w szkole doprowadził do publicznego rozwiązania ZMP. Potem już do żadnej organizacji ideologicznej nie zapisałem się w szkole, a za moim przykładem także inni z klasy. Dopiero kiedy część osób została „przekupiona" bodajże obozem wędrownym nastąpiły pod wpływem prof. J. Potoczka zapisy do nowej organizacji: Związku Młodzieży Socjalistycznej. Nie wróciła już jednak tak duszna atmosfera jak była przed 1956 r. Wówczas też ponownie weszła nauka religii. Uczyliśmy się jej, ci którzy mieszkaliśmy w Sączu w specjalnym lokalu. Wówczas nie wiedziałem, że uczył nas bardzo bystry i dobrze wykształcony jezuita, Jan Mikuła autor życiorysu o ks. Karolu Antoniewiczu w Polskim Słowniku Biograficznym. Nauka religii przez wytrawnego jezuitę dostarczała argumentów do dyskusji światopoglądowych z prof. J. Potoczkiem

i odwrotnie. Po przemianach politycznych, w czasie różnorodnych dyskusji i ataków prof. Potoczek zawsze argumentował – odpierał krytykę mym nazwiskiem, twierdząc, że nie spotkały mnie za mą postawę z jego strony żadne szykany.

Zmorą mych sądeckich czasów była konieczność zbiorowego mieszkania. Współmieszkańcami byli bardzo różnorodni uczniowie. Jeden z nich został księdzem, inny z okolic Czarnego Potoka – Owieczki ukończył studia wyższe. Mamą jego była bodajże przedwojenna pokojówka chyba w dworze czarnopotockim i cechował się wytwornymi manierami stołowymi. Przyjemnie było patrzeć jak kunsztownie i artystycznie posługiwał się sztućcami wydawało się, że to sam Czartoryski biesiaduje przy obiedzie. Był też uczeń, który potem wyjechał do Izraela, i zgłaszał pretensje do Polski. Mimo młodego wieku i szkoły zawodowej, do której uczęszczał, toczyły się z nim zażarte dyskusje na tematy ogólne. Często z braku argumentów kwitował oponenta określeniem „chłopski filozof". Ale było i towarzystwo nieznośne, pijaków i bijatyków.

O dalszym kierunku w pewnym stopniu oprócz historii zadecydowało moje zainteresowanie krajoznawstwem i stworzenie kręgu turystycznego. Zaczęło się od lektury Jana Wiktora *Pieniny i Ziemia Sądecka* odkrywającej czar Beskidów. Potem przyszło także przeglądanie prasy. Założyłem album turystyczno-geograficzny z wycinkami różnych widoków z gazet, a nawet książek. Zwolennikiem turystyki była też prof. Maria Flis. To na jej życzenie parokrotnie referowałem w klasie o zabytkach przyrody, historii, trasach turystycznych. Z nią odbyliśmy wycieczkę na Mogielicę, Gorc i Turbacz. Jej postawa oznaczała aprobatę tego co robiłem. Z czasem zgromadziliśmy się w koleżeński krąg turystyczny. Pod wpływem artykułu o Babiej Górze w jakieś gazecie, który wyciąłem, w wakacje udaliśmy się na nią, bardzo długą trasą. Stanisław Chochorowski, Józef Rejowski, Jan Wojtas, Józef Brożek późniejszy I sekretarz komitetu wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wyszli ze Starego Sącza na Prehybę i doszli do Dzwonkówki. Ja z Łącka doszedłem do nich na tym szczycie. Potem przez Krościenko, Turbacz do Klikuszowej (nocleg) i potem z Osielca na Babią Górę. Tato J. Brożka pracował w sądeckiej spółdzielni wytwarzającej m.in. namioty wojskowe i pożyczył nam jeden z nich. Nieśliśmy zatem ten ciężki namiot przez cały czas.

Szkoła miała też niezależnie od oficjalnej biblioteki, schowaną przedwojenną. Kiedy ją wykryłem w szkolnych zakamarkach przeglądałem książki o postaciach Polski. Pamiętam też książkę Ludwika Kolankowskiego *Polska Jagiellonów*. Tutaj też w szkolnym sklepiku już na zakończenie kupiłem I tom wielkiej i wówczas tajemniczej dla mnie *Historii Polski* wydanej przez Polską Akademię Nauk, którą kontynuowano potem parenaście lat i mam ją w całości. W czasach stalinowskich trzeba było zbierać i oddawać w szkole makulaturę. Pamiętam, że ze zgromadzonych w szkole książek – makulatury wydobyłem ładne dzieło o św. Stanisławie Kostce. Natomiast na pierwszej kwaterze w bibliotece rodziny, u której mieszkałem znalazłem i przeczytałem książkę o św. Stanisławie Szczepanowskim wydaną w stalinowskiej Polsce przed 1954 r. Wstrząsnęła mną ona dogłębnie, ponieważ absolutnie nie zgadzała się z mą wiedzą, wyobrażeniami i przekonaniami o tej postaci. Wydawało mi się, że trzeba poznać

o niej prawdę. Zaciekawiła mię też zagadka Zyndrama z Maszkowic i jego zamku. O zamczysku i innych historiach np. kościele, skrzyni odkopanej zawierającej monstrancję opowiadał mi dziadek, pracujący na Węgrzech, w Prusach (opolskie) i USA.

Nauka upływała mi jednak na przekonaniu, że należy skończyć szkołę, popracować parę lat i zgromadzić pieniądze na studia. O nich przesądził jednak przypadek potwierdzający dotychczasową drogę. W ostatniej klasie w czasie jednej z lekcji wszedł dyr. Eugeniusz Fröhlich, i zapytał, kto wybiera się na studia i jakie. Zaczął zapisywać zgłaszających się. Jako pierwszy zgłosiłem się na historię. Z mojej klasy jeszcze tylko Helena Golonka z Biegonic i Krystyna Gorczan ze Starego Sącza zgłosiły się do Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie i Katowicach i Marek Korona z Popowic, syn nauczyciela zapowiadał chęć udania się na studia za rok. Potem jeszcze z osób, z którymi zaczynałem naukę w pierwszej klasie Władysław Prędki z Limanowej, Jan Wojtas ze Starego Sącza i Józef Brożek ukończyli studia bodajże zaocznie a Antoni Gołębiowski zdobył stopień doktora matematyki i stanowisko pułkownika. Z sąsiedniej klasy Zofia Arendarczyk zaocznie ukończyła studia matematyczne w WSP w Krakowie. Przedtem nie było większej tradycji szkolnej, by wybierano się na studia. Nęciła pewna praca i zarobki, bowiem absolwenci tej szkoły byli bardzo cenieni. O ile pamiętam wcześniej chyba tylko jedna osoba skończyła krakowską szkołę ekonomiczną. Dopiero w następnych latach sytuacja radykalnie się zmieniła. Polonistykę skończyła Maria Leśniak z Nowego Sącza (Uniwersytet Jagielloński) i Stanisław Kałuziński z Łącka (Wyższa Szkoła Pedagogiczna), a uczelnie ekonomiczne Marian Noga i Adam Noga z Nowego Sącza.

Ponieważ wówczas jeszcze nie panowała psychoza, że bardzo trudno dostać się do Uniwersytetu Jagiellońskiego i jest tam bardzo wysoki poziom a tylko w Wyższej Szkole Pedagogicznej jest łatwiej zgłosiłem się i wypełniłem ankietę do Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W ten sposób stanąłem przed nie lada wyzwaniem. Zakres i poziom nauczania historii i polskiego w średniej szkole zawodowej – technikum ekonomiczne był bardzo wówczas ograniczony. Dominowały przedmioty zawodowe. Całymi dniami wykonywaliśmy ćwiczenia i prace z rachunkowości – księgowanie. Kalkulacje i bilans w których wszystko musiało się zgodzić co do grosza często zadręczały nawet najlepszych uczniów tej dziedzinie. Mało było czasu na coś innego. Przy tym dosyć ostra i surowa matura.

Postarałem się o informator na studia. Przepisano mi obszerne dyspozycje wymagań i zagadnień. Do dzisiaj zachowuję wdzięczność tym, którzy jako uczniowie bezinteresownie to robili. Potem przerażenie – to cała historia polska i powszechna. Rozpoczęło się czytanie podręczników liceum ogólnokształcącego i robienie notatek. Następnie uczenie się. Dobra prof. Żdżańska wypożyczyła mi od prof. Szczudło z Krakowa przedwojenne ogromne podręczniki Jana Dąbrowskiego. Zapisałem się też na kurs przygotowawczy na studia. Pieniądze na studia zdobyłem dzięki uzyskaniu zapłaty za praktykę w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej. Sprzedałem też zupełnie nowy rower, na który część pienię-

dzy zarobiłem sam, a część dał mi tata. Z tymi kwotami zaczynałem swą przygodę w Krakowie.

Z wykładów i ćwiczeń przygotowawczych niewiele dzisiaj pamiętam. Utrwaliły mi się natomiast nazwiska kolegów na tym kursie, np.Zbyszka Kowalika późniejszego polonisty, męża prof. filologii w UJ, psychologa Leszka Sokołowskiego, Krystyny Korbut, absolwentki średniej szkoły artystycznej, potem profesor w szkole średniej w Andrychowie (Korbut Płonka). Całkowicie natomiast wrył mi się w świadomość pobyt w domu studentów Wyższej Szkoły Ekonomicznej przy ulicy Racławickiej. Byliśmy zakwaterowani w dużej sali. Żadnego regulaminu nie było. Dyskusje i rozmowy prowadzone były do późnej nocy. Palono też papierosy, co było dla mnie nie do zniesienia. Wciąż było się niewyspanym. Kurs wymagał też wyrzeczeń, na komers – bal maturalny jechałem po zajęciach i byłem na nim tylko w nocy, a potem powrót do Krakowa. Z bezsenności myliłem z Warszawy, gdzie bywałem ulicę Puławską i ulicę Karmelicką przejeżdżałem daleko za Racławicką.

Nadszedł wreszcie dzień egzaminu. Wypracowanie historyczne napisałem o Rewolucji Francuskiej, głównie na podstawie osławionych podręczników radzieckich, które przetłumaczone na polski obowiązywały w szkołach. Egzamin ustny zdawaliśmy w seminarium historycznym mieszczącym się koło słynnej sali 56, z której zabrano profesorów Uniwersytetu do Sachsenhausen w 1939 r. W oczekiwaniu na egzamin poznawało się kandydatów, którzy często potem stawali się kolegami. Na ogół byliśmy sami. Tylko jeden z kandydatów był z matką. Był to Tomasz Fałęcki z Katowic, późniejszy kolega na studiach. Jego matka była pianistką w Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach. Tomek nas trochę wprawiał w nienajlepszy humor, bowiem bez przerwy wypytywał wychodzących z egzaminu o pytania i głośno komentował jakie to są łatwe. Trzeba przyznać, że skończył liceum ogólnokształcące i był ponadto bardzo dobrze oczytany i edukowany. Wreszcie wszedłem do sali i tu stres. Egzaminatorem w Komisji o czym się później dowiedziałem był doc. Józef Mitkowski – pedantyczny średniowiecznik. Stwierdził że nie mam świadectwa maturalnego, a bez niego nie może być egzaminu. Tłumaczyłem, że powinno nadejść, gdyż szkoła nie miała blankietów dyplomów i nikt nie dostał świadectwa nie będąc w Sączu, przebywając na kursie nie mogłem się o nie starać. Wreszcie egzaminator ustąpił i zaczął pytać. W tym momencie wszedł kolega poznany na kursie wspomniany Kowalik i przyniósł list ze świadectwem, który nadszedł z Sącza na adres ul. Racławickiej. Znów sytuacja dla egzaminatora dziwna i trochę podejrzana. Pytania rozszerzał i uzupełniał analitycznymi kwestiami z historii średniowiecznej. Ja przyparty zostałem pytaniem o Bałtów. Po wielu latach zrozumiałem, że wówczas i jeszcze przez dłuższy okres później egzaminowano i na ogół nawet przy ogólnych pytaniach „pomagano" kandydatowi zadając kwestie z zakresu wiedzy i specjalizacji egzaminatora. Bardziej odpowiadały mi epoki późniejsze, i lepiej je znałem niż szczegóły z dziejów średniowiecznych, których nie było w podręcznikach. Los chciał jednak inaczej.

Z języka polskiego o czym później się dowiedziałem egzaminował mnie prof. Henryk Barycz. Wówczas nikt jeszcze z uczniów Liceum Długosza nie wiedział kto

to jest, a tym bardziej w Technikum Ekonomicznym. Poza chyba oficjalnymi pytaniami egzaminator indagował mnie o historii Sądecczyzny, Żegotę Paulego, Szczęsnego Morawskiego. Ja zaś wiedziałem o nich tylko tyle ile zdołałem się dowiedzieć u Jana Wiktora i w innych pomniejszych drobnych pracach. Nie wiedziałem i nie mogłem sprostać wytrawnemu eurydycie o randze ogólnopolskiej i zarazem znawcy sądeckiej historiografii, autorowi prac m.in. o Szczęsnym Morawskim. Profesor okazał się wyrozumiały i chyba łaskawy dla kandydata.

Po tych przejściach przyjazd do Łącka na wakacje i nerwowe oczekiwanie na wynik egzaminu. Nerwowe, bowiem nasz rocznik szkolny po raz pierwszy od dłuższego czasu rozpoczął ofensywę na wyższe uczelnie i Uniwersytet, i dlatego staliśmy się przedmiotem obserwacji. Kolega Antek Faron zdawał do Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie, Janina Leśniak do Uniwersytetu Warszawskiego (geografia), Elżbieta Popiołek na farmację do Akademii Medycznej, do Uniwersytetu Jagiellońskiego Józef Myjak z Czerńca (matematyka) i ja. Jak stresująca była atmosfera dowodzi fakt, że kiedy wcześniej jedna z moich koleżanek nie dostała się na uczelnię, niemal przez rok nie wychodziła z domu, gdyż bała się komentarzy. Nie chciano też słuchać porad i komentarzy, że należało się wybierać do Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

O ile dobrze pamiętam zacząłem przeżywać wówczas wielkie rozterki w sprawie wyboru mojej drogi. Miałem też duże predyspozycje techniczne i nad tym zastanawiałem się, ale jeszcze bardziej nad kwestiami światopoglądowymi i ideowymi. W wyborze miała mi pomóc pielgrzymka na Kalwarię i refleksje czynione w jej trakcie. Szliśmy pieszo z Łącka do Kalwarii podczas letniego prażącego słońca. Wszyscy młodzi. Pątników prowadził Julian Kasprzycki znany przewodnik do sanktuarium. Było pobożnie, ale też wesoło choć niezbyt wygodnie. Spało się w stodołach u gospodarzy. W Kalwarii w jakimś domu miejskim, ale na słomie. Powrót był pociągiem i wówczas spotkałem się z zawodem obalającym zasady rachunkowe. Jako ekonomiście zlecono mi kupno kilkudziesięciu biletów kolejowych, na które dawano różne kwoty. Kupiłem bilety, przez długą część nocy obliczałem i układałem stosiki reszt, które należało każdemu pątnikowi zwrócić. Rano mówię o tym, a tymczasem nasz przewodnik stwierdził że pozostałe pieniądze przekażemy na ofiarę do sanktuarium, zsunął je ze stołu i zmieszał misternie ustawione i odliczone stosiki złotych i groszy.

Pielgrzymka nie rozstrzygnęła mi tych wątpliwości. Szczęściem dla mnie w bibliotece stryja (brat ojca) Stanisława znalazłem książkę Juliusza Payota *Kształcenie woli* (Wyd. ósme) i tę gruntownie przestudiowałem. Mam ją zresztą w podręcznym zbiorku w swojej bibliotece razem z Plutarchem, Epiktetem, Markiem Aureliuszem, Tomaszem z Kempis, Pascalem, Montaignem, Teilhardem de Chardin i J. Tischnerem (Jak żyć). Tu zdobyłem wiedzę jak żyć, do czego dążyć i jak pracować. Dopiero wiele lat później, po studiach z radością dowiedziałem się z lektury pism Władysława Konopczyńskiego, że ten wybitny historyk swą młodość na przełomie XIX i XX w. rozpoczynał samowychowaniem od tej książki. Wówczas też sformułowałem swoją dewizę akcentującą wolę działania, której odtąd przestrzegałem przez wiele następnych lat.

Otrzymanie pisma o przyjęciu na studia przesądziło, że będę historykiem. Ale tu zaczęły piętrzyć się bariery, z którymi musieli walczyć moi poprzednicy z Łącka i okolic już w XIX w. i okresie międzywojennym. Nie dostałem mieszkania w domu akademickim „Żaczek" i sekretarka dziekana Wieczorek, kobieta jak anioł wielkiej dobroci, kiedy dowiedziała się, że jestem z Łącka, z tak dużej odległości doradziła mi zachodzić do dziekanatu i pytać czy nie zwolniło się jakieś miejsce. Rozpocząłem też poszukiwania własne. Na nic jednak zdali się niedawni znajomi ojca z Krakowa, którzy ani nie mieli możliwości przyjęcia nikogo na mieszkanie ani nie wiedzieli o nikim kto wynająłby mieszkanie studentowi. Potem z kolegą z roku Adolfem Śledzioną z Mielca w naszej wielkiej naiwności rozpoczęliśmy marsz od początku ówczesnej ulicy Bohaterów Stalingradu (obecnie Starowiślnej) i w każdej klatce schodowej pytaliśmy czy nie przyjęliby nas na mieszkanie.

Potem dopiero wszedłszy w zwyczaje krakowskie zrozumieliśmy, że bez rekomendacji nikt by nam wówczas, nieznanym nie wynajął pokoju. Od czego jest jednak solidarność rodaków. Na studia fizyki w UJ dostał się też Tomasz Kęska z Woli koło Łącka, później profesor tego przedmiotu w Kowarach na Śląsku. Dzięki niemu stałem się tzw. „waletem" czyli nielegalnym mieszkańcem w Żaczku, w jego pokoju i miałem przynajmniej parę dni spokojnych do szukania z kolegą mieszkania. Wreszcie ze wspomnianym Adolfem Śledzioną znaleźliśmy lokal przy ulicy Chocimskiej u starszej pani. Mieszkaliśmy razem z terminatorami rzemieślniczymi w kuchni. Również moja „przyszywana" jakby druga mama w Warszawie, pracująca w Radzie Ministrów starała się o przeniesienie mnie z Krakowa na studia do Warszawy. Chyba jej w tym pomagał minister Wang. Kiedy wszystko zmierzało do sfinalizowania tych starań otrzymałem wiadomość od sekretarki Wieczorek, że zostałem przyjęty do domu studenckiego Żaczek. Do dzisiaj zachowuję jej wdzięczność, gdyż wiem, że jej bezinteresowności i pomocy zawdzięczałem miejsce w Domu Studenckim.

Wielka radość z powodu zakwaterowania się w Żaczku, ale zarazem wielka niewiadoma, jacy będą współmieszkańcy. Pierwszy rok był decydujący, należało wytrzymać konkurencję i utrzymać się, przejść na następny. Zamieszkałem w pokoju czteroosobowym. Trójka z nas była historykami, jeden albo dwóch archeologami. Historyk Ryszard Biel z Brzeska bardzo przykładał się do studiów. Z kolei J. z Ziem Odzyskanych chyba z Nowej Soli wyrwawszy się spod opieki i kontroli rodziców zaczął wydawać przysyłane pieniądze przez matkę na zabawy w podejrzanych miejscach i wódkę. Utkwił nam w pamięci epizod, gdy nasz współmieszkaniec wyszedł z lokalu pijany, pobity i pytał przechodnia czy ma oko. Noce często były bezsenne, gdyż naszego pijanego współmieszkańca dręczyły wyrzuty sumienia, że nie uczy się a trwoni pieniądze ciężko zapracowane przez matkę. Chyba po pierwszym roku wyleciał ze studiów.

Z kolei archeolog Janusz K. był karciarzem i zwłaszcza przy tej okazji nie stronił od wódki. Na grę przychodził inny zakopiańczyk – góral. Najpierw grano o pieniądze, potem zastawiano zegarki, a końcu dochodziło do awantur i strasznej bijatyki między Januszem i karciarzami. W wiele lat po studiach powiedziano mi, że wpadł w tak poważny stan alkoholizmu, iż pił denaturat i przejściowo oślepł. W tych oko-

licznościach nie było mowy o warunkach do nauki. Siedziało się w bibliotekach, gdyż nieustannie należało czytać zadane publikacje, które zazwyczaj były w jednym lub dwu egzemplarzach i tworzyła się do nich kolejka. Uczyło się też w specjalnie wydzielonym do tego celu w Żaczku tzw. „lectorium", które było dla kierunków ścisłych na ostatnim piętrze, od Błoń. Do egzaminów sesyjnych, kiedy już nie było zajęć najlepiej było uczyć się na Błoniach. Robiło to wielu studentów. Widywałem też na Błoniach w czasie nauki siostrę późniejszego profesora Akademii Medycznej. Najlepsze warunki były jednak za strzelnicą wojskową, znajdującą się za Kopcem Kościuszki od strony końca ul. Królowej Jadwigi. Tam w lasku pod skałami można było spokojnie czytać podręczniki i książki do egzaminu. Z czasem też ułożyły się dobrze zgrane zespoły pokojowe. Mieszkałem z filozofem Leopoldem Zgodą późniejszym pracownikiem Akademii Ekonomicznej oraz Tadeuszem Aleksandrem pedagogiem, w przyszłości profesorem Instytutu Pedagogiki UJ. W ostatnim roku w skutek naszych starań uzyskaliśmy pokój w nowej części Żaczka i przejściowo mieszkał z nami Adam Węgrzecki przyszły profesor filozofii w Akademii Ekonomicznej.

Z okresu studiów wspomnę o wielu pracownikach naukowych, którzy mieli z nami zajęcia, ale przede wszystkim zaakcentuję tych, którzy wywarli na mnie największy wpływ i przesądzili o kierunku rozwoju. Rok 1958 w którym rozpocząłem studia oznaczał odchodzenie od stalinizmu. Nie było już przedmiotów ideologicznych i jeszcze nie wprowadzono nauczania obowiązkowego ekonomii politycznej. Przedłużono natomiast studia o jeden rok i trwały 5 lat. Bardzo wiele zależało od prowadzącego zajęcia na I i II roku bowiem przyszedłszy na studia bardzo chłonni wiedzy przyjmowaliśmy niemal wszystko co słyszeliśmy. Dopiero potem wyrabialiśmy sobie własne stanowiska i postawy.

Na I roku lubiliśmy wykłady z historii starożytnej prof. Józefa Wolskiego mające czasami charakter gawędziarski. Faktografią przytłaczała nas archeologia. Wstęp do badań historycznych a na wyższym roku historię średniowieczną prowadził prof. Józef Garbacik, który wykorzystując naszą niewiedzę mącił nam w głowach w związku z odkryciami w Qumran o Chrystusie przed Chrystusem. Miał bowiem dla odcięcia się od swej przedwojennej biografii konformistyczną postawę komunistyczną, był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i do tego „odpowiedni charakter". Propagował też marksizm o czym świadczą m.in. jego pisma zamieszczone w zeszytach naukowych Wyższej Szkoły Pedagogicznej. W zakresie historii średniowiecznej mimo świeżo wydanego podręcznika Tadeusza Manteufla wymagał i popierał wiedzę z podręcznika rosyjskiego.

Postrachem była Maria Kwiecińska lektor języka łacińskiego wymagająca nie tylko wiedzy językowej, ale i historycznej. Humorystycznymi i złośliwymi powiedzeniami wyrabiała też w studentach właściwe maniery. Romantyczna i tajemnicza Helena Mycielska miłośniczka twórczości Jacka Malczewskiego ćwiczyła nas w angielszczyźnie. Jej mieszkanie pełne było obrazów tego mistrza.

Niemieckiego bardzo wymagająco w starym pałacu hrabiego Ksawerego Pusłowskiego uczyła Anna Szewczukowa, żona profesora psychologii w UJ. Historię nowo-

żytną wykładał prof. Kazimierz Piwarski, ćwiczenia do tych zajęć miały różne osoby m.in. Kamieński który wyjechał do USA i tam został profesorem w jednej z wyższych uczelni. Z nami ćwiczenia miał asystent o nazwisku dziewiętnastowiecznego profesora filozofii w Krakowie, postać zabawna i trochę dziwna.

Trochę postrachem a trochę przedmiotem żartów i kawałów była prof. Celina Bobińska wykładająca historię Polski epoki zaborów. Była córką znanej swego czasu pisarki Heleny Bobińskiej. Wykształcenie i marksizm zdobyła w Związku Radzieckim, w którym skończyła także studia. Zatrącała rusycyzmami i akcentem. Znane były jej powiedzenia zamiast kolego „kulego". Miała przy tym błyskotliwy umysł, popularyzowała w różnych momentach wykładu marksizm i wymagała go. Z tego też powodu, aby móc się zorientować w sytuacji i odcinać na wykładzie, miesiąc jednych wakacji poświęciłem na przestudiowanie wielkiej książki tłumaczonej z rosyjskiego o filozofii marksistowskiej. Aby czuć się pewniej, a także dla własnego rozwoju przeczytałem wielkie dzieło pod red. Eugeniusza Dąbrowskiego *Religie świata* (1957).

Lektura dzieła o marksizmie pochłaniała wiele czasu i doprowadziła mnie do niemądrej decyzji odmowy współpracy z inż. Chwalibogiem, który pracował chyba nad jakimiś planami przestrzennymi Łącka i okolic. Z zajęć bardzo dobrze pamiętam wykłady skupionej i skrupulatnej prof. Anny Osińskiej z XIX w., dowcipy prof. Sylwiusza Mikuckiego z wykładów nauk pomocniczych historii i ćwiczenia paleograficzne Bożeny Wyrozumskiej. Tablice paleograficzne Krzyżanowskiego wówczas zakupione mam do dzisiaj. Ćwiczenia Andrzeja Pilcha uczyły systematyczności i były wzorem metodyczności. Prof. Henryk Batowski z kolei sprawdzał notatki z wykładów i stwierdziwszy brak jakiegoś zdania, nie dawał zaliczenia. Natomiast polemizował i zwalczał tych, którzy uczyli się np. z historii Eugeniusza Tarlego, tłumaczonej na polski. Wygrywali ci, którzy uczyli się słowo w słowo z wykładowych notatek.

Idąc na studia wyobrażałem sobie, że będzie czas na czytanie dzieł historycznych i będzie można dyskutować i rozmawiać z profesorami. Rychło okazało się, że głównie trzeba się przygotowywać do zajęć, że jest wielka dysproporcja między poziomem wiedzy studenckiej i profesorskiej. Ostatecznie więc dwie osoby zaważyły znów na mym dalszym kierunku. Pierwszą był prof. Jan Dąbrowski. Wykłady mówił z pamięci, wiedzę miał ogromną, a uczył tylko o tym co było najistotniejsze i najważniejsze. Do egzaminu poza przygotowaniem się z notatek i lektur, kupiłem sobie drogą, ogromną, świeżo drukowaną książkę Stefana Kuczyńskiego *Wielka Wojna z Zakonem Krzyżackim*. Chodziło mi o rozwikłanie zagadki Zyndrama z Maszkowic, jak myślałem – sąsiednich Maszkowic. Tak o nim pisał w swym artykule Władysław Semkowicz. Chyba już przy końcu egzaminu Dąbrowski zapytał mnie o zainteresowania, a ja wspomniałem Zyndrama. I tutaj rozpoczęły się dłuższe dyskusje, przekonywania, i wreszcie odwoływania się do argumentów zdroworozsądkowych. Ja stale przytaczałem racje Kuczyńskiego o tym, że Zyndram nie był pod Grunwaldem głównodowodzącym. Profesor wykładał swoje przeciwne racje. Po wyjściu z egzaminu stwierdziłem wielkość profesora, otwartość, który nie deprecjonował postawy i wiedzy studenckiej i nie wynosił się nad nią. Odczułem też zrozumienie i życzliwość. Jednocześnie stwierdzi-

łem też, że w sprawie Zyndrama należy jeszcze pewne sprawy wyjaśnić, ale nie w tym kierunku droga.

Na studiach o wszystkim decyduje wybór seminarium, które daje specjalizację i ukierunkowuje na przyszłe prace. Wybierało się na trzecim roku dwa seminaria, a potem zostawało się na czwartym i piątym na jednym, ostatecznym. Miałem szczęście uczęszczać na wykład prof. Kazimierza Lepszego, rektora UJ, który w tym akurat roku prowadził osobiście z jedną grupą ćwiczenia. Chodziłem do tej grupy. Profesor był dowcipny, przyjacielski. Przyjechał nawet na poligon wojskowy chyba na naszą przysięgę i spędził trochę czasu w kantynie z bracią studencką. Kiedy sprzedawałem książki przed Collegium Novum na kiermaszu studenckim podchodził do mnie, witał się i prowadził pogawędkę. Potem ze względu na funkcje i ważność we władzach uczelni, wielu kolegów wybrało jego seminarium i niektórzy potem skorzystali z tego. Moje seminarium wybierałem lekturą, obserwacją i doświadczeniem. Interesowały mnie herby zatem przyjechałem z wakacji wcześniej do Krakowa i przeczytałem przynajmniej część drukowanej *Heraldyki polskiej wieków średnich* Franciszka Piekosińskiego.

Poszedłem też wraz z tą wiedzą na seminarium S. Mikuckiego. Ostatecznie Piekosiński zraził mię do heraldyki i przestałem też chodzić do prof. Mikuckigo. Zapisałem się też jeszcze do dwu seminariów prof. Antoniego Podrazy z historii ZSRR i Rosji oraz z historii kultury prof. Henryka Barycza. Za Antoniego Podrazę często zajęcia prowadził młody asystent, a potem znany historyk i felietonista Władysław Serczyk. Na seminarium napisałem też referat o problemie kultury rosyjskiej w XVIII w., w dużym stopniu oparty o literaturę rosyjską. Kiedy go wygłaszałem Władysław Serczyk nie mógł chyba oficjalnie polemizować z opiniami zaczerpniętymi z dzieł rosyjskich, w dyplomatyczny i odważny sposób pokazywał problematyczność niektórych oświeceniowych tendencji rosyjskich, przedstawianych przez tamtejszą historiografię jako „postępowych". Referat wykazał mi, że z wielu powodów należy z tej drogi wycofać się.

Dla Władysława Serczyka żywiłem wdzięczność za pewien incydent seminaryjny. Otóż przy okazji jakiegoś referatu czy czegoś innego, podczas utyskiwań nad charakterem narodowym m.in. sąsiadów Polski stwierdziłem, że i nasz nie wiadomo jaki jest i nie jest pewne jak zachowalibyśmy się gdybyśmy się znaleźli w niewłaściwej sytuacji (O Jedwabnem nikt wówczas nie pisał). Na seminarium powstało piekło i omalże nie zostałem pobity, zwłaszcza przez bardzo krewką i pewną wszystkiego seminarzystkę. Wówczas w obronie stanął prowadzący dyskusję i przeciął walkę.

Ostatecznie pozostało tylko jedno seminarium i to wybrałem by na nim pisać pracę magisterską. Było ono kierowane przez prof. Henryka Barycza. O profesorze wciąż jeszcze nic nie wiedziałem. Prowadziłem natomiast jak wszyscy rozmowy ze starszymi kolegami o tym jakie zajęcia, jaką problematykę omawia się na seminarium. Jan Staszel subtelny i bardzo kulturalny góral z Zębu, studiujący drugi kierunek socjologię a wkrótce pracujący w bibliotece Polskiej Akademii Nauk przy ul.Sławkowskiej opowiedział mi, że profesor ma wykład i zajęcia o renesansie, że go bardzo dobrze zna i z wielkim zamiłowaniem o nim opowiada. Wybrałem więc seminarium Henryka Barycza.

Maleńka sala seminaryjna mieściła się przy ul. Straszewskiego 25, w kamienicy gdzie mieszkał leciwy już nestor socjalizmu polskiego Bolesław Drobner, którego często widywałem zwłaszcza w windzie. Tu też mieszkał słynny doktor Włodzimierz Marcinkowski działacz antyalkoholowy. Na seminarium zapisałem się wraz z jednym z najzdolniejszych studentów na roku, Stanisławem Jastrzębskim, późniejszym profesorem w krakowskim liceum Nowodworskiego. Nowym kolegą był też Jerzy Michalewicz, który ostatecznie wybrał seminarium u Kazimierza Lepszego. Gdy zgłosiliśmy się na zajęcia stwierdziliśmy że poza nami jest tylko paru seminarzystów. Była to Karolina Targosz, późniejsza profesor PAN i znakomita specjalistka w zakresie kultury staropolskiej. Drugą była Wanda Safarewicz, córka profesora UJ. Chyba trzecia osoba to Krystyna Lichońska późniejsza archiwistka w Nowym Sączu, pracująca tam bardzo krótko. Trochę później przyszły młodsze koleżanki m.in. Urszula Perkowska, późniejszy doktor habilitowany i pracowniczka Archiwum UJ oraz bibliotekoznawstwa Irma Kroban późniejsza dziennikarka. Wszystkie te nasze późniejsze koleżanki zajęły się tematami staropolskimi. Profesor wykazywał niesłychaną eurydycję, dociekliwość, gruntowność takie też cechy wyrabiał w studentach.

Tu już w połowie czwartego roku powstał problem wyboru tematu. Profesor a chyba i ja przekonałem się, że mam zbyt silne tendencje analityczne i nie bardzo przypada mi tematyka staropolska. Dowodem tego było przygotowanie referatu o szkolnictwie staropolskim w Sądecczyźnie. „Nieokrzesany historycznie" dwukrotnie popełniłem ten sam błąd. U profesora Lepszego całkowicie sam, bez żadnych konsultacji opracowałem list Fausta Socyna do prof. Wadowity. Podobnie było ze szkolnictwem, również o nic nie pytałem profesora, z kolei on nie miał zwyczaju pouczać jak winno się pisać referat, pracę. Nie brał też pod uwagę lepszego przygotowania do studiów absolwentów liceów z obszernym językiem polskim i historią. Do dzisiaj mając zajęcia ze studentami natychmiast widzę różnicę, nawet w doktoratach absolwentów liceów i innych szkół.

Wybrałem w końcu tematykę XIX wieczną. Miałem zająć się działalnością uniwersytecką Michała Wiszniewskiego, wybitnego europejskiego psychologa, polskiego filozofa i historyka literatury. Nieszczęsny nie wiedziałem, że tego tematu nie chciała się podjąć o wiele bardziej kompetentna Karolina Targosz. W Wiszniewskim ugrzęzłem na wiele lat. Przedrzeć musiałem się przez tysiące stron wykładów rękopiśmiennych i notatek. One doprowadziły mnie do wniosków, które zaprzeczyły pierwotnej wizji profesora, ale zgodził się z moją. By podołać ogromowi pracy przyjechałem w przedostatnie wakacje do Krakowa i pracowałem nad źródłami w Bibliotece Jagiellońskiej. Otrzymałem pokój, w którym mieszkał Edward Drozd późniejszy wytrawny prawnik, profesor UJ. Po dłuższej pracy broniliśmy naszych magisteriów w lipcu. Recenzentem był doc. Leszek Hajdukiewicz.

Co dalej. Profesor Henryk Barycz wielokrotnie zachęcał mnie do pracy naukowej i zalecał napisanie monografii Wiszniewskiego. Ja pragnąłem uzupełnić studia o filozofię, do której coraz bardziej dorastałem duchowo. Zacząłem przygotowywać się do egzaminu z logiki, który miałem zdać u prof. Ewy Żarneckiej. Przyjechałem do

Krakowa i znalazłem się w zupełnym ślepym zaułku. Na studiach utrzymywałem się ze stypendium i pracy w Żaczku oraz w wakacje w Łącku. Nawet garnitur jaki sobie na studiach kupiłem był rezultatem pracy u schyłku roku i niemalże w Sylwestra. Zawsze chciałem być samodzielny, nie mogłem też liczyć na pomoc domu m.in. wskutek radykalnej i niekorzystnej zmiany losowej. Trzeba było znaleźć pracę i mieszkanie. Z pracą było beznadziejnie. Zupełnie świeżo, premier Józef Cyrankiewicz wydał zarządzenie o blokadzie etatów. Do pracy przyjmowano tylko wtedy, kiedy ktoś odszedł na emeryturę lub zmarł. Nie należałem też do partii i nawet jak był jakiś wolny etat odmawiano mi przyjęcia. Z kwitkiem więc pożegnał mnie dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej Józef Korpała. Dyrektor Biblioteki Jagiellońskiej, Jan Baumgart, przyjął mego kolegę partyjnego, poleconego przez rektora, a mnie oświadczył, że nie ma miejsca. Wynikało to również stąd, że szykanowano i nie liczono się z prof. Baryczem jako bezpartyjnym i źle widzianym przez rektora Lepszego.

Musiałem znów skorzystać z pomocy krajan, Sądeczan. Przez krótki czas znów byłem „waletem" w Żaczku a schronienia udzielili mi matematyk Tadeusz Rams pracujący później za granicą w arabskiej szkole wyższej, a potem w szkołach sądeckich, a także Józef Citak i polonista Jerzy Pyrdoł z Łącka. Pracy nie mogłem znaleźć także dlatego, że obowiązywał przepis iż można kogoś zatrudnić w Krakowie jeśli ma zameldowanie w tym mieście. Ja nie miałem. Z kolei zameldowanie uzyskiwało się tylko okresowe wówczas, jeśli się pracowało. Z tej kwadratury koła wydawało się, że nie da się wybrnąć.

Wówczas z pomocą przyszedł mi szczęśliwy przypadek i dobry człowiek. Aleksander Zeliaś, zajmujący się statystyką, mąż koleżanki, Sądeczanki, pracujący w Wyższej Szkole Ekonomicznej i późniejszy jej prorektor powiedział mi, że była u niego kierowniczka działu planowania krakowskiego przedsiębiorstwa, która gwałtownie potrzebuje pracownika, abym się do niej natychmiast zgłosił. Tak zrobiłem i zostałem przyjęty, ku mej radości, ale zarazem rozpaczy, gdyż natychmiast przyjęto mnie ze względu na wagę przedsiębiorstwa. Zatrudniono jednak nie jako magistra po studiach, ale tylko jako technika ekonomistę, absolwenta szkoły średniej. Oznaczało to bardzo niską pensję, a ja musiałem znaleźć pokój i wyżywić się w Krakowie – obcym dla mnie mieście. Na to wszystko nie starczało pensji. Trzeba było znaleźć mieszkanie. Pomieszkiwałem początkowo wspólnie z kolegą filozofem. Potem wspólnie z kolegą ze studiów Henrykiem Kanikiem, byłym więźniem obozu komunistycznego w Jaworznie (jako nieletni wypisywał hasła antykomunistyczne na pociągach i usiłował zbiec do Austrii), a następnie pracownikiem pisma Jubileuszowego w Uniwersytecie Jagiellońskim. Znaleźliśmy pokój w domu pracownika poczty. Dom na Dębnikach w pobliżu willi pisarza Karola Bunscha. Był świeżo wybudowany, tanim pocztowym sposobem. Wszystko ociekało surowością, węgla do opału nie nadużywano w zimie, bo nie pozwalał na to status materialny rodziny. Chłód odczuwaliśmy wszyscy. Trzeba się było zaopatrzyć w ciepłe nakrycie łóżek. Należało załatwić zameldowanie, miałem już stempel, że pracuję. Na zameldowanie zgodził się właściciel lokalu, a potem w uzyskaniu stałego bardzo mi pomogła bezinteresownie nieznana mi pani, pracow-

nica Urzędu Miejskiego w Podgórzu, siostra słynnego partyzanta Łazika, partyzanta antykomunistycznego. Wiele z czynów, które mu się przypisuje, tych niegodnych, jest pomówieniem. Przechowuję również jej dobroć we wdzięcznej pamięci. I wreszcie by móc się utrzymać w Krakowie musiałem znaleźć jakąś stołówkę pracowniczą, gdzie abonament był tańszy. To również zawdzięczałem krajanowi, Lubomirowi Pawłowskiemu, który był I sekretarzem PZPR w Wyższej Szkole Rolniczej i w jej stołówce przez pewien czas się stołowałem. Później znajomi wciągnęli mnie do innej.

Rozpoczął się okres bardzo intensywnej pracy w przedsiębiorstwie, a po godzinach w Bibliotece Jagiellońskiej i innych zbiorach rękopiśmiennych Krakowa – Bibliotece Czartoryskich, Bibliotece Polskiej Akademii Nauk. Praca w przedsiębiorstwie była często bardzo wyczerpująca, niezwykle napięta a przy tym czasami nie sensowna co wynikało z ówczesnego modelu gospodarczego. Kierowniczka sympatyczna i energiczna absolwentka studiów ekonomicznych, chciała ze mnie zrobić solidnego znawcę przedmiotu. Polecała mi lekturę czego ona się uczyła. Temu się poddawałem. Ale gdy bardzo długo pracowaliśmy w biurze, opracowaliśmy wreszcie ogromną „płachtę" różnych wskaźników, ustaliliśmy plan przebiegu transportu, ilość przewozów itp. Po czym przychodził z narady partyjnej dyrektor i wszystko wywracał mówiąc, że na niej podyktowano mu nowe wskaźniki. Trzeba było powtórnie, tym razem stosując różne łamigłówki, obliczenia od tyłu przejść do początku. Było to bardzo męczące i denerwujące, a przy tym bardzo absorbujące. Nieraz całe osiem godzin bez przerwy w najwyższym napięciu rozwiązywało się te matematyczno-rachunkowe łamigłówki. W pewnych okresach, zwłaszcza sprawozdawczych trzeba było zostawać w pracy. Chyba po pół roku stwierdziłem, że nie da się tak pracować, zaproponowano mi podwyżkę, ale tak nikłą, że dalej nie mogłem z niej wyżyć. Zwolniłem się zatem z tej pracy i przez parę miesięcy zajmowałem się tylko pracą nad doktoratem. Dzięki pomocy prof. Barycza zostałem przyjęty do pracy w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wreszcie pracowałem w swoim zawodzie i dostawałem trochę wyższe wynagrodzenie, które zapewniło mi skromne utrzymanie.

Dzięki profesorowi wciągnąłem się też do działalności PAN. W Krakowie funkcjonował Zespół Historii Nauki epoki Odrodzenia. Zacząłem chodzić na jego posiedzenia, na których referowali prace m.in. prof. Janina Czerniatowicz, Paweł Czartoryski i inni. Nawiązałem kontakt z Instytutem Historii Nauki i Techniki PAN w Warszawie, z Ireną Stasiewicz i innymi. Zacząłem uczestniczyć w pracach wydawniczo-badawczych tej instytucji. Wreszcie przełamały się też bariery polityczne i wewnętrzne w Uniwersytecie. Profesorowi Henrykowi Baryczowi przydzielono etat asystencki i z Archiwum przeszedłem do Katedry Historii Nauki i Oświaty UJ od października 1965. Wówczas jeszcze bardziej wszedłem na naukowo-dydaktyczną drogę.

W Katedrze o dwóch oddziałach pracowali prof. Henryk Barycz, prof. Jan Hulewicz, doc. Kamilla Mrozowska, Renata Dutkowa i Leszek Hajdukiewicz. Henryk Barycz swymi zainteresowaniami, erudycją i twórczością opracował dzieje nauki i kultury polskiej od średniowiecza do XX w. W swych badaniach i życiu codziennym był niezwykle skrupulatny, dokładny i punktualny, nie znoszący blagi. O prof. Tadeuszu

Garbowskim, przedwojennym zoopsychologu wspominano, że seminaria z filozofii prowadzone przez niego m.in. polegały na jak najbardziej syntetycznym streszczaniu dzieł Kanta i innych filozofów. Prof. Barycz starał się by współpracownicy unikali gadatliwości, a zwłaszcza w rozmowach telefonicznych, przedstawiali istotę spraw w możliwie najkrótszej formie. Bardzo częsty kontakt z profesorem pogłębił u mnie te tendencje wyniesione z domu rodzinnego, by jak najwięcej myśleć, jak najmniej i najkrócej mówić i jak najwięcej robić. Prof. Jan Hulewicz był typem przeciwnym. Był bardzo dobrym redaktorem znanej serii wydawniczej „Biblioteki Narodowej", w której ukazywały się najcelniejsze utwory literatury pięknej polskiej i obcej. W czasie II wojny światowej pracował w agendach oświatowych rządu polskiego za granicą. Był osobą niezwykle wrażliwą, dobrą, ale zarazem niezwykle impulsywną, a czasami przeobrażającą się w raptusiewicza, gdy go coś poruszyło. Było to dla mnie dziwne, że gdy wielu osobom doskwierał komunizm, i on także go nie lubił, to jednak wciąż był najbardziej zagorzałym przeciwnikiem nieistniejącej już sanacji. Chyba to wywodziło się ze szkoły prof. Stanisława Kota, którego był uczniem, a którego piłsudczycy pozbawili katedry. Kiedy prof. J. Hulewiczowi wpadła do ręki jakaś nowa książka, zwłaszcza o piłsudczykach czy też np. Normana Daviesa o wojnie polsko-bolszewickiej potrafił odłożyć wszystko i czytać ją nawet całą noc, aż do końca. Wielokrotnie lubiłem wychodzić z pracy wraz z nim, towarzyszyć mu w kierunku Kleparza, pytać, i wysłuchiwać różnych biograficznych opowieści. Był bowiem encyklopedią biografistyki i zakulisowych powiązań w XX w. Prof. Kamilla Mrozowska, absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego, „wyrzucona" na grunt krakowski przez powstanie warszawskie reprezentowała tendencje racjonalistyczne, laickie i raczej lewicujące. Prowadziła bardzo dobrze refleksyjne zajęcia. Będąc po rozwodzie z Janem Hulewiczem osobą samotną traktowała swoich seminarzystów po matczynemu.

Praca w katedrze uniwersyteckiej wymagała prowadzenia badań, publikacji i odbywania zajęć dydaktycznych ze studentami. Dydaktyki było wówczas sporo. Katedra umiejscowiona w ramach historii prowadziła dwuletnie zajęcia dla studentów pedagogiki z historii wychowania oraz seminaria dla nich i dla historyków z dziejów kultury. Wszelkie zajęcia traktowano bardzo poważnie i należało się do nich solidnie przez semestr lub dwa przygotować. Renata Dutkowa świeża doktor podała mi obszerną listę książek które winieniem przeczytać, łącznie z niemiecką *Aristoteles als Didaktiker* Otto Wilmana. Chodziłem na ćwiczenia zarówno Kamilli Mrozowskiej, która miała równocześnie wykład z historii wychowania i na ćwiczenia dr Renaty Dutkowej. Po długim okresie hospitowania wyznaczono termin zajęć, które musiałem przeprowadzić. Przyszli na nie pracownicy Katedry i po ich odbyciu była dyskusja, omówiono wady i zalety, oceniono przeprowadzone ćwiczenia. Dyskusje i oceny wypadły pozytywnie tym bardziej, że sięgnąłem do oryginału gramatyki łacińskiej Alvara i mogłem na zajęciach sprostować mylne o niej poglądy, a tym samym o pedagogice jezuickiej.

Odtąd prowadziłem już samodzielnie ćwiczenia i zajęcia na różnych kierunkach. Dzięki bowiem osobistym kontaktom Kamilli Mrozowskiej z prof. Marią Susułowską i Marią Przetacznikową mieliśmy zajęcia z dziejów myśli pedagogicznej na psycholo-

gii. W całej swej pracy pedagogicznej miewałem w różnych okresach zajęcia na pedagogice, psychologii, historii, bibliotekoznawstwie a nawet na AGH dla doktorantów fizyki. Na bibliotekoznawstwie prowadziłem wykład i zajęcia z historii nauki, na historii wykłady i seminaria z bardzo różnorodnych zagadnień kultury polskiej od XVIII do XX w. Wykład dla doktorantów z fizyki wymagał najwyższego napięcia umysłowego. Organizatorzy na AGH wprowadzili go zamiast ideologicznej ekonomii politycznej, od której chciano odejść. Typ studentów nauk ścisłych różni się od typu przyrodników a tymbardziej humanistów. Przedstawiłem problemy kultury tak jak je widzieli m.in. Johan Huizinga, Zygmunt Łempicki, Le Goff i inni historycy. Mówiłem m.in. o problemie czasu. Wiadomo jak trudne to zagadnienie, gdy się czyta np. *Wyznania św. Augustyna*. Ale fizyka ma jeszcze inne pojęcie czasu i dążeniem doktorantów było,aby np. z tego punktu widzenia omawiać niektóre zagadnienia.

Wiele czynników wyrabia kształt duchowy człowieka. W moim przypadku była to różnorodność lektury, z której wspomnę jeszcze Władysława Spasowskiego *Zasady samokształcenia*. Ona obok dziełek o kształtowaniu charakteru m.in. Mieczysława Kreutza, odegrała ważną rolę. Nie zgadzałem się z lewicującą ideologią autora i niektórymi fragmentami jego dzieła. Niektóre pokazywały jednak właściwy kierunek dalszej przyszłej pracy. Korzystałem też z niemal systematycznie przeglądanej humanistyki w krakowskich księgarniach. Przeglądałem i czynię to nadal, niemal wszystko co bieżąco ukazuje się drukiem, by mieć orientację co dzieje się w nauce. Przy okazji czytam całe partie książek także takich, które nie przekazują jedynie informacje i fakty. Daleko jednak do tego co ujawniają pamiętniki Stanisława Brzozowskiego ze wstępem Marty Wyki, czy wcześniejsze głębokie diariusze geografa Eugeniusza Romera albo refleksje Leopolda Jaworskiego, także te rękopiśmienne. Ważne są też kontakty i zetknięcia się z ludźmi, obserwacja otoczenia. W swoim życiu miałem szczęście napotykać oryginalnych, nietypowych a mądrych ludzi. W okresie końca szkoły podstawowej, początków średniej ujmował mnie swą religijnością i mądrością Wojtek Mrówka mieszkający w osiedlu Pod Krakowską.

W czasie szkoły średniej doświadczałem realizmu od jednego z naszych opiekunów. Z kolei o. Jan Mikuła uczący religii ujawniał bystrość, dowcip i nieszablonowe patrzenie na religię. Prowadząc grupę młodzieży jako wychowawca na kolonii milicyjnej w Jordanowie zetknąłem się z kierownikiem objazdowego teatrzyku, oryginalnym kresowym eksziemianinem. Rozwagę, roztropność gruntowało oddziaływanie Henryka Barycza. Nie bez znaczenia były kontakty ze światem ludzi z kręgu krakowskiej Akademii Muzycznej, m.in. Małgorzatą Szołtys, prof. Leszkiem Wernerem. Te kontakty wyrabiały wrażliwość, subtelne odczucie estetyczne. Kontakty z ojcem Leonem Knabitem z Tyńca, późniejszym telewizyjnym gwiazdorem i autorem licznych ciekawych książek religijno-humanistycznych uczyły humoru, a także ludzkiego pojmowania wiary. Słuchane kazania bpa Jana Pietraszki i homilie znanego ze studiów ks. prof. Józefa Tischnera dopełniały tego wszystkiego.

Największy jednak wpływ wywarła prof. filozofii Izydora Dąmbska, mimo, że znałem się z nią najkrócej. Przez pewien czas chodziłem na jej seminarium filozoficz-

ne, gdy ją usunięto od kontaktu ze studentami i przeniesiono z Uniwersytetu do Polskiej Akademii Nauk. Najsilniejsze piętno wywarła rozmowa po spotkaniu w szpitalu u łóżka jej ucznia a mego kolegi filozofa Władysława Cichonia. Jej długa wypowiedź po wyjściu ze szpitala, którą można określić jako duchową spowiedź lub deklarację ideową była czymś decydującym w moim życiu. Na jednej konferencji chyba poświęconej zagadnieniu mistrza jakaś pani, pracownik naukowy Instytutu Geograficznego UJ stwierdziła, że jej nauczycielem naukowym był prof. Mieczysław Klimaszewski, ale właściwym mistrzem był bp Jan Pietraszko. Wydaje mi się, że moim mistrzem duchowym była właśnie postać niezłomna prof. Izydora Dąmbska. Z prof. psychologii Marią Susułowską, u schyłku jej życia byliśmy wdzięczni Krakowskiej Alma Mater, że przyjmowała w swoje mury różnych Miechowitów, Wadowitów, Kantych i nas grybowian, łączan, ich kontynuatorów. Pionierska książka M. Susłowskiej o starości, przeczytana przeze mnie po jej ukazaniu się nauczyła mnie na wiele lat przed sędziwym wiekiem, jak do niego się przygotować. Kolega Władysław Cichoń absolwent filozofii i pedagogiki uczący tych dwu przedmiotów w UJ i krakowskich uczelniach wnosił własną głęboką mądrość i bardzo rzadkie wiejsko-miejskie odczucie przyrody, świata i swoisty naturalizm. I wreszcie obserwacja. Ten zmysł posiadałem od wyjścia ze szkoły podstawowej, gdyż byłem dla siebie sterem, żeglarzem i okrętem w życiu. Lektura polskich tłumaczeń austriackiego psychologa Alfreda Adlera, dzieł Ernesta Kretschmara wzbogaciła moją wiedzę o psychice ludzkiej.

Obserwacja pozwalała mi dostrzegać niezwykłe bogactwo, różnorodność i niepowtarzalność osobowości studentów i seminarzystów. Wielką przyjemnością było obserwowanie rozwoju, subtelności, artyzmu, wnikliwości wielu osób. To wszystko uprzyjemniało pracę i ubogacało człowieka. Spośród studentów z którymi miałem zajęcia wspomnę o paru m.in. poseł Piotr Boroń, Teresa Borowska (Kotasińska) późniejsza profesor pedagogiki w Opolu i Uniwersytecie Śląskim, żarliwy pracownik naukowy, wykładowca w Uniwersytecie Ekonomicznym Tadeusz Filar, Agnieszka Graboń znana z wielkiej monografii o problemie żydowskim w prasie studenckiej, Klisiewicz psycholog w Uniwersytecie Pedagogicznym, Tadeusz Marek, psycholog i prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Katarzyna Śmietana, Marzena Bukowska, Agnieszka Kamusińska – autorki książek pedagogicznych i historycznych.

Aula w Collegium Novum – promocja doktorska 17 IV 1969

Publikacje, udział w konferencjach otwierały kręgi naukowe. Nie byłoby sensu wymieniać

różnych tytułów. Wspomnę jedynie o zasadniczych. Doktorat był poświęcony Michałowi Wieniawskiemu. Dużą książkę o nim ogłosiłem w 1970 r. i starłem się przy tej okazji z jednym filozofem, pisząc recenzję. Sprawiła ona, że ów filozof już nigdy nie ogłosił książki historycznej. Można byłoby powiedzieć, że zajął się odtąd tylko filozofią i w niej zabłysnął. Ja ograniczyłem się tylko do historii, choć bez jakiegoś blasku. Potem ogłosiłem na usilne apele p. Alicji Kadler w Bibliotece Klasyków Filozofii wybór pism filozoficznych Wiszniewskiego. Wstęp napisał znany polski historyk filozofii Władysław Tatarkiewicz.

Wiele lat poświęciłem na badania mechanizmu, który pozwolił przetrwać polskości w XIX w. Pierwotnie miały objąć całą Polskę, potem skoncentrowałem się na Galicji, nie bez sugestii osób ideologicznie nie lubiących szerszych syntez. Ostatecznie ogłosiłem książki o finansowaniu nauki i oświaty w Galicji w epoce autonomicznej i mecenacie – czyli społecznym wsparciu nauki i oświaty w tym zaborze. W pracy tej ujawniłem mnóstwo źródeł, które potem zaczęto badać. Byłem chyba jedynym historykiem, który wówczas przestudiował całe metry bieżące allegatów do stenograficznych sprawozdań Sejmu Galicyjskiego wykazując ich ważność. Potem zrobił to Jerzy Krawczyk w swej pracy o szkolnictwie zawodowym. Mecenat galicyjski zainspirował innych do prac o problemach poruszonych w nim, m.in. Józefa Szockiego, który opracował zagadnienie wydawnictwa ludowego i wydał olbrzymią książkę zaznaczając w niej sugestie płynące z mego studium. Pracą o Starym Sączu w XIX w. starałem się choć częściowo odwdzięczyć się memu mistrzowi starosądeczaninowi Henrykowi Baryczowi. Uważałem też, że spłacę dług wdzięczności, który miałem wobec Nowego Sącza przeprowadzając długie i żmudne prace archiwalne nad jego XIX wieczną historią. Przebywałem przez cztery lata w tym mieście, w nim zdobyłem zadatki intelektualne do dalszej drogi życiowej, korzystałem z jego pomocy i sądziłem, że tak powinienem uczynić. Książkę o Polskiej Akademii Umiejętności napisałem na prośbę prof. Jerzego Wyrozumskiego. Sądziłem trochę idealistycznie, że zmienię opinię o mym poprzedniku w Zakładzie. Miałem na uwadze prof. Hulewicza, który po wojnie ogłosił króciuteńką, niedokończoną broszurę, a potem zamiast monografii zbiór kilku źródłowych szkiców. Największym dziełem, liczącym prawie 1000 stron maszynopisu jest ogłoszona drukiem książka *Uniwersytet Jagiellonski 1918–1939*. Materiały do niej zbierałem kilkanaście lat. Skrupulatnie przebadałem wszystkie akta w Archiwum UJ. Czasami w papierach najbardziej nie zapowiadających żadnych potrzebnych rzeczy znajdowałem rewelacyjne informacje.

Przed przystąpieniem do pisania dzieła przeanalizowałem dotychczasowe dzieła o UJ polskie Kazimierza Morawskiego, Henryka Barycza, Mirosławy Chamcówny i zbiorowe wydanie historii w związku z jubileuszem 1964 r. Zapoznałem się z wieloma zagranicznymi książkami zarówno tymi XIX i XX wiecznymi jak też najnowszymi. To pozwoliło mi wypracować najbardziej wszechstronną i nowoczesną koncepcję książki. W książce jest ukazanych wiele szczegółów, zamieściłem je, gdyż wątpię, aby ktoś w przyszłości chciał poświęcić tyle lat badaniom jednej uczelni. Uważałem, że to z wielu względów należy się Uniwersytetowi. Szczegóły nie były jednak moim ce-

lem. Za ich pomocą chciałem ukazać i uzasadnić tendencje, prądy i nakreślić ogólną syntezę. Sądziłem też, że okres 1918 – 1939 był ostatnią epoką odgrywania w Polsce i w Krakowie przez UJ najważniejszej roli w państwie. Jego pozycja już wówczas zaczęła ulegać zamianom poprzez utworzenie innych uniwersytetów: w Warszawie, Poznaniu, Lublinie, Wilnie.

Po drugiej wojnie światowej Uniwersytet Jagielloński choć w różnych okresach według rankingów był najlepszy, stał się jedną z wielu uczelni i nawet w Krakowie nie zawsze najważniejszą i nie zawsze docenianą w tym mieście. Książka została zauważona w recenzjach czeskich, francuskich i innych zachodnioeuropejskich. W wielu środowiskach zajmujących się historią nauki uznano dzieło za modelowe. Zawiera też wiele nieznanych fotografii np. Josepha Goebbelsa zwiedzającego Uniwersytet. To tu zapewne musiał zetknąć się i zapoznać z duchem tej instytucji, i być może dlatego też pierwszy cios w 1939 r. spadł na tę uczelnię i z niej wywieziono profesorów do obozu Sachsenhausen. Książka, która miała odsłonić najważniejsze czynniki jakie pozwoliły polskości przetrwać w epoce zaborów jest napisana w formie eseju *Nie tylko szablą. Nauka i kultura polska w walce o utrzymanie tożsamości narodowej 1795 – 1918*. Sformułowałem w niej i poruszyłem niektóre zagadnienia nigdy dotąd albo nie badane albo tak nie ukazywane np. świadomość geograficzną, tworzenie polskiego panteonu biograficznego bohaterów narodowych.

Owe różne publikacje sprawiły, że dosyć wcześnie zostałem dostrzeżony w świecie naukowym, powoływany do różnych instytucji i zapraszany na konferencje i odczyty. Najwcześniej wszedłem do Komisji Nauk Pedagogicznych PAN. Zajmowała się ona problemami pedagogicznymi i historii pedagogiki. Za kadencji Kamilli Mrozowskiej byłem sekretarzem tej Komisji i udało mi się doprowadzić do niektórych interesujących referatów. Współpracowaliśmy też z prof. Czesławem Majorkiem i przynajmniej parę bardzo dobrych prelegentów i dyskusji zorganizowaliśmy. Potem przyszedł kryzys Komisji. Na posiedzenia przychodziło bardzo mało osób. Nie pomogło wciągnięcie nowych członków. Nie chcąc być przewodniczącym, ze względu na dobro Komisji, zgodziłem się pełnić funkcję sekretarza. Udało się wielkim wysiłkiem zorganizować parę posiedzeń, niekoniecznie z tyloma uczestnikami ilu zapraszało się. Kiedy Komisja okrzepła, a referaty zamieniono na „wykłady" i zaczęły odbywać się pokazowo w Akademii Pedagogicznej wycofałem się z sekretarstwa.

Przez dłuższy czas uczestniczyłem jako członek w pracach – posiedzeniach Komisji Historycznej PAN. Referaty początkowo dosyć często wygłaszane, ostatnio raczej rzadziej, na ogół były interesujące, wywoływały dyskusję.

Najbardziej nietypową Komisją, w której uczestniczyłem jako członek to Komisja Historii Nauki Polskiej Akademii Umiejętności. Jej członkami są osoby z całej Polski, fizycy, matematycy, geolodzy, geografowie, przyrodnicy, historycy i przedstawiciele innych nauk. Referaty dotyczą bardzo różnorodnych zagadnień od ogólnych do niemal „detalicznych". Interesującym jest obserwować i uczestniczyć w tego rodzaju gremium, widzieć jego postawy i argumentacje.

Pod względem różnorodności reprezentowanych nauk jedynym i przy tym najliczniejszym gremium w Polsce jest Rada Naukowa Instytutu Historii Nauki PAN w Warszawie. Wchodzą do niej przedstawiciele niemal wszystkich nauk, ze wszystkich ośrodków Polski. Rada jest bardzo ważna z tego względu, że tylko tu najczęściej mogą i odbywają się doktoraty a przede wszystkim habilitacje z zakresu historii nauki, które są zazwyczaj interdyscyplinarne. Prawdziwą przyjemnością jest wysłuchiwanie recenzji habilitacyjnych ks. prof. Michała Hellera, prof. Janusza Tazbira i wielu innych. Bardzo ożywczym jest również przysłuchiwanie się niezwykle dowcipnym i misternym wykładom habilitacyjnym. Uczestniczę w tej radzie już parę kadencji i jest prawdziwą przyjemnością słuchać uwag, wypowiedzi jej członków. Członkami rady pod przewodnictwem byłego rektora Uniwersytetu Warszawskiego, fizyka Andrzeja Kajetana Wróblewskiego byli i są m.in. profesorowie: Jerzy Michalski, Lech Szczucki, Józef Miąso, Karolina Targosz historycy, Roman Duda matematyk, Alicja Zemanek przyrodnik, Jerzy Znosko geolog, Andrzej Śródka lekarz i historyk medycyny. W owym zestawie najwyższą instytucją jest Komitet Historii Nauki PAN w Warszawie gromadzący również profesorów reprezentantów różnych nauk i ośrodków w Polsce.

Nestorem w Komitecie jest historyk wojskowości Tadeusz Nowak. Bardzo czynną jest prof. Irena Stasiewicz Jasiukowa. Posiedzenia odbywają się w Muzeum Historii Techniki w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Komitet zajmuje się najistotniejszymi problemami historii nauki w Polsce. Obecnie przygotowuje książkę dla zagranicy w języku angielskim o wkładzie Polaków do nauki światowej. Wraz z prof. Kaliną Bartnicką przygotowaliśmy do tego wydawnictwa informacje o wkładzie Polaków do nauk o wychowaniu.

Spośród mnóstwa konferencji, w których uczestniczyłem i wygłaszałem referaty np. na Zjeździe Pedagogów Polskich, Historyków (w Krakowie – sekcja) i Olsztynie, najbardziej zapadły w pamięć zagraniczne. Jeździłem na nie z Krakowa zazwyczaj z prof. Czesławem Majorkiem z Akademii Pedagogicznej. W Wolfenbűttel wygłaszałem plenarny referat. Konferencję znakomicie zorganizował prof. Manfred Heineman, z którym przez wiele lat korespondowałem dostarczając informacje o polskiej historii wychowania do International Newsletter for the History of Education. W konferencji uczestniczyli z Polski m.in. profesor Leszek Mokrzecki z Gdańska,

Powszechny Zjazd Historyków Polskich w Olsztynie. W pierwszym rzędzie treci od lewej Julian Dybiec

prof. Jan Helwig z Poznania, prof. Kalina Bartnicka z Warszawy. Wielkie wrażenie wywarła na nas książęca biblioteka w Wolfenbűttel a także Hannover, który pięknym założeniem architektonicznym z fontannami przypominał Leningrad – obecny Petersburg. Tu zetknąłem się m.in. z Anglikiem wielbicielem systemu wychowawczego Makarenki.

Międzynarodowa Konferencja Historii Wychowania w Wolfenbuettel (R.F.N). Stoją od lewej: Julian Dybiec, Jan Hellwig, Włodzimierz Goriszowski (WSP Katowice). Siedzą: Czesław Majorek, Lech Mokrzecki, Marianna Krupa, Jadwiga Satyła (PAN Warszawa), Anna Adamik Jaszó (Uniwersytet w Budapeszcie)

O wiele bardziej egzotyczną konferencją była konferencja w Hiszpanii w Salamance. Rzymskie mosty na rzekach, Toledo, katedra ze skarbcem i prastary Uniwersytet w Salamance robiły niesamowite wrażenie. Religijne procesje przypominały teatr i trochę aurę Kalwarii polskiej. Wycieczka w ramach konferencji w hiszpańskie góry, widok z nich pięknych, opuszczonych domów, gospodarstw nasuwał smutne refleksje. Jest zasadą i prawem cywilizacyjnym uciekanie z trudnych terenów, gór w lepsze warunki i do pracy za granicą (w tym przypadku do Francji). Nie w pełni przypuszczałem, że za dwie dekady będę obserwował w Polsce opuszczanie domów w górach, całe hektary odłogów, traw i chwastów m.in. w okolicach Suchej Beskidzkiej a nawet Krakowa. Podobnie jak w Kijowie będąc tam na habilitacji w Uniwersytecie zobaczyłem na murach domów przytwierdzone siatki druciane, które chronić miały przechodniów przed opadającymi gzymsami i tynkiem nie odnawianych gmachów. Śmiałem się z tego lekarstwa na remont. I znów po wielu latach z przerażeniem obserwuję w Krakowie coraz więcej siatek, które mają zastąpić remont, a nawet wyrąbywanie balkonów zamiast

Międzynarodowa Konferencja Historii Wychowania w Salamance. Stoją przed uniwersytetem od prawej: Julian Dybiec (UJ), Czesław Majorek (WSP Kraków), Marianna Krupa (UMCS Lublin), Jan Hellwig (Uniw. Poznański), Leszek Mokrzecki (WSP Gdańsk)

ich remontowanie. Oby nie doczekać Komisji Boni Ordinis, zmuszającej w XVIII w. właścicieli do dbania o swe domy w miastach i nakazującej naprawiać ulice.

Niezapomnianym była też konferencja w Parmie we Włoszech zorganizowana przez prof. Giovanni Genovesiego, w której znów ze względu na kraj było bardzo dużo uczestników m.in. z Ameryki. Włochy oglądane powtórnie, zwłaszcza Rzym robiły niesamowite wrażenie. Oglądane poprzednio, niemal za czasów studenckich, kiedy pociągami dotarliśmy do Palermo i objechaliśmy, teraz wyglądały zupełnie inaczej. Widać było zmiany, np. w zwyczajach religijnych, życiu społecznym. Ponadto wreszcie mieszkało się w znośnym hotelu, a nie jak za pierwszym razem noclegi pod gołym niebem. Jubileusz Uniwersytetu Karola w Pradze w 1998, w którym uczestniczyłem i na zorganizowanej sesji miałem referat, należał chyba do najlepiej wyreżyserowanych pod względem ideowym jubileuszy. Do Groningen mimo, że przygotowałem wydawnictwo i miałem zaproszenie, nie pojechałem. Specyfiką jubileuszu praskiego była nie tyle teatralizacja i wizualizacja obchodów tak typowa np. dla Polski, ale przede wszystkim wymowa duchowa. Recytowanie fragmentów Komeńskiego ukazywało głębię idei Uniwersytetu. U nas można było coś podobnego zrobić i znaleźć wiele głębokich tekstów m.in. dawnych mistrzów, Kopernika i innych. Dopełnieniem tego wszystkiego było nadzwyczaj piękne i głębokie przemówienie prezydenta Wacława Havla, co podkreślało m.in. rangę państwową uniwersytetu.

Zajmując się historią nauki, edukacji, skazanym się było w Uniwersytecie na wiele funkcji usługowych nie tylko wobec uczelni.

Po raz pierwszy za czasów Polski Ludowej, wkrótce po rozpoczęciu pracy musiałem zastąpić docenta i jechać do Tarnobrzega. Miałem przygotować wykład o Uniwersytecie i związkach łączących go z Tarnobrzegiem. Jechaliśmy samochodem rektorskim m.in. z późniejszym prof. Andrzejem Zollem, Tomaszem Studnickim, a z powrotem z Władysławem Serczykiem. Bardzo trudne było dla mnie to pierwsze wystąpienie, tym bardziej że zgromadzeni byli na uroczystościach sami miejscowi prominenci razem z wojewodą, bodajże Kempą.

Potem, dla ocieplenia stosunków UJ i AGH, otrzymałem polecenie wygłoszenia wykładu przed Senatem i profesorami AGH, chyba było to z okazji dnia nauczyciela. W temacie nie ograniczono mnie, ale imperatyw najwyższych władz w Uniwersytecie nakazywał, aby był interesujący, zgrabny i podobał się. Miałem wielką obawę i tremę, czy spełnię te warunki. Wymyśliłem i przygotowałem wykład o polskich studiach technicznych za granicą w XIX i XX w. Okazało się, że trafiłem w oczekiwania profesorów AGH, a z pytań kuluarowych po nim zapamiętałem, że musiałem wyjaśniać po czym w Rosji rozpoznawano Polaków, gdy dla Żydów i dla nich ustanowiono limit procentowy w uczelniach. Wskazówką było wyznanie rzymsko-katolickie, bowiem renegactwo narodowe spotykało się, ale wyznaniowe niesłychanie rzadko. Przy okazji wykładu nawiązała się sympatyczna przyjaźń z rektorem prof. Antonim Kleczkowskim.

Do tego rodzaju imprez należało przygotowanie wykładu na jubileusz Wydziału Farmacji. Miał on miejsce w kinie Kijów. Poznałem wówczas dziekana Macieja Pawłowskiego i akademickie oraz aptekarskie środowisko z całej Polski. Tu po raz pierwszy

Belweder – wręczenie przez prezydenta Lecha Wałęsę dyplomu profesorskiego

w tym środowisku goszczącym po oficjalnym rozpoczęciu jubileuszu w Prokocimiu w nowych gmachach, gdzie tylko obróciłem się, słyszałem wymieniane informacje o wczasach, podróżach i wycieczkach do Egiptu, Indii itp. Niewiele brakowało bym nabawił się kompleksów z tego powodu.

Wykonywanie okazjonalnych zleceń rektorskich pozwalało na bliższy kontakt z kierownictwem uczelni i dawało możliwość wyrobienia sobie poglądu na zmieniające się ekipy, na umysłowość sterników, dziekanów, dyrektorów instytutów. Jak na taśmie filmowej przewijają się w pamięci obrazy rektorów m.in. Kazimierza Lepszego, Mieczysława Klimaszewskiego, Mieczysława Karasia, Aleksandra Koja, Józefa Gierowskiego, Andrzeja Pelczara, Franciszka Ziejki, Karola Musioła.

Tradycja katedry, w której pracowałem, jej wielokrotne zagrożenie i likwidacja: przed wojną za ministra Janusza Jędrzejewicza, usunięcie prof. Stanisława Kota, w moich czasach w ostatnim roku pracy Henryka Barycza i inne dalsze niebezpieczeństwa sprawiły, że wytworzyła się specyficzna atmosfera. Nie ma jej już obecnie. Wyrabiało ją też studiowanie dziejów uczelni i zajmowanie się jej przeszłością. Uważano i podzielano ten starouniwersytecki pogląd, że w wielu innych instytucjach pracuje się, natomiast Uniwersytetowi służy się różnymi sposobami. Jedni większą nauką, inni nie mający takich predyspozycji pracą organizacyjną. Władze, osoby zmieniają się, Alma Mater Jagiellonica trwa. Na taki obraz uczelni nie ma wpływu to, że przyszło się z odległej prowincji, widzi się też jej słabości. Dostrzega się, zwłaszcza ci, którzy badali przeszłość uczelni, ciągłość pewnych wartości, wytwarza się przez ob-

cowanie z wielkimi postaciami Stanisławów ze Skarbimierza, Janów Brożków, Hugonów Kołłątajów, Kazimierzy Morawskich, Ignaców Chrzanowskich pewien swoisty etos pracy i obowiązku nakazujący powiększać i rozwijać istniejące wartości. Czasami okoliczności sprzyjają temu. Dlatego też z satysfakcją myślę o tym, że mogłem się przed laty przyczynić do uruchomienia Konkursu Wiedzy o Uniwersytecie i przez bardzo długi okres uczestniczyłem w nim. Wszystko zaczęło się od prorektorstwa Stanisława Hodorowicza i Janusza Gawlika jego współpracownika. Janusz Gawlik z którym znaliśmy się od czasów studiów, w któryś dzień wymyślił, że dobrze byłoby zorganizować konkurs wiedzy o UJ i w ten sposób dając możliwość przyjmowania kilku studentów bez egzaminu zwiększyć kręgi zainteresowanych uniwersytetem i popularyzować go. Z dyżuru zostałem poproszony na wspólną naradę: prorektor Gawlik i ja. Termin był błyskawiczny i nikt odpowiedzialny za całą stronę naukowo-organizacyjną nie byłby się na to zgodził, projekt mógłby upaść. Podjąłem się tego wszystkiego, gdyż nigdy niczego nie planowałem miesiącami, a każde wyzwanie podejmowałem i rozwiązywałem natychmiast. Opracowałem pytania, kserowałem książki m.in. niezbędne do konkursu, rozsyłałem je do szkół. Wszystko się udało, finał w bardzo pięknej oprawie artystycznej z występem Trebuniów zakończył się w Nowym Targu. Konkursy bardzo absorbowały, ale też dawały kontakt z nauczycielami historii, młodzieżą, pozwalały spojrzeć od innej strony na edukację szkolną. Potem wciągnąłem do pracy z naszego zakładu Krzysztofa Stopkę, a ten już po habilitacji stał się rzeczywistym szefem tej imprezy, rozwinął ją na całą Polskę i znakomicie prowadził mając do pomocy Fundację na Rzecz Uniwersytetu.

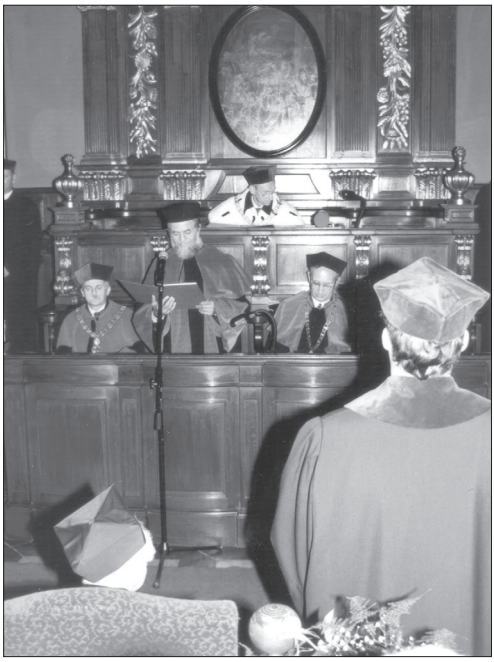

Collegium Maius UJ. Odnawianie doktoratu prof. K. Mrozowskiej

Nie wszystko i nie zawsze układało się tak sympatycznie i dobrze. Trafiały się przykre incydenty jak niemal karny, ze względów politycznych przydział do uczelnianego Studium Wojskowego i prowadzenie „wojskowych wykładów" dla studentek. Do tej karnej grupy weszli m.in. filolog Andrzej Borowski, filozof Mirosław Dzielski, pedagog Wojciech Kojs, prawnik Andrzej Zooll i ja. Żadnymi sposobami nie udało się uniknąć tego obowiązku – przymusu i raz w tygodniu, chyba przez dwa lub więcej semestrów przebieraliśmy się w wojskowe mundury i wygłaszaliśmy wykłady „militarne". Ja dla romanistek w Collegium Paderewianum. Pozostali koledzy chyba dla swoich – prawników i filozofów. Było to śmieszne, nieprzyjemne i przykre. W ramach

tych obowiązków byliśmy też na poligonie koło Mielca i tu zasłynął z roztaczania wizjonerskich koncepcji Mirosław Dzielski. Tylko jemu udało się wykręcić od prowadzenia wojskowych wykładów. Zaczął dawać podręczne materiały, z których mieliśmy się uczyć do odczytywania studentkom na wykładzie. Gdy inspekcja stwierdziła takie lekceważenie obowiązków odsunęła go od konieczności „wojskowej edukacji". W końcu wszyscy przeboleliśmy tę dużą stratę czasu, który mieliśmy na prace naukowe.

Za istotną powinność uważałem pracę dla mych stron rodzinnych. Jeszcze jako studentowi udało się nakłonić Marię Cabalską do prowadzenia badań archeologicznych na „grodzisku Zyndrama" w Maszkowicach. Zorganizowałem pierwszych „kopaczy", Kazimierza Trembeckiego kolegę szkolnego z Łącka i wczasowicza z Warszawy, który mieszkał w mym domu rodzinnym. Ja też należałem do tego zespołu. Rysunki sporządziła nieżyjąca już Olga Hirsch-Warchałowska. To był początek, ale dzięki „ruszeniu" badań prowadzono je potem dalej przy pomocy studentów archeologii UJ. Skończono i rozwikłano tajemnicę grodziska, ustalając i potwierdzając wcześniejsze konstatacje prof. Andrzeja Żakiego, że jest to siedlisko ludności kultury łużyckiej. Wśród studentów biorących udział w pracach uczestniczyli m.in. Barbara Trapp, później pracująca w Muzeum Narodowym w oddziale Czapskich w zbiorach numizmatycznych i Piotr Kaczanowski, późniejszy dziekan Wydziału Historycznego UJ. Częściowo pomyślnie zakończyły się też zamierzenia otwarcia izby regionalnej – muzeum w Łącku. Myślał o tym i zgromadził parę eksponatów Antoni Arendarczyk. Ostatecznie nawet tych parę rzeczy, które zebrał nie w pełni weszło do muzeum. Bardzo wiele zrobił w tym zakresie Franciszek Młynarczyk późniejszy długokadencyjny wójt, pilnujący wykonania i nadzorujący. Zasługą p. Szczodrowskiego było artystyczne projektowanie całości. Prace wykonywało się bezinteresownie. Moja rola jako współtwórcy polegała na opracowaniu koncepcji, opiece naukowej i wynalezieniu eksponatów zwłaszcza tych pozałąckich. Część od dawna miałem zbibliografowaną przy okazji prowadzenia badań nad Galicją, przeglądania XIX wiecznych czasopism i źródeł. Innych należało szukać i zdobywać. Wśród wynalezionych eksponatów po raz pierwszy w Łącku poprzez muzeum udało mi się spopularyzować odkryty widok Łącka Bogusza Stęczyńskiego, który jeszcze bardziej upowszechnił *Almanach*. Odnalazłem list Królickiego z Łącka do Ignacego Kraszewskiego z prośbą o książki dla miejscowej biblioteki, co uważałem za ważną legitymację kulturową dla Łącka. Z Allegatów do Sprawozdań Sejmu galicyjskiego wydobyłem memoriały posła Wincentego Myjaka dotyczące rozwoju mej rodzinnej miejscowości.

Odnaleziony opis malarza Wojciecha Gersona jego podróży po Sądecczyźnie i Łącku z rysunkiem zabytkowej monstrancji, potwierdzał tradycje przekazane mi przez dziadka o odkopaniu skrzyni z ukrytymi przedmiotami religijno-kościelnymi. Wzmacniało tradycję folkloru łąckiego sporządzone ksero Żegoty Paulego z jego sądeckiej podróży, opisu pobytu i przyśpiewek w tej miejscowości. Udało mi się zdobyć w antykwariacie sprawozdanie Towarzystwa Szkoły Ludowej z informacją o założonym tutaj kole. Od dyrektora Miejskiej Biblioteki Publicznej w Starym Sączu Antoniego Wnęka wydobyłem poprzez wymianę oryginalną legitymację kierownika szkoły

łąckiej Stanisława Wilkowicza. Oddałem też do Muzeum własny egzemplarz chyba I wydania książki Jana Wiktora *Pieniny i Ziemia Sądecka* z opisem Łącka. Z zakupionych książek i pamiątek po proboszczu ks. Józefie Pucie, które nabyłem od rodziny przekazałem do Muzeum m.in. słowniki językowe, książki popularyzujące wiedzę rolniczą (Waleriana Kleckiego). Przekazałem też Józefa Bieńka *Łącko konspiracją kwitnące*. Z czasem różne osoby podarowały cenne eksponaty np. mundury wojskowe. Muzeum otwierano w suterenach budynku przy ul. Szczawnickiej w obecności telewizji i przy tłumnie cisnących się do niej osób. Cieszyło korzystanie ze zgromadzonych eksponatów, co widać w Kronice Stanisława Baziaka przepisanej i powielonej na drukarce komputerowej. Okazało się jednak, że w ciągu chyba już dwudziestolecia istnienia muzeum miało wśród swych urzędowych opiekunów niektóre osoby całkowicie niekompetentne i nieodpowiedzialne. Muzeum na ogół jest zamknięte i traktowane jako magazyn. Mundury podziurawiły mole, wizytując je niedawno stwierdziłem brak książki Jana Wiktora, Józefa Bieńka i oryginalnego sprawozdania TSL. To nie tylko Habent sua fata libelli, ale i przewrotność losu. Jedynym rozwiązaniem byłoby zdobycie dla Muzeum odpowiedniego lokalu i osoby prowadzącej. Dobrze, że udała mi się interwencja w sprawie niszczejącego zabytkowego wyposażenia dawnej łąckiej apteki i dzięki decyzji wójta Franciszka Młynarczyka znalazło ono, do czasu nowego lokalu, schronienie w gminnych pomieszczeniach.

Bardziej skuteczne i widoczne są rezultaty pracy w środowisku sądeckim. Od wielu lat zgodnie pracujemy w redakcji Rocznika Sądeckiego ustalając jego program, czytając i recenzując artykuły. Dzięki tej pracy udało się zachęcić Agnieszkę Graboń, Jana Wnęka do zajęcia się problematyką łącką i sądecką. Cieszy ukazanie się w Bibliotece Sądeckiej wielkiej i bardzo pożytecznej książki Jana Wnęka *Naukowe poznanie Sądecczyzny w XIX i XX w*. Przez długi czas Sądecczyzną zajmowały się osoby spoza niej, Szczęsny Morawski, Jan Sygański, Stanisław Załęski. Po raz pierwszy autorem fundamentalnego dzieła jest sądeczanin. Książka ta stanowi podstawę do wszelkich dalszych badań nad sądecczyzną we wszelkich dziedzinach wiedzy od historii po geologię i rolnictwo.

Nigdy nie uważałem, że w życiu najważniejsze są pieniądze choć w wielu okresach odczuwałem ich brak. Góralsko-sądeckie pochodzenie bardziej nakazywało cenić niezależność, „ślebodę", odwagę i honor. Środowisko rodzinne wymagało odrzucania zasady mówiącej, że wszystko jest dozwolone co jest zgodne z prawem, gdyż wyższą od niego kategorią jest wstyd i jest wiele działań prawnych, które zarazem są bezwstydne. Kiedy zostałem pracownikiem uczelni, zwłaszcza po uzyskaniu stopni i tytułów uświadomiłem sobie, że jestem pierwszym profesorem w dziejach Uniwersytetu Jagiellońskiego z mej Małej Ojczyzny od Krościenka do Starego Sącza. Po powrocie Collegium Medicum do Uniwersytetu wraz ze Stanisławem Majewskim jesteśmy jedynymi profesorami w Uczelni z Ziemi Łąckiej. To bardzo zobowiązuje, zwłaszcza w tej tradycji Almae Mater, którą tworzyli m.in. tacy jak Józef Szujski, Stanisław Tarnowski, Ignacy Chrzanowski, Stanisław Pigoń, Roman Ingarden, a którą choć w niedościgły sposób pragnęłoby się kontynuować.

Jadwiga Jastrzębska

Stanisław Rusnarczyk – nauczyciel z Łącka

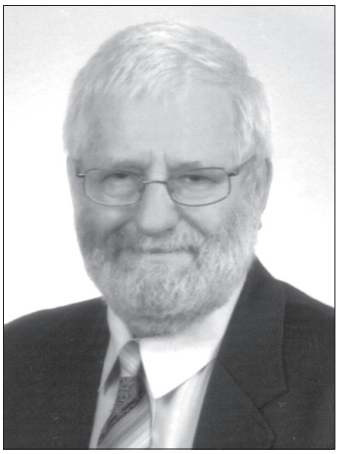

Stanisław Rusnarczyk urodził się 23 stycznia 1948 roku w wielodzietnej rodzinie chłopskiej, w Łącku, jako syn Józefa Rusnarczyka i Marii z d. Majkrzak.

Ukończył siedmioletnią Szkołę Podstawową w Łącku, pięcioletnie Państwowe liceum Pedagogiczne w Starym Sączu, Studium Nauczycielskie w Przemyślu (kierunek filologia polska) i Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Rzeszowie i uzyskał stopień magistra filologii polskiej.

W latach 1973–1975 pracował w charakterze wychowawcy internatu w Technikum Górnictwa Naftowego Ministerstwa Górnictwa i Energetyki w Krośnie.

W latach 1975–2002 uczył języka polskiego i przysposobienia obronnego w szkole zawodowej, która z upływem lat wielokrotnie zmieniała profile kształcenia i nazwę, aktualnie jest to Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 w Krośnie. Przez jeden rok szkolny pełnił funkcję wicedyrektora ds. obronnych (później ten etat zlikwidowano).

W latach 1994–2006 pracował w największym na Podkarpaciu, po Rzeszowie, Zarządzie Oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego w Krośnie.

W okresie pracy zawodowej zdobywa II stopień kwalifikacji (1988), stopień nauczyciela dyplomowanego (2001). W czasie swojej pracy otrzymuję nagrody Ministra, Kuratora, Prezydenta, Dyrektora. Zostaje również uhonorowany wieloma odznaczeniami, z których najbardziej sobie ceni: Złotą Odznakę ZNP, Medal KEN, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Trzecią, po pracy zawodowej i związkowej, jego pasją jest publicystyka i pisarstwo. Jego artykuły, wywiady, polemiki ukazywały się najczęściej w tygodnikach regionalnych *Podkarpacie*, *Nowe Podkarpacie*, *Nasz Głos*, *Wiadomości Podkarpackie*, w prasie oświatowej *Ergo*, *Głos Nauczycielski* i w prasie związkowej, był redaktorem cyklicznie ukazującego się w latach 1996–2007 *Głosu Oddziału*.

Pod jego redakcją zostały napisane cztery książki. W *Słowniku biograficznym zasłużonych nauczycieli miasta Krosna* (196 stron, bogata dokumentacja archiwalna), znalazły się 44 biogramy, wśród nich opis życia i działalności, urodzonego w Łącku, absolwenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, długoletniego, niezwykle zasłużonego dyrektora krośnieńskich liceów, nauczyciela tajnego nauczania **Stanisława Bobaka** (1899 – 1948), oraz Jadwigi **Marii Ruszar** (1900–1979), urodzonej w Nowym Sączu, absolwentki UJ, wieloletniej dyrektorki krośnieńskich szkół średnich, organizatorki tajnego nauczania, po trosze pisarki i poetki.

Pozostałe trzy książki to *Biografie nauczycieli działaczy ZNP woj. podkarpackiego* (I, II, III cz.) liczące w sumie 473 strony. Najbardziej jednak sobie ceni, wydaną własnym sumptem w 2007 roku, wznowioną w 2008 roku, 61 stronicową opowieść pt. *Życie i dzieło Jana Czuchry robotnika, żołnierza i artysty*. Wszystkie wyżej wymienione pozycje są dostępne w bibliotekach szkolnych i pedagogicznych Podkarpacia, Bibliotece Narodowej w Warszawie i bibliotece Uniwersytetu Rzeszowskiego.
Od 2006 roku Stanisław Rusnarczyk jest na emeryturze i ma więcej czasu na rozwijanie swoich zainteresowań, zaszczepionych jeszcze w rodzinnym domu w Łącku, jak chociażby pielęgnacja ogrodu, drobna hodowla, czytanie i pisanie. Stara się też częściej odwiedzać rodzinną miejscowość i najbliższych w Łącku, Tylmanowej i Woli Kosnowej. Niestety z każdym rokiem najbliższych ubywa. W Łącku mieszka jedynie kuzynka Zofia Duda, z d. Majkrzak, na łąckim cmentarzu znajdują się groby rodziców i krewnych, w Tylmanowej mieszka bratowa, Maria Rusnarczyk i jej dzieci, w Woli Kosnowej, żona kuzyna, Justyna Duda wraz z rodziną.
Dzięki najbliższym zetknął się, jak sam powiedział, z bardzo starannie wydawanym i ciekawie redagowanym „Almanachem Łąckim", co z kolei, po przeczytaniu dostępnych półroczników, dało asumpt do nawiązania współpracy z Towarzystwem Miłośników Ziemi Łąckiej.
W prywatnych rozmowach bardzo ciepło i z wielką estymą wyraża się o swojej wychowawczyni i nauczycielce języka polskiego ze Szkoły Podstawowej w Łącku, zmarłej w 2009 roku, Czesławie Jahn, po mężu Piksa, oraz nauczycielu śpiewu, zmarłym w młodym wieku, Stefanie Franczyku.
Stanisław Rusnarczyk jest przekonany, że dzięki członkostwu w Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, obcowaniu z dostępnymi periodykami i „Almanachem Łąckim", ugruntuje się jego wiedza o rodzinnej miejscowości, odżyją w pamięci miłe wspomnienia, zostaną zadzierzgnięte nowe więzi...

Notę biograficzną, po miłym i ciekawym wywiadzie, latem 2009 roku, napisała Jadwiga Jastrzębska

Bobak Stanisław (ur. 22.02.1889 – zm. 26.02.1948)

Urodził się w Łącku nad Dunajcem, powiat Nowy Sącz, w rodzinie chłopskiej. Po ukończeniu Gimnazjum Klasycznego w Nowym Sączu, studiował w latach 1909–1914 na Uniwersytecie Jagiellońskim, uzyskując dyplom nauczyciela szkół średnich z prawem do nauczania języka niemieckiego.

Pracę zawodową rozpoczął w Państwowym Gimnazjum w Nisku. W latach 1926–1929 pracował w Państwowym gimnazjum im. T. Czackiego w Warszawie. Od września 1929 roku aż do śmierci był nieprzerwanie dyrektorem Państwowego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Krośnie.

W okresie okupacji hitlerowskiej, po powrocie z uciekinierki na Wschód, pracuje w biurze Kółka Rolniczego. Fakt ten budził pewne zdziwienie, a nawet oburzenie niewtajemniczonych. Nie wiedziano bowiem o swego rodzaju kamuflażu, o tym, że z ramienia Powiatowego Zarządu ZNP, Tajnej Komisji Oświatowej i w porozumieniu z konspiracyjnymi polskimi władzami ministerialnymi, jest Stanisław Bobak członkiem Tajnej Powiatowej Komisji Oświatowej, a zarazem Egzaminacyjnej dla szkolnictwa średniego.

Działalność w wyżej wymienionych Komisjach jest bardzo aktywna; współorganizuje szkolnictwo na terenie Krosna i w niektórych miejscowościach powiatu krośnieńskiego. Na użytek uczniów wydaje całe swoje prywatne księgozbiory, zajmuje się kolportażem podręczników, przeprowadza egzaminy tajnego nauczania (język niemiecki, łacina), w domu krawca Wojnara przy ulicy Wojska Polskiego.

Mgr Jadwiga Ruszar w pracy pt. „Jawne i tajne nauczanie w okresie okupacji hitlerowskiej w Krośnie i krośnieńskim powiecie" pisze między innymi:

Dyr. Stanisław Bobak, uzyskawszy posadę w Kółku Rolniczym, miał również byt zapewniony, zwłaszcza, że jego żona prof. Julia Bobakowa i jej siostra prof. Helena Pasławska, pracowały w jawnym szkolnictwie, na Kursach Przygotowawczych, a następnie w Publicznej szkole Zawodowej(Handlowej). Posiadając doświadczone grono profesorskie, podjął zadania, które również nie mogło być łatwym ani bezpiecznym. Jako Przewodniczący komisji Tajnego Nauczania w zakresie Szkół Średnich w Krośnie, narażony był na tysiączne trudności, o których dokładne wyobrażenie mogą mieć tylko ci, którzy je w podobnych warunkach przeżywali.

Po wyzwoleniu Krosna w 1944 roku, przypadł mu w udziale ogromny trud zorganizowania nauki po pięcioletniej przerwie. Już w październiku 1944 roku rozpoczęły się zajęcia w tzw. Pałacu Biskupim, w bardzo trudnych warunkach lokalowych i przy ogromnych brakach podstawowego sprzętu i pomocy naukowych. Gdy tylko radzieckie wojska frontowe opuściły gmachy szkolne, dyrektor Stanisław Bobak niemal rów-

nolegle kierował remontami budynku przy ulicy Piotra Skargi i Budynku Bursy Gimnazjalnej dla chłopców przy ulicy Olejarskiej (obecnie ul. ks. Szpetnara).
Stanisław Bobak był postacią bardzo popularną i szanowaną, cieszącą się ogromnym autorytetem na terenie Krosna. Uchodził za wielkiego przyjaciela młodzieży, której w razie potrzeby przychodził z materialną pomocą. Zawsze wykazywał wielką kulturę w obcowaniu z ludźmi. Jego uroczysty pogrzeb stał się wielką manifestacją krośnieńskiego społeczeństwa i młodzieży. Rada Pedagogiczna i młodzież ufundowała tablicę pamiątkową poświeconą dyrektorowi Stanisławowi Bobakowi, którą wmurowano w holu budynku szkolnego.

Nota biograficzna przesłana redakcji przez Stanisława Rusnarczyka – *Słownik biograficzny zasłużonych nauczycieli i działaczy ZNP miasta Krosna*

***

Stefan Franczyk
Syn Wojciecha i Marii z Dudów, ur. 5 maja 1926 r. w Zalesiu, pow. Limanowa.
Rodzice mieli ośmioro dzieci: 5 synów i 3 córki. Jako 5-letnie dziecko pomagał w pasieniu owiec, a później krów przygrywając z braćmi i kuzynami na fujarce i flecie. W wieku 7 lat rozpoczął naukę w Szkole Podstawowej w Zalesiu. W tym czasie przyjeżdżał z Limanowej do Zalesia L. Mordarski i uczył starszą młodzież gry na różnych instrumentach. Do września 1939 r. w Zalesiu istniał zespół muzyczny, który obsługiwał wesela, zabawy gromadzkie, festyny wiejskie, a najczęściej przygrywał na potańcówkach organizowanych z okazji darcia pierza, przędzenia lnu i wełny oraz kiszenia kapusty. Na tych spotkaniach sąsiedzkich młodzież utrwalała zwyczaje ludowe, uczyła się dawnych pieśni i piosenek.
Pan Mordarski ucząc gry na instrumentach wprowadzał naukę nut, zapoznawał z historią muzyki i jej kompozytorami. W okresie wojny znalazł schronienie w rodzinnym domu Stefana profesor muzyki Jan Czech ze Starego Sącza, który podjął kontynuację muzycznego szkolenia młodzieży. W tym czasie chłopcy byli zgrupowani w oddziałach partyzanckich ale nie przerwali doskonalenia gry. Zdolniejsi ćwiczyli na kilku instrumentach i do nich należał Stefan. Profesor Czech wykorzystywał jego zdolności ucząc go solfeżu, dyrygentury, historii muzyki, a szczególnie gry na instrumentach: klarnecie, flecie, trąbce i akordeonie.
W czasie okupacji Zalesie miało godną pozazdroszczenia orkiestrę symfoniczną z orkiestra dętą. W sąsiedniej Kamienicy stacjonował oddział Wehrmachtu i na jednej z ich uroczystości musiał zagrać zespół z Zalesia. Gdy żołnierze przekroczyli granice trzeź-

wości orkiestra zagrała polski hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła". Występ został nagrodzony brawami za wielką profesję wykonawców. Sympatia Niemców okazywana orkiestrze pomagała ocalić życie wielu osobom kierowanym na roboty do Niemiec lub do obozów. Po zakończeniu wojny Stefan Franczyk podjął naukę w Wiejskim Uniwersytecie Ludowym uzupełniając szkołę podstawową i muzyczną. Następnie skierowano go na roczny kurs muzyczny do Łodzi. Od 1948 r. pracował jako instruktor muzyczny w wiejskim domu kultury.

W 1952 r. rozpoczął naukę w Liceum Pedagogicznym w Starym Sączu – wydział wieczorowy. W 1953 r. Został mianowany kierownikiem artystycznym Domu Kultury w Bukowinie Tatrzańskiej. Po roku pracy wraz z żoną wyjechał do Borucina, pow. Racibórz i w latach 1954/1955 pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej.

W 1955 r. wraz z rodziną przeniósł się do Łącka i tu uczył muzyki w szkole podstawowej, w której pracował do roku 1979 r. Przez wszystkie lata ściśle współpracował z orkiestrą braci Franczyków w Zalesiu.

W Łącku Tadeusz Moryto, organista tutejszego kościoła, prowadził orkiestrę. Stefan został członkiem i współpracownikiem tej orkiestry, a po śmierci Tadeusza Moryto, w roku 1969, kierownikiem muzycznym. Podczas jego działalności orkiestra dawała wiele koncertów z okazji uroczystości regionalnych tak świeckich jak i kościelnych. Brała udział w przeglądach orkiestr zajmując czołowe lokaty, między innymi 1 miejsce w przeglądzie orkiestr dętych w Czarnym Dunajcu. W 1952 r. W Szkole Podstawowej w Łącku powstał regionalny zespół dziecięcy, któremu towarzyszyła kapela Franciszka Kurzei z Kiczni. W 1956r. Stefan Franczyk jako nauczyciel muzyki założył dziecięcą kapelę i oprócz instrumentów smyczkowych wprowadził grę na fujarce i listku, a później dołożył dzwonki pasterskie. Oprócz kapeli organizował zespół akordeonistów, dla których skomponował „Polkę pszczółkę". Zasłyszane w dzieciństwie melodie zapisywał i grał je z kapelami dziecięcą i starszą, chroniąc te pieśni od zapomnienia. Sam komponował, harmonizował na poszczególne instrumenty muzyczne wiele utworów. Skomponował hymn Szkoły Podstawowej w Łącku – „Dla Ciebie Polsko droga...", słowa Stanisław Wąchała. Dla orkiestry marsze pogrzebowe, między innymi „Łąckie dzwony". Z okazji dożynek stworzył „Poloneza dożynkowego", a z okazji Święta Kwitnącej Jabłoni skomponował utwór o „Kwitnących sadach". Pisał walce „Czar tańca", „Idzie potok" oraz polki np. „Polka Zalesianka" i inne. Stefan Franczyk przez kilka lat brał udział w „Sabałowych Bajaniach" w Bukowinie Tatrzańskiej. Razem z synem Wojciechem zajmował czołowe lokaty w grze na fujarce, listku i korze brzozowej.

Orkiestra braci Franczyków z Zalesia

Stefan Franczyk jako dyrygent i nauczyciel

Już w 1978 Stanisław Śmierciak napisał w Gazecie Krakowskiej: *Z równą swobodą i maestrią gra na fujarce i akordeonie – instrumentach tak przecież od siebie różnych. A gdy chwyci za skrzypce i zagra – tańczącym aż drzazgi spod nóg się sypią. Muzyczna pasja Stefana Franczyka, z zawodu nauczyciela, nie ogranicza się do samej tylko gry – jest również kompozytorem i dyrygentem. W utworach swych zawsze sięga do motywów regionalnych i nic dziwnego, bo w kręgu muzyki łąckich górali wychowywał się od dzieciństwa, a jako 6-letni chłopiec trafił do orkiestry, którą założyli jego bracia. Kapela Franczyków istnieje do dziś i zasłużenie zbiera laury za kultywowanie folkloru. Nade wszystko jednak jest Stefan Franczyk propagatorem kultury muzycznej w swoim środowisku. Prowadzone przez niego zespoły muzyczne i wokalne podziwiać można m. in. podczas obchodzonego co roku „Święta kwitnących jabłoni" w Łącku.*

W pełni zaangażowania twórczością kulturalną, jako mistrz gry na wielu instrumentach, mając 53 lata przegrywa z zawałem serca 1 czerwca 1979 r.

Maria Franczyk, Barbara Świechowska

***

Karol Łacny (1916–2004)

Karol Łacny syn Macieja i Apolonii, urodzony 12 lipca 1916 roku w Łącku, zamieszkały Łącko 73. Brał czynny udział w kampanii wrześniowej od 1 września 1939 do 2 października 1939. Dostał się do niewoli niemieckiej, z której zbiegł. Po powrocie w rodzinne strony wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, gdzie pełnił funkcję łącznika pod dowództwem Stanisława Piętki. 18 czerwca 1940 roku został aresztowany przez gestapo i osadzony w więzieniu w Nowym Sączu, a następnie w Tarnowie. Jako przyczynę aresztowania podano: akcja przeciwko polskiemu ruchowi oporu. W dniu 30 sierpnia przewieziony do KL Auschwitz i oznaczony numerem obozowym 3296. Następnie przeniesiony do obozu w Dachu, gdzie przebywał do 29 kwietnia 1945 roku. Po wyzwoleniu powrócił w rodzinne strony i zajął się pracą w odziedziczonym gospodarstwie rolnym, poślubił Stanisławę Majda, z którą wychowali siedmioro dzieci. Od 1951 roku członek ZBoWiD i działacz społeczny. Odznaczony między innymi medalem „Zwycięstwa i Wolności 1945" w 1969 roku, srebrnym medalem Virtuti Militari w 1974 roku, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski w 1978 roku, medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939" w 1982 roku, Krzyżem Oświęcimskim w 1986 roku, odznaką „Weterana Walk o Niepodległość" w 1995 roku. Otrzymał także odznaki regionalne – między innymi: „Za zasługi dla rozwoju Łącka" w 1974 roku, „Za zasługi dla rozwoju województwa nowosądeckiego" w 1987 roku. W roku 2002 mianowany został na stopień podporucznika Wojska Polskiego. Zmarł 3 sierpnia 2004 roku.

Antoni Baran

***

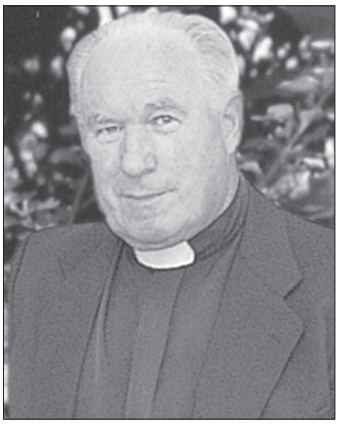

Fot. R. Gałecki

Ks. Jan Myjak

W tym roku mija pięćdziesiąt lat kapłaństwa księdza Jana Myjaka. Z tej okazji – w skrócie – przedstawiam biografię kapłana wywodzącego się z kotliny łąckiej.

Ks. Jan Myjak całe swoje życie związał z górami. Obecnie mieszka w Kudowie Zdroju – malowniczej miejscowości leżącej u podnóża Gór Stołowych. Dzieciństwo i młodość spędził w Beskidzie Sądeckim. Urodził się 11 lutego 1934 roku w Czerńcu (gmina Łącko, powiat Nowy Sącz), jako syn Jana i Rozalii z domu Cedzidło. Ma trzech braci: Antoniego, Stanisława oraz Józefa.

Święcenia we Wrocławiu

Prymicje w Łącku

Przemarsz do domu rodzinnego w Czerńcu

W ogrodzie w Czerńcu

Z jego rodzeństwa żyje tylko Józef, profesor matematyki na AGH w Krakowie oraz University of L'Aquila we Włoszech.

Naukę w Szkole Podstawowej rozpoczął w październiku 1939 roku w Łącku. Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Chrobrego ukończył w 1952 roku w Nowym Sączu. W młodości uprawiał boks, grał w piłkę nożną w „Zyndramie" Łącko na pozycji bramkarza oraz pełnił funkcję sekretarza w tym klubie.

Pracował w Urzędzie Gminy w Łącku, następnie jako nauczyciel w Szkołach Podstawowych w: Zawadzie k/Nowego Sącza i Kamienicy k/Łącka, a w końcu w Domu Dziecka na ul. Lwowskiej w Nowym Sączu, jako wychowawca.

Do seminarium duchownego we Wrocławiu wstąpił w 1954 roku. 21 czerwca 1959 roku otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. Kardynała Bolesława Kominka. Jako wikariusz pracował w Strzelinie, Nowej Rudzie, Bielawie Górnej oraz Kątach Wrocławskich. Na początku 1964 roku został proboszczem w parafii Lewin Kłodzki, koło Kudowy Zdroju. W 1972 roku, z polecenia ks. Kardynała Bolesława Kominka, objął probostwo w parafii św. Bartłomieja Apostoła w Kudowie-Czermnej, gdzie przepracował 27 lat. Jednocześnie w tym czasie pełnił funkcję kapelana szpitala rehabilitacyjno-hematologicznego „Orlik" dla dzieci – od początku istnienia tej placówki.

Odchodząc na emeryturę w 1999 roku pożegnał swoich parafian słowami: „Pokochałem ten przepiękny zakątek Ziemi Kłodzkiej i ludzi tu mieszkających. Pragnę, jako emeryt, pozostać w Kudowie Zdroju". Z rąk władz miasta otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Kudowy Zdroju.
Ks. Jan Myjak do dnia dzisiejszego czynnie pełni posługę kapłańską w Kaplicy Sióstr Służebniczek, uczestniczy w życiu miasta, jest głębokim patriotą, autorytetem moralnym i duchowym, przyjacielem ludzi chętnie dzielącym się swoją wiedzą i doświadczeniem.
Bronisław Kamiński w swojej książce „Życie nie starzeje się" (wydanej w 2005 roku) zamieścił obszernie informacje o życiu duszpasterskim ks. Jana Myjaka. Natomiast w książce pt. „Kudowa Zdrój, Miasto i Ludzie" (2002), zawarte są własne spostrzeżenia księdza dotyczące jego życia i pracy kapłańskiej. Obecnie w „Pamiętniku kudowskim" są publikowane wspomnienia ks. Jana Myjaka.
Na poprzedniej stronie prezentuję kilka zdjęć z prymicji ks. Jana Myjaka z dnia 24 czerwca 1959 roku.

Kudowa Zdrój, 2009 rok Dariusz Stwerteschka

***

Wielki Hołd mieszkańców Kudowy dla Wielkiego Człowieka
Ks. Jana Myjaka
Obywatela Honorowego Kudowy-Zdroju

W niedzielę 21 czerwca 2009 r. o godz. 12.00 mieszkańcy Kudowy-Zdroju szczelnie wypełnili Kościół pw. Św. Bartłomieja aby wspólnie z kudowskimi kapłanami, gośćmi Kudowy-Zdroju, a przede wszystkim z Księdzem Jubilatem Janem Myjakiem i jego najbliższą rodziną dziękować Panu Bogu za 50 lat posługi kapłańskiej. Nie zabrakło na tej uroczystości władz miejskich, przedstawicieli różnych instytucji, stowarzyszeń i fundacji, nie zabrakło też parafian księdza Jana, który przez szereg lat był proboszczem w parafii Św. Bartłomieja.
Z okazji Złotego Jubileuszu Referat Kultury, Sportu i Promocji Urzędu Miasta w Kudowie-Zdroju we współpracy z bliskim przyjacielem księdza Jana Myjaka, Bronisławem Kamińskim, przygotował w godzinach popołudniowych w Tetrze Zdrojowym uroczysty koncert dedykowany ukochanemu przez kudowian księdzu. Zainteresowanie uroczystością przeszło wszelkie oczekiwania organizatorów. Chociaż koncert rozpoczynał się o godzinie 17.00 to pierwsi goście zajmowali miejsca już przed godziną 16.00 i jak się okazało mieli rację, że tak wcześnie przybyli, gdyż przed siedemnastą nie było już ani jednego miejsca siedzącego i mnóstwo osób uczestniczyło w uroczystości na stojąco.

Na widowni zasiedli m.in. Przewodniczący Rady Miejskiej Bogusław Burger, Burmistrz Miasta Czesław Kręcichwost, Wiceburmistrz Piotr Maziarz, przedstawiciele środowisk kombatanckich, duchowieństwo, radni, goście zaproszeni, przyjaciele, znajomi, sąsiedzi Jubilata, a nawet przebywający w Kudowie kuracjusze. Obok księdza Jana na scenie znaleźli się Jego najbliżsi przyjaciele, prof. Bogdan Sujak mieszkający w Kudowie-Pstrążnej światowej sławy fizyk i Bronisław Kamiński Dyrektor Muzeum Kultury Pogórza Sudeckiego.

Jako pierwszy na deskach Teatru pojawił się kudowski chór Sta Allegro pod dyrekcją Roberta Wajlera, który wystąpił ze specjalnie przygotowanym na tę uroczystość repertuarem. Piękny występ działającego od zaledwie kilku miesięcy z nowym dyrygentem chóru, oczarował Księdza Jubilata oraz tłumnie zgromadzoną publiczność.

Postać księdza Jana w żartobliwym i pełnym serdeczności tonie przedstawił Bronisław Kamiński, po nim na scenie z życzeniami i prezentami pojawiali się kolejno Bogusław Burger Przewodniczący Rady Miejskiej, Helena Żełubowska Prezes Związku Sybiraków Koło w Kudowie Zdroju, Bogusław Jakubczak Prezes Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych przy b. KZPB, Tadeusz Dub Prezes Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych Koło Miejsko-Gminne. Życzenia pełne słów uznania dla pracy oraz postawy księdza, Jego niespożytego poczucia humoru, życiowej mądrości, serdeczności i ogromnych pokładów miłości bliźniego składali także kudowscy radni, dzieci niepełnosprawne ze Stowarzyszenia Pomocy Osobom Niepełnosprawnym oraz z nieformalnego Stowarzyszenia KLIKA im. Tereni Karch, Anna Norowska-Kieca Prezes Stowarzyszenia na Rzecz Rozwoju Miasta Kudowy-Zdroju, Tadeusz Szełęga Prezes Klubu Honorowych Dawców Krwi im. Zbyszka Iwanickiego w Kudowie-Zdroju, przedstawiciele Polskiego Związku Wędkarskiego Kazimierz Stolarz i Pszczelarskiego Stanisław Wołowiec jako, że ksiądz był zapalonym wędkarzem i pszczelarzem, Leszek Skrzypczak – Przewodniczący Rady Społecznej Szpitala Rehabilitacyjno-Hematologicznego „ORLIK" w latach 1990–2005, w tym okresie ksiądz Jan Myjak pełnił w Szpitalu funkcję kapelana, przyjaciele, znajomi, sąsiedzi, mieszkańcy pobliskich miejscowości Lewina, Jeleniowa, Dańczowa, Gołaczowai jeszcze wiele innych osób, których nie sposób tutaj wymienić. W trakcie uroczystości zostały dostarczone księdzu Janowi depesze gratulacyjne od prof. dr Alicji Chybickiejz Kliniki Hematologii Dziecięcej we Wrocławiu, prof. dr. Jerzego Kowalczyka Krajowego Konsultanta Hematologii Dziecięcej oraz od obywatela honorowego naszego miasta Jerzego Ignaszaka.

Rola prowadzących uroczystość Elżbiety Hendler-Bolechała i Marka Biernackiego, pracowników Referatu Kultury, Sportu i Promocji Urzędu Miasta w Kudowie-Zdroju momentami ograniczała się do sterowania ruchem osób pragnących złożyć Jubilatowi życzenia, uściski i serdeczności.

Dla uświetnienia Jubileuszu została przygotowana część artystyczna, zapoczątkowana przez występ chóru, a kontynuowana koncertem Uczniów Społecznego Ogniska

Muzycznego w Kudowie-Zdroju. Pod kierownictwem artystycznym Czesława Dolińskiego wystąpiły Magda Janoszek w „Ave Maria" Ch. Gounoda, Wiktoria Żukowska – w „Świetle księżyca" C. Debussyego oraz Kinga Sady – w „Kamiennym Ogrodzie" J. Garści.
Dzieci ze Szkoły Podstawowej Nr 3 w Czermnej, w której ksiądz Jan uczył przez wiele lat religii przygotowały z inicjatywy Dyrektor Małgorzaty Krawczyk piękny, wzruszający występ.
Podczas radosnego spotkania społeczności Kudowy z księdzem Janem na scenie teatru pojawiły się dwie poetki Agnieszka Dziecinna-Drewniak, publikująca swoje wiersze w „Pamiętniku Kudowskim" pod pseudonimem ADEDE, która wyrecytowała utwór specjalnie napisany na Złoty Jubileusz, oraz ku ogromnemu zaskoczeniu prowadzących wrocławianka Halina Matuszewska, przebywająca w naszym mieście na kuracji. Jej interpretacja wiersza pt. „Czarna Sutanna" wzruszyła i zachwyciła tłumnie zgromadzoną widownię.
Niezapomniany, pełen energii i radości koncert zagrała księdzu Jubilatowi kudowska Orkiestra Zdrojowa, tym razem w repertuarze pojawiły się głównie utwory polskie, a koncert rozpoczął się od „Góralu czy ci nie żal", ksiądz jest bowiem góralem z Łącka. Tę popularną pieśń zaśpiewali Jubilatowi wszyscy zgromadzeni w Teatrze na stojąco.
Burmistrzowie Miasta Czesław Kręcichwost i Piotr Maziarz pojawili się na scenie zgodniez wcześniejszymi zapowiedziami prowadzących, pod koniec uroczystości z przygotowaną niespodzianką – karykaturą księdza, autorstwa Sadurskiego przedstawiającą Go w towarzystwie pszczółek, które jak Jubilat twierdził znakomicie rozumie oraz podobnie jak przedmówcy z serdecznymi życzeniami.
Podczas całej uroczystości ksiądz Jan Myjak uważnie wsłuchiwał się w życzenia, aktywnie uczestniczył w koncertach i występach artystycznych. Na koniec podsumował jej przebieg i ustosunkował się do wcześniejszych wypowiedzi. Mówił krótko, chociaż chciałoby się słuchać długo, dowcipnie jak zwykle z ogromną miłością i mądrością. Wspomniał swoją młodość, wybór drogi życiowej, o obietnicy złożonej matce, że będzie dobrym kapłanem, latach pracy w „ORLIKU", gdzie spotykał się z wielkim bólem rozstania z chorymi na nowotwory dziećmi, o pracy duszpasterskiej, o nauczaniu religii, o mądrości którą czerpał od ministrantów i dzieci.
Gromko odśpiewane „Sto lat" i symboliczny toast zakończyły tę piękną i niepowtarzalną uroczystość przygotowaną z potrzeby serca Człowiekowi, który zawsze miał i ma serce dla innych, dla Człowieka kochającego bliźniego miłością cierpliwą, łaskawą, pozbawioną zazdrości, nie szukającą poklasku, nie unoszącą się pychą, najpiękniej opisaną przez św. Pawła z Tarsu w 1 Liście do Koryntian w „Hymnie o miłości".

Elżbieta Hendler-Bolechała

(Pamiętnik kudowski nr 3 (4) 2009)

Jubilat z przyjaciółmi. Od prawej: prof. Bogdan Sujak, Jubilat ks. Jan Myjak, Bronisław Kamiński

Na Jubileuszu od lewej: Marek Biernacki (Kierownik Referatu Kultury), Elżbieta Hendler-Bolechała (autorka artykułu), Czesław Kręcichwost (Burmistrz Kudowy), Marek Jasiński (dyrygent Orkiestry Zdrojowej), Piotr Maziarz (wiceburmistrz Kudowy)

Uczestnicy Jubileuszu ks. Jana Myjaka zebrani w Teatrze im. S. Moniuszki w Kudowie-Zdroju

Cała sala na stojąco śpiewa Jubilatowi - Góralowi „Góralu, czy ci nie żal”

***

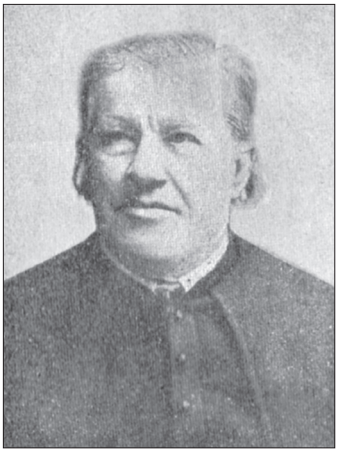

Ksiądz Tomasz Korab Pociłowski (1819 – 1897)

Ks. Tomasz Pociłowski urodził się w 1819 roku w Kleczy Dolnej, powiat Wadowice, jako syn Jana Kantego i Anny z Kowalewskich. Pochodził z rodziny szlacheckiej herbu Korab. Ojciec Tomasza, patriota wywieziony został na Sybir, gdzie umęczony, zmarł. Osieroconymi dziećmi zajął się ich stryj Wincenty.

Tomasz skończył szkołę normalną w Tarnowie, zaś gimnazjum w Podolińcu. Po ukończeniu filozofii w kolegium oo. Jezuitów w Tarnopolu, wstąpił do seminarium duchownego w Tarnowie. Święcenia kapłańskie otrzymał 24.X.1844 r. Jako wikariusz pełnił służbę bożą w Mikluszowicach, Wojniczu i Ryglicach. Szczególną miłością i opieką otaczał ubogich i chorych. W Wojniczu zakładał szkoły parafialne dla zaniedbanych dzieci. W 1850 r. otrzymał probostwo w Brzozowej. Przyszło mu pełnić obowiązki duszpasterza wśród zbuntowanego ludu pamiętnej rabacji 1846 r. W krótkim czasie tę „winnicę pańską oczyścił z chwastów", gorącymi kazaniami pobudził do pokuty za popełnione zbrodnie i spowodował odrodzenie moralne parafian. Posługę w Brzozowej ks. Pociłowski pełnił przez 18 lat.

Herb Korab

W 1868 przeniesiony został do Łącka, żegnany łzami w oczach przez parafian. W Łącku przyszło mu zająć się inną plagą tamtych czasów – pijaństwem. Sprowadzał sławnych kaznodziejów i misjonarzy, którzy niezmordowanie głosili słowo boże. Lud się kruszył, wyrzekał pijaństwa i zmieniał nie do poznania. Ks. Tomasz zajął się łącką świątynią, dach i wieżę pokrył blachą, cmentarz kościelny otoczył murem kamiennym, w którym umieścił XIV stacji drogi krzyżowej, otynkował kościół z zewnątrz, odrestaurował organy dodając parę nowych głosów, zakupił trzy duże dzwony. Budynki gospodarcze i plebanię doprowadził do porządku.

Ks. Pociłowski był zwolennikiem leczenia wodą, metodą ks. Kneippa. Sam zażywał leczniczych kąpieli i wielu ludzi wodą leczył. Kiedy w 1873 r. wybuchła epidemia cholery ks. Tomasz dniem i nocą, nie zważając na swoje bezpieczeństwo, zajmował się chorymi i zmarłymi, rozdawał lekarstwa i pocieszał pozostałych przy życiu. Ta społeczna postawa została uznana przez władze powiatowe, zaś władze kościelne mianowały go dziekanem łąckim, a następnie otrzymał przywilej noszenia rochetty i mantolety wraz z pierścieniem.

Zmarł 6 kwietnia 1897 r. Pogrzeb jego był wielką żałobną manifestacją. Został pochowany w zabytkowej kaplicy cmentarnej w Łącku. Fakt ten upamiętnia marmurowa tablica w kościele ufundowana przez ks.Jana Zagorzyńskiego.

opracował Mateusz Długosz wg Stanisława Baziaka"Łącko przez wieki"

***

Wspomnienie o Stanisławie Sopacie z „Brzegu"

Stanisław Sopata urodził się w 1915 r. w Czerńcu jako czwarte spośród dziesięciorga dzieci Stanisława i Marii z domu Kurowska. Jego ojciec był osobą, jak na te czasy, dobrze wykształconą, ponieważ jako drugi z synów nie miał zajmować się gospodarstwem, tylko został wysłany na nauki do Lwowa gdzie ukończył szkołę pisarzy gminnych. Nagła śmierć jego brata Jana spowodowała, że Stanisław senior powrócił w rodzinne strony i objął ponad dwudziestohektarowe gospodarstwo rodziców. Jako osoba wykształcona stał się jednym z przywódców swojej wsi i wraz z innymi gospodarzami brał czynny udział w tworzeniu instytucji służących najbliższemu środowisku. W 1900 r. był jednym z założycieli Spółki Oszczędności i Pożyczek, dzisiejszego Banku Spółdzielczego w Łącku a w 1905 r. wraz z księdzem Piaskowym oraz Michałem Ćwikowskim utworzyli Kółko Rolnicze w Czerńcu, zajmujące się sprowadzaniem nawozów sztucznych oraz materiału siewnego. Największym jednak zadaniem jakiego się podjął Stanisław Sopata ojciec, było założenie w 1910 r. wraz z Michałem Ćwikowskim, Stanisławem Piksą i Stanisławem Pasiudem jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerńcu, w której działał do końca swego życia. To wspomnienie aktywności społecznej Stanisława seniora jest niezbędne by zrozumieć w jakim otoczeniu dorastał bohater niniejszego wspomnienia a także, by zrozumieć jego zapał do działalności społecznej i związaną z tym pozycję jednego z liderów środowiska wsi Czerniec i całej gminy.

Jak już wspomniano Stanisław był czwartym z dziesięciorga dzieci Sopatów z „Brzegu", jak nazywano tę znaną rodzinę gazdów czernieckich. Rodzice, pomimo tak licznego potomstwa, bardzo się starali o solidne wykształcenie swoich dzieci i dbali o zapewnienie ich przyszłości. Warto wspomnieć przy tej okazji o losach jego pięciu sióstr oraz czterech braci, z którymi przez całe swe życie był mocno związany.

Najstarszy brat Michał ukończył przed wojną szkołę oficerską i jako oficer artylerii brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r., podczas której dostał się do niewoli. Wojnę spędził w oflagu a następnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych gdzie pozostał aż do końca życia.

Siostra Helena wyszła za mąż za Błażeja Potoczka z Rdziostowa, z rodziny związanych z ruchem ludowym posłów do Sejmu Krajowego we Lwowie i Parlamentu Wiedeńskiego. Helena gospodarowała wraz z mężem w Rdziostowie, dochowując się licznej rodziny, zachowującej również związki z rodzinnymi jej stronami w Czerńcu.

Siostra Jadwiga jeszcze przed wojną wyszła za mąż za Wojciecha Konstantego, gospodarza z Podegrodzia. Niestety z powodu jego przedwczesnej śmierci została sama z niespełna roczną córką Marią (późniejszą żoną łąckiego lekarza dentysty Wiesława

Boguckiego). Jadwiga wyszła ponownie za mąż za Jana Boguckiego i mieszkała do końca swego życia w Łącku.
Siostra Rozalia wyszła za Mieczysława Krzywdzińskiego, który podczas II Wojny Światowej spędził cztery lata w obozie w Oświęcimiu. Rozalia Krzywdzińska pracowała przez wiele lat w Gminnej Spółdzielni w Łącku.
Brat Franciszek został powołany do wojska w czasie kampanii wrześniowej i po powrocie do domu postanowił dalej walczyć. Przez zieloną granicę przedostał się do Francji, gdzie wstąpił do polskiej armii. Odbył przeszkolenie lotnicze w Wielkiej Brytanii i tam do końca wojny walczył jako lotnik na samolotach bombowych. Po wojnie wyjechał do swego brata Michała, który przebywał w USA i tam wspólnie zamieszkali.
Siostra Maria wyszła za mąż w Czerńcu za Antoniego Klaga i w młodym wieku została wdową z trójką dzieci, ponieważ mąż zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Pomimo bardzo dużych przeciwności prowadziła samodzielnie duże gospodarstwo, zajmowała się dziećmi i równocześnie kształciła się zaocznie, zdobywając maturę. Wyszła ponownie za mąż za inż. Jana Ćwikowskiego lecz i tym razem los nie dał jej zbyt dużo szczęścia, gdyż po pięciu latach małżeństwa mąż zmarł, osierocając dwóch maleńkich synów.
Brat Jan, jako bardzo młody chłopak, wstąpił w czasie wojny do oddziału partyzanckiego, gdzie pod pseudonimem „Smyk" walczył w Gorcach. Po wojnie podjął naukę w szkole średniej i na Akademii Wychowania Fizycznego. Pracował jako kierownik skupu Spółdzielni „Las" a mieszkał w Łącku wraz z żoną Teresą.
Brat Henryk studiował na Akademii Górniczo-Hutniczej i jako inżynier, pracował przez długie lata w SZEW Biegonice a następnie jako dyrektor Spółdzielni Kółek Rolniczych w Łącku. Ożenił się z Barbarą, znaną w Łącku lekarz stomatolog.
Najmłodsza siostra Zofia wyszła za mąż za mgr Stanisława Boguckiego, dyrektora, miedzy innymi, Spółdzielni „Twórczość" i zamieszkała w Piwnicznej. Po jego śmierci przeniosła się do Krakowa, gdzie mieszka dwójka jej dzieci.

Droga życiowa i działalność społeczna

Stanisław Sopata po ukończeniu szkoły podstawowej, jako przyszły gospodarz, podjął naukę w szkole rolniczej w Suchowoli w obecnym województwie podkarpackim, gdzie uzyskał gruntowne przygotowanie rolnicze, procentujące w jego późniejszej pracy we własnym gospodarstwie. Jego wielką pasją była zawsze hodowla bydła i koni. Nic więc dziwnego, że gdy w 1937 r. został powołany do wojska, otrzymał przydział do 5 Pułku Strzelców Konnych w Dębicy, gdzie dosłużył się stopnia starszego strzelca. W czasie Kampanii Wrześniowej wraz ze swym oddziałem został skierowany na front w okolicach Zawiercia, gdzie 5 Pułk toczył ciężkie boje z Niemcami. Wraz z niedobitkami swojej jednostki wycofywał się aż w okolice miasta Chełm nad Bugiem, gdzie dostał się do niewoli. Wraz z trzema kolegami zbiegł z niewoli niemieckiej i na nogach powrócił do rodzinnego domu.

Po wojnie ożenił się z Zofią Stanisz, pochodzącą z Zabrzeży, której rodzice prowadzili młyn i tartak. Wraz z żoną przeżyli w zgodzie i harmonii wspólne 56 lat małżeństwa, dochowując się pięciorga dzieci: Zenon Sopata, Danuta Podgórna, Mirosława Padula, Zofia Czepelak i Stefan Sopata, a ponadto dochowali się jedenaściorga wnuków i siedmiorga prawnucząt.

Po II Wojnie Światowej Stanisław Sopata poświęcił się rozwojowi swego gospodarstwa rolnego. Było to trudne, ponieważ gospodarstwo należało do największych w gminie, co było powodem problemów z „władzą ludową" walczącą z „kułakami" poprzez nakładanie nadmiernych obciążeń w obowiązkowych dostawach. Pomimo trudności Stanisław Sopata starał się rozwijać i unowocześniać produkcję w kierunku sadownictwa i hodowli bydła mlecznego. Podstaw sadownictwa uczył się od przedwojennego dyrektora szkoły podstawowej Stanisława Wilkowicza, którego był uczniem. Jako jeden z pierwszych wprowadzał nowe odmiany jabłoni i stosował środki ochrony roślin, ściśle współpracując z Instytutem Sadownictwa w Brzeznej. Jednak największą jego pasją byłą hodowla bydła, a szczególnie hodowla zarodowa bydła rasy czerwonej polskiej. Doskonale znał się na wszystkim co z hodowlą jest związane dlatego bardzo często był wzywany przez sąsiadów do pomocy i porad w sprawach hodowlanych i weterynaryjnych.

Jak już zaznaczyłem na wstępie Stanisław Sopata wyniósł z domu rodzinnego wzorce działalności społecznej i przez całe życie był przykładem aktywności oraz zaangażowania w sprawy swej wsi i całej gminy. Przed wojną tańczył w zespole regionalnym prowadzonym przez łącką nauczycielkę Marynę Chwalibóg. Ich wspólne zdjęcie w strojach regionalnych było wydane w formie kartki pocztowej reklamującej Łącko. Po powrocie z frontu wojny obronnej w 1939 r. wstąpił do Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerńcu kontynuując działalność swego ojca, jednego z założycieli tej jednostki. W działalność strażacką angażował się przez ponad pół wieku, pełniąc wiele bardzo odpowiedzialnych funkcji. Był wieloletnim naczelnikiem OSP Czerniec, przyczyniając się do rozwoju tej jednostki i nadzorując wiele inicjatyw realizowanych przez strażaków na rzecz wsi. Udzielał się w komitecie elektryfikacji, a także był pierwszym kierownikiem zespołu do produkcji dachówki, w którym strażacy wyprodukowali ponad 1 200 000 sztuk dachówki cementowej. Gdy w 1973 r. utworzono zarządy gminne OSP, Stanisław Sopata został wybrany przez strażaków całej gminy Komendantem Gminnym i pełnił tę zaszczytną funkcję przez pięć lat. Za swą działalność strażacką był wyróżniany odznaczeniami, otrzymując brązową, srebrną i złotą odznakę „Za zasługi dla pożarnictwa" a także najwyższe odznaczenie strażackie „Złoty Znak Związku".

Wielką pasją Stanisława Sopaty było łowiectwo. Już w latach pięćdziesiątych należał do koła łowieckiego „Cis" biorąc aktywny udział w polowaniach pomimo, że odbywały się one często bardzo daleko od domu. Sezon polowań obejmuje w większości okres zimowy co przy ówczesnych trudnościach komunikacyjnych powodowało, że często korzystał z pomocy swego brata Henryka, który dowoził go na polowania swym mo-

tocyklem, pomimo mrozu i śniegu. Wielka zasługą Stanisława Sopaty było utworzenie samodzielnego obwodu łowieckiego i doprowadzenie do powstania w 1963 r. Koła Łowieckiego „Jarząbek", które działa na naszym terenie do dnia dzisiejszego. Przez długie lata pełnił funkcję Prezesa Koła, będąc wzorem etyki łowieckiej i przyczyniając się do ochrony zwierzyny łownej. Pod jego kierunkiem myśliwi dbali o dziką zwierzynę poprzez zimowe dokarmianie zwierząt, ochronę kuropatw przed polowaniami i coroczną introdukcję bażantów. Dziś myśliwi z regionu łąckiego, dzięki zasługom Stanisława, mają możliwość gospodarowania na swoim terenie i w piękny sposób wpisują się w pejzaż kultury łąckiej swymi obyczajami, a także ubarwiają myśliwskimi strojami wszelkie uroczystości i imprezy lokalne.
Stanisław Sopata zabiegał również o realizację innych działań na rzecz poprawy warunków życia na wsi. Był inicjatorem i członkiem komitetu budowy wodociągu wiejskiego, dzięki czemu udało się zbudować zbiorniki na ujęciu wody źródlanej w Czerńcu, oraz instalację wodociągową. Wodociąg użytkowała wieś przez własną spółkę wodną aż do lat dziewięćdziesiątych, gdy wodociągi przejęła do obsługi gmina. Jednym z przejawów aktywności społecznej była aktywna pomoc przy organizacji pierwszych obchodów Święta Kwitnących Jabłoni, które kilkakrotnie odbywały się w sadzie Stanisława Sopaty przy jego aktywnym udziale.
Jako społeczny działacz angażował się w radach nadzorczych Gminnej Spółdzielni i Banku Spółdzielczego w Łącku, kontynuując tym sposobem dzieło swego ojca, który aktywnie działał na tym polu już od utworzenia tych instytucji. Za swą publiczną aktywność Stanisław Sopata był wyróżniany wieloma dyplomami, medalami i odznaczeniami państwowymi. Najwyższym odznaczeniem jakim uhonorowano jego społeczne zaangażowanie był Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Słowo końcowe

Wspomnienia o Stanisławie Sopacie z „Brzegu", gospodarzu i działaczu społecznym z Czerńca chciałbym zakończyć próbą jego oceny jako człowieka, sąsiada, członka rodziny. Był to człowiek nietuzinkowy, pozbawiony agresji, uprzedzeń i małostkowości. Lubił ludzi, lubił bezpośredni kontakt z innymi poprzez rozmowę i wspólne działanie. Nie opuścił żadnego łąckiego jarmarku, gdzie spotykał się ze znajomymi, załatwiał wszystko co było potrzebne dla gospodarstwa a co można było uzgodnić z majstrami i fachowcami przybyłymi na to miejsce handlu i spotkań. Zatrzymywał się z każdym, kto miał do niego sprawę lub prośbę o pomoc. Był szalenie gościnny i wraz ze swą żoną Zofią prowadzili dom otwarty, co przejawiało się w tym, że każdy gość był mile witany i goszczony na miarę możliwości gospodarzy. Otwartość na innych, umiejętność wsłuchania się w czyjeś potrzeby powodowały, że dom na „Brzegu" często zapełniał się gośćmi.
Jako mąż, ojciec i dziadek cechował się wymagającym lecz spokojnym i szanującym cudzą godność podejściem do najbliższych. Miałem to szczęście, że jako Jego zięć mo-

głem obserwować go z bliska przez 23 lata i z całym przekonaniem mogę stwierdzić, że był przykładnym ojcem rodziny, dającym wspaniały przykład jak żyć w zgodzie ze sobą, ze swym sumieniem oraz czyniąc dużo dla dobra wspólnego. Czerpał z życia radość nie szkodząc innym i w pogodzeniu ze światem takim jaki jest, a wykorzystując godnie swój czas zaskarbił sobie ogromny szacunek i zgromadził wielu przyjaciół. Ten szacunek i pozycja, którą sobie przez całe pracowite 86-letnie życie wypracował, znalazły swoistą nagrodę w postaci tłumnego ostatniego pożegnania, jakie zgotowali mu wszyscy bliscy i znajomi gdy zmarł 17 maja 2001 r.
Życie i działalność Stanisława Sopaty stanowi przykład jak można godnie i z honorem spełnić się w działaniu. Stanowi przykład, że warto być człowiekiem skromnym, uczynnym i prawym, a dobre postępowanie zostaje w ludzkiej pamięci.

Zbigniew Czepelak

Pro memoria

Urszula Jurkowska

Barbara Arendarczyk 1955 – 2010

Wspomnienia uczennicy

Wrzesień 1982 rok – zerówka, pierwszy krok do szkoły, pierwszy krok w nowe życie, emocje i obawy. Kto będzie wychowawcą? Wiele pytań nurtuje moje myśli. Jest!!! Uśmiechnięta, miła, pogodna. Ma w oczach tyle radości. Znałam ją wcześniej z widzenia, ale to teraz będzie ona moim pierwszym nauczycielem i zarazem wychowawcą. To wspaniale, pomyślałam.

Słoneczny dzień – ustawia nas w pary i wychodzimy. Pierwszy spacer, chłopcy rozrabiają ale ona nigdy nie krzyczy, lecz łagodnie upomina. Moje pierwsze lata w szkole były najpiękniejsze. Szłam z radością na zajęcia, gdzie czekała na mnie nie tylko nauka, ale i zabawa. Wiedziałam, że czeka na mnie wspaniały wychowawca, który uczy i wychowuje łagodnie bez krzyku i zdenerwowania. Uczyła nas czytać i pisać, uczyła nas poznawać świat. Była wspaniałym nauczycielem.

Po zajęciach w szkole organizowała z nami spotkania w grupach, zupełnie bezinteresownie. Dedykowała swój cenny czas nie dla siebie, lecz dla nas, uczniów. Spotykaliśmy się w hufcu. Tam graliśmy na gitarze, śpiewaliśmy i stawialiśmy pierwsze kroki w zuchostwie i harcerstwie. To ona, jako pierwsza, wprowadziła nas w jego tajniki. Nauczyła nas bycia harcerzem. Mundurki, rogatywka, menażki i w drogę! Wspólny wyjazd. Obozy harcerskie to jej pasja. Podążamy razem z nią – obóz harcerski w Płonicach (blisko Rabki). Duże dziurawe namioty, niewygodne łóżka, zimne noce, ale nam to nie przeszkadza. Nic nie stoi na przeszkodzie by zrezygnować z bycia „zuchem", to jedna wielka przygoda. Gitara, ogniska, skecze, tego wszystkiego nas nauczyła. „Pieski małe dwa" – do dzisiaj nucimy jedną z pierwszych piosenek.

1 B – klasa Barbary Arendarczyk

Spotykaliśmy się w hufcu niemal codziennie. Cieszyliśmy się każdą chwilą. Wspólne szkolne wycieczki, jak ta na zdjęciu z 1985 roku.

Jednocześnie też prowadziła starsza grupę harcerską. Starsi byli większymi szczę-

ściarzami, pojechali wspólnie do Uljanowska. My musieliśmy niestety trochę dorosnąć.

Była nauczycielką z prawdziwym powołaniem. Nie mająca własnych dzieci potrafiła dotrzeć do nas lepiej niż niejedna matka. Rozumiała nasze potrzeby. Umiała pomóc, wesprzeć, nauczyć, rozbawić i poświęcić każdą swoją cenną chwilę nie dla siebie, lecz dla nas, uczniów. Była zawsze sprawiedliwa, nie traktowała nikogo wybiórczo, lecz wszystkich równo. Była wielką altruistką umiejącą kulturalnie łączyć cele osobiste ze społecznymi. Przy tym nie narzucała swojej woli. Uczniowie i harcerstwo przesłaniały jej całkowicie własne życie prywatne, któremu poświeciła zbyt mało uwagi. Na otoczenie wpływała jak uzdrawiający eliksir.

Wpis do pamiętnika Barbary Arendarczyk

Obowiązkowa, szczera, sprawiedliwa i pełna humoru. Wszczepiła we mnie przede wszystkim altruizm i odwagę, by nigdy się nie poddawać. Jej słowa zapisane w moipamiętniku słyszę każdego dnia:

Były to bez wątpienia najszczęśliwsze lata szkolne. To nieprawda, że „nie ma ludzi nie zastąpionych" – są. Ona była nie do zastąpienia!!! Drugiej takiej nauczycielki już nie było. W każdej następnej próbowałam ją odnaleźć, lecz nikt jej nigdy nie zastąpił. Rozstanie z nią w szkole podstawowej było bolesne i smutne. Zawsze mi jej brakowało. Później gdy dorastałam widywałam ją, ale nikt nie przypuszczał, że tak wcześnie będzie trzeba się z nią rozstać ponownie, tym razem już na zawsze.

Dla pierwszej, najwspanialszej i niezapomnianej wychowawczyni –

uczennica

Tomasz Kowalik

Przyczynek do sagi rodu Chwalibogów

Zapisana w kronikach Łącka rodzina Chwalibogów ma wielowiekowe tradycje. Na łamach *Almanachu Łąckiego* jej dzieje możemy poznać dzięki opracowaniom Krzysztofa Chwaliboga, jednego z jej współczesnych przedstawicieli.[1] Czytelnicy mogą dowiedzieć się o losach doktora Henryka Chwaliboga (1873–1918), pierwszego stałego lekarza w historii galicyjskiego Łącka i jego żony Józefy z Uhmów, która przy mężu była mu wielce pomocna, gdyż prowadziła – także pierwszą w jej wsi-miasteczku – aptekę. A po śmierci męża była łącką nauczycielką. Oboje byli – jak to się mówi „dzięki Opatrzności" – na wagę złota. Na początku minionego stulecia do medyków z Łącka było i dość daleko i niedogodnie. Bo wokoło góry, a gościniec do Starego i Nowego Sącza był przysłowiową polską drogą, ale jeszcze bardziej uciążliwą, w galicyjskim wydaniu. A lekarz – bywało – na piechotę, saniami, furką i wierzchem na koniu, jechał pomagać – dość często bez zapłaty – w gorączkowej i bolesnej potrzebie.

Dziesiątki lat musiały minąć, w tym dwie wojny światowe i kilkadziesiąt rządów z premierami, a jeszcze więcej wojewodów, starostów i wójtów, aby gościniec sądecki zrazu był wyboistą „drogą ku światu" a wreszcie stał się drogą „dość szybkiego ruchu". Z powodu swego położenia w terenie, jest dziś zarazem drogą gminną, powiatową, wojewódzką i międzynarodową. Od dawna jeżdżą nią wielcy i mali tego świata, i do urzędu, i do porodu, i do swoich mogił, i za granicę po lepszy zarobek, i po prostu w odwiedziny do ciotki, i z dziewczyną na dyskotekę.

Pozwalam sobie na małą dygresję, o tym jak zaznajomiłem się z Łąckiem. Jestem typowy – najpierw jako student i turysta, odrywałem uroki „krainy kwitnących jabłoni" i okolicznych, łagodnych gorczańskich i sądeckich gór. A z biegiem czasu letnik czy wczasowicz, związany wieloma nitkami od ponad trzydziestu lat z pobliską Tylmanową i jej serdecznymi mieszkańcami. Wielu z nich mam wpisanych do życiorysu i w tradycje rodzinne jako przyjaciół. Wszystkich nas połączył Dunajec, rzeka swoiście piękna, kiedyś żywiołowa i przez to bardzo groźna. W Łącku poznałem ludzi z podobnymi doświadczeniami, rodziny z wieloletnimi tradycjami, zajęte swoimi codziennymi sprawami. A stawało się to dzięki odwiedzaniu miasteczka nad Czarną Wodą przy okazji jarmarków i poszukując w łąckich sklepach banalnie zwyczajnych, codziennie potrzebnych towarów

Znajomość zawarta całkiem niedawno z Towarzystwem Miłośników Ziemi Łąckiej stała się moim doświadczeniem, po przeczytaniu kupionego „u Pasonia" kolejnego, wtedy już drugiego, numeru „Almanachu". Z następnych dowiedziałem się, czym jest to regionalne Towarzystwo. A jest – w moim najgłębszym przekonaniu – czaso-

1 Krzysztof Chwalibóg, *Zapis dziejów rodziny Chwalibogów, cz. I – w górę Dunajca*, „Almanach Łącki" nr 5/2006, s. 7-11; *Historia rodziny Chwalibogów, cz. II – Znad Dunajca w świat*, „AŁ" nr 6/2007, s. 23-25; *Historia rodziny Chwalibogów, cz. III*, „AŁ", nr 7/2007, s. 5-11; *Historia rodziny Chwalibogów, cz. IV*, „AŁ", nr 8/2008, s. 5-9; *Wspomnienia Marii Myjak o rodzinie Chwalibogów*, „AŁ", nr 9/2008, s. 8-11.

pismem nie tylko „historyczno-kulturalno-społecznym". Jest – jak kładka nad Dunajcem – pomostem „między dawnymi a nowymi czasy", przedłużeniem starego piśmiennictwa regionalnego i zarazem spójnikiem miedzy wspaniałymi tradycjami polskiego krajoznawstwa, z jego sztandarowym hasłem „poznaj swój kraj". Mówiąc krócej: i czasopismo i Towarzystwo to „strażnicy małej ojczyzny i swojszczyzny". Dzięki nim zacząłem bliżej poznawać Łącko, jego mieszkańców współczesnych, dawnych i najdawniejszych. Chwalibogów na tej swoistej mapie społeczności łąckiej poznałem z opisów ich życia i pracy, owocującej dorodnie, jak miejscowe jabłonie, w nieprzeciętne wydarzenia, głównie na niwie społecznej i kulturalnej.

Wreszcie zapragnąłem skorzystać z okazji i co nieco poznać współczesnych Chwalibogów, przede wszystkim architekta Krzysztofa Chwaliboga – jednego z tych, których związki z Łąckiem sięgają jego dziadka doktora Henryka, babki Józefy, stryjow Henryka i Jana, ciotki Marii-Maryny. I dla Krzysztofa – wnuka Henryka i syna Zbigniewa, urodzonego we Lwowie w 1940 roku, ta wieś-miasteczko w latach szkolnych – po repatriacji z kresowej stolicy do Warszawy, w latach 1946–1961 była miejscem niezapomnianych wakacji. Po domu dziadków w pamięci Krzysztofa zostało serdecznie wspomnienie, jak o każdym domu z beztroskiego dzieciństwa. Ale starsi mieszkańcy Łącka pamiętają, ba, nawet mają bezcenne dokumenty, mówiące słowem i rysunkami gdzie był i jak wyglądał dom rodziny Chwalibogów.[2] Ten dom był siedliskiem nie tylko rodziny lekarza, ale z czasem wójta łąckiego, uznanego przez miejscową społeczność za godnego wyboru na takie ważne stanowisko.

Dziś, gdy rozmawiam w domu państwa Bożenny i Krzysztofa Chwalibogów, w zaprojektowanym przez niego osiedlu w Dąbrówce, na skraju Mokotowa, w przestronnym nowoczesnym domu, echo z dawnego i dzisiejszego Łącka słychać bardzo wyraźnie.

– *Starego domu nie ma, pozostały wspomnienia, fotografie, jakimś cudem zachowane rysunki i plany jego budowy. Odwiedzam to miasteczko chętnie, choć nie często, ostatnio przy okazji odsłonięcia tablicy pamiątkowej, na nagrobku dziadka Henryka, poświęconej mojej ciotce Marii Chwalibożance, podczas Święta Kwitnącej Jabłoni w maju 2008 r.* – wspomina mój rozmówca.

Ojciec Krzysztofa – Zbigniew, brat Marii, był we Lwowie architektem – *w czasie okupacji jako oficer AK prowadził komórkę legalizacyjną, zajmując się podrabianiem niezbędnych w różnych akcjach konspiracyjnych dokumentów niemieckich, a także potrzebnych wtedy wielu ludziom do przetrwania. Po wojnie mieszkaliśmy w Warszawie, ojciec zajmował się odbudową kościoła w zespole pałacowym w Jabłonnie, siedzibie rodu Poniatowskich, koło Warszawy. Więc zawód odziedziczyłem po ojcu razem z upodobaniami do górskiego krajobrazu, przyrody, nurtu łąckiego Dunajca i Czarnej Wody, bo przecież dom dziadków stał około stu metrów od tego rwącego, jak każdy górski, groźnego po deszczach potoku. Zatem, choć nie bez przerw, podczas wielu wakacji wychowywałem się w Łącku, w ogrodzie dziadka i nic dziwnego, że dobre przeżycia choć w trudnych powojennych latach, zostały we mnie na stałe…*

2 Andrzej Urbaniec, *Z domowego archiwum*, „AŁ", nr 9/2009, s. 12-13.

Warto dodać, że ojciec Krzysztofa – Zbigniew Chwalibóg, po przymusowym wykupie domu i ogrodu przez gminę, w związku z budową Urzędu Gminy w Łącku był jego projektantem, a wykonawcą Andrzej Urbaniec, który podaje te i wiele innych szczegółów w swoim wspomnieniu *Z domowego archiwum* opublikowanym w „Almanachu". Tuż przy łąckim „dworcu autobusowym" rosną jeszcze niektóre drzewa, dwa stare orzechy tureckie, sadzone przez doktora Chwaliboga.[3] Przy okazji obchodzonego niedawno, 15 sierpnia 2008 r. jubileuszu 75-lecia Regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca „Górale Łączcy" wiele uwagi poświęcono osobie Marii-Maryny Chwalibożanki, łąckiej nauczycielki, działaczki oświatowej, założycielki i kierującej tym zespołem od 1933 do 1939 r. Niestety, nigdy nie mogła wrócić do kraju, w rodzinne strony do Łącka, pozostało jej niełatwe życie wojennej emigrantki w Londynie, gdzie została pochowana na odległym cmentarzu. Obszerne wspomnienia o swej ciotce napisał jej bratanek Krzysztof, które pokazują jej życie w dawnym Łącku. Na łamach „Almanachu" wspominana jest nie tylko przez krewnych, inne osoby również zachowały ją w dobrej pamięci.

– Z rodzinnych tradycji, także mój młodszy brat stryjeczny Andrzej został architektem. Zajmuje się tworzeniem architektury sakralnej, jest związany z Politechniką Białostocką, jest m.in. autorem projektu (w 1999, konsekracja we wrześniu 2000 r.) Katedry Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Irkucku, głównej świątyni diecezji irkuckiej a także szeregu obiektów sakralnych i publicznych na Podlasiu. Muszę przerwać te opowieść o ojcu i bracie architekcie, bo chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej o kolejnym w rodzinie architekcie – Krzysztofie Chwalibogu, który ma życiorys bogaty w dokonania, tak w projektowaniu, jak i działalności społecznej w kraju i za granicą.

A jest tego niemało, bo już tylko przejrzenie za pomocą wyszukiwarki internetowej sprawia istotny kłopot – jest tego dużo, co najmniej na kilka godzin do czytania. Już tylko wymienianie funkcji, nagród, uczestnictwa w zjazdach i konferencjach, w sędziowanych konkursach architektonicznych i własnych prac projektowych Krzysztofa Chwaliboga wymaga wybierania niektórych spośród wielu. Więc ponieważ pisanie o rodzinie jest dla Autora znacznie łatwiejsze niż pisanie o sobie samym – co łatwo sprawdzić w kolejnych numerach „Almanachu" – z lat 2006, 2007, 2008, i wiele wskazuje, że także w 2009 r. Z czysto dziennikarskiej ciekawości starałem się namówić Go na zwierzenia osobiste. Przede wszystkim – zawodowe, ale na tym tle często pojawiały się w Jego opowieści „wątki łąckie" i były to nie tylko wspomnienia z wczesnego dzieciństwa.

Z bogatego życiorysu zawodowego wybieram za zgodą rozmówcy te części, które pozwolą na pokazanie Go czytelnikom nie tylko w rodzinnej miejscowości Jego dziadków. To były niezapomniane tygodnie i miesiące letnich wakacji, już ponad 60 i 50 lat temu, szmat czasu i wiele wody w Dunajcu upłynęło. Ale przecież nie tylko życiowe drogi Krzysztofa Chwaliboga zaprowadziły do wielu zakątków świata, często

3 Tamże, s. 13.

jednak odniesienia do przeżyć łąckich były na pierwszym planie, w pracy i – jak wielu innych – czerpał obficie z przebywania w górach niezbyt odległych, z Tatr, Gorców i innych części Beskidów, a więc z miejsc, gdzie Dunajec ma swoje źródła, a po drodze obmywa łąckie brzegi, kamieńce, coraz mniej szumne bystrza, czasem jeszcze zalewa naddunajeckie łąki i sady. Jestem przekonany, że ten, kto wyszedł poza stary dom rodzinny w Łącku, stworzył wiele domów jako architekt, jest godny bliższego poznania. Życzliwość dla mojego pomysłu, zachęta samej Prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej i oczekiwanie redakcji „Almanachu" – to były bodźce do starania się o wypełnienie całkiem prywatnego projektu.

– *Interesuje mnie nie tylko architektura, konstrukcja, budowla, ale także zmiana jakiej dokonuje się takim działaniem w krajobrazie. Powiem szczerze – nie wszystko co się dzieje w krajobrazie budzi we mnie dobre uczucia. Żeby daleko nie szukać, krajobraz doliny Dunajca w biegiem lat robi się coraz gorszy, traci swoje walory, znikają nie tylko elementy tradycyjne, bo to normalny proces zmian, ale dlaczego w zamian powstaje tak wiele brzydoty? Brakuje zrozumienia dla pojęcia, jakże ważnego, chodzi mi o „ład przestrzenny" i o to, ze nikt go nie objaśnia, nie broni przed dowolnością, a czasem nawet słyszę, że taki ład jest zbyteczny. Chaos w zabudowie widzę nie tylko w moim Łącku, także w Czerńcu, Zabrzeży, Tylmanowej, to o czym mówię rzuca się w oczy, gdy jadę do Nowego Sącza czy w drugą stronę, do Nowego Targu. Mam wiedzę i pełną świadomość, że w bok od tego historycznego traktu, w bocznych dolinach beskidzkich i gorczańskich, jest tak samo. Zniszczenia w krajobrazie sięgają coraz wyższych części dolin i polan górskich* – streszczam poglądy i wyjaśnienia, jakie poznałem w czasie tej rozmowy.

Jak to można hamować, bo zmieniać jeszcze trudniej – pytam mego rozmówcę. – *Moje upodobania wiążą się z górami, z nich się wywodzą. W okolicach rodzinnego Łącka uczyłem się z „elementarza górskiego krajobrazu". Potem były Tatry, próby wspinaczkowe i intensywne narciarstwo. Ale potem bywałem w Alpach francuskich i austriackich, w Kolorado w Stanach Zjednoczonych, rozmawiałem nie tylko z architektami, oglądałem to, co „siedziało w krajobrazie". Niezwykle rzadko dało się zauważyć oczywista brzydotę, dewastacje naturalnego krajobrazu. Wiele domów w małej skali nie powodowała spustoszenia okolicznych wzgórz czy lasów, nie były wbite w otocznie jakby jakimś „młotkiem". Dom mieszkalny czy zabudowania gospodarcze nie powinny niszczyć tradycji regionalnych w tej dziedzinie. A przykładów jest dość, wystarczy się rozejrzeć po okolicy*… – Nie wytrzymałem – proszę o przykłady, te najbliższe Łącka, kilka złych zapisałem, teraz kolej na dobre.

I mój rozmówca od razu wymienia stare Gołkowice, ale nie dlatego, że 140 lat temu jego dziadek doktor Henryk urodził się w tej miejscowości. – *To jest do dziś miejscowość z charakterem, widać na pierwszy rzut oka, że kiedyś tradycja, także w budownictwie, była świętością. Gołkowice mają rodowód w osadnictwie w dolinie Dunajca w XVIII w. Domy mieszkalne i budynki w obejściach gospodarczych to była jedność, po obu stronach drogi sądeckiej jak dwie krople wody. Nie domagam się prostego naśladowania tego wzoru, proszę jednak zauważyć różnicę miedzy starymi Dolnymi Gołkowicami czy porządkiem przestrzeni dawnej łąckiej„niemieckiej wsi" a „nowoczesnością"*

w ich sąsiedztwie bliskim i dalszym. A jakby dla uzupełnienia usłyszałem: – *spójrzmy na inne miasta i miasteczka, choćby na Stary Sącz, którego zabudowa wokół rynku i jego stara brukowana nawierzchnia, jest dlatego tak atrakcyjna, że tradycyjna, dlatego że tak wygląda jak dziś, jakby nie minęły stulecia.* Po chwili dodał: – *a kościół w Limanowej choć tak bardzo nowoczesny, nie niszczy swego otoczenia. A schroniska w Tatrach – na Hali Ornak, na Polanie Chochołowskiej, na Hali Gąsienicowej, w Dolinie Pięciu stawów Polskich, Dom Turysty w Zakopanem – to właśnie ukłon w stronę tradycji, kamienne mury, spadziste dachy, wkomponowanie bezkonfliktowe w górskie otoczenie.*

Proponuję odejście od spraw regionalnych, proszę o przykłady „z kraju", o dorobek twórczy Krzysztofa Chwaliboga. I od razy trafiamy do Krynicy, gdzie mój rozmówca umiejscowił w Dolinie Czarnego Potoku, wpisany w otoczenie 4-piętrowy hotelu „Eris" w kształcie łuku, z maksymalnym zastosowaniem ciosanego kamienia i drewna. Za ten budynek on i współautorzy architekci Ryszard Girtler i Zenon Remi dostali Nagrodę Specjalną Stowarzyszenia Architektów Rzeczpospolitej Polskiej w 1998 r. W kolejnych wątkach rozmowy wędrujemy daleko poza Łącko. Student Chwalibóg w 1963 r. uzyskuje dyplom architekta na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Już w następnym roku, ma pożądaną przez wielu w jego wieku, zawodową praktykę architektoniczną we Francji (1964–1967). Po powrocie ma znaczącą w swym dorobku pracę w Biurze Planowania Warszawy, gdzie jest współautorem Koncepcji rozwoju Aglomeracji Warszawskiej oraz głównym projektantem Pasma Legionowo-Jabłonna (1973).

Niebawem – zaczynają się Jego wieloletnie związki i pełnienie wielu funkcji w środowisku zawodowym, w 1968 r. zostaje Przewodniczącym Koła Młodej Architektury Oddziału Warszawskiego SARP. W 1975 r. droga zawodowa prowadzi Go do Stanów Zjednoczonych, jest stypendystą studium urbanistycznego „Metro Center" na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w stanie Maryland. Po powrocie znowu „wielka robota" – jest współautorem Perspektywicznego Planu Zagospodarowania Przestrzennego Stołecznego województwa Warszawskiego, i zapewne ten dorobek jest podstawą do uzyskania nie tylko tytułu o nazwie „Architekt uprawniony do projektowania". Kolejny ważny krok – objęcie z wyboru funkcji wiceprezesa Stowarzyszenia Architektów Polskich, którą pełni w latach 1981–1987, i za niedługo jeszcze raz w latach 1991-2000 zostaje wybrany prezesem SARP przez trzy kadencje, pozostając na najwyższym szczeblu hierarchii zawodowej i społecznej w jego kręgu.

W latach 1995–2000 Krzysztof Chwalibóg obejmuje pełni ważne funkcje w zespołach zawodowych – w 1985 został członkiem Rady Prymasowskiej Budowy Kościołów, Głównej Komisji Urbanistyczno Architektonicznej, a wkrótce jej wiceprzewodniczącym i – jakby tego było mało – przewodniczącym Polskiej Rady Architektury. W imieniu Międzynarodowej Unii Architektury wspólnie z żoną Bożenną (również architektem) organizował i prowadził konkurs na najbardziej przyjazny i powszechnie dostępny budynek w Europie środkowo wschodniej i południowej w finale którego znalazło się 12 obiektów architektonicznych z Polski, Słowacji, Rosji, Grecji, Łotwy, Białorusi i Cypru. Do bardzo ważnych zalicza rozwiązanie problemu dostępności greckiego Akro-

polu – za pomocą systemu wind i platform znakomicie ułatwiających poznanie tego bezcennego obiektu przez osoby niepełnosprawne. I zaraz dodaje: – *W tych konkursach z powodzeniem brały udział i zostały docenione m.in. rozbudowa Akademii Muzycznej w Katowicach, Ośrodek Informacyjny im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie i Audytorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Filharmonia Łódzka.*

Wracamy do wątku o dorobku twórczym mojego rozmówcy. Znowu kłopot, zwłaszcza dla Czytelnika, bowiem trzeba wymienić prace i obiekty, który mało kto miał okazje zobaczyć „na żywo", choć to są duże przedmioty, z betonu, cegieł, stali zbrojeniowej. Projektowanie rozwoju przestrzennego Warszawy i okolic (w zespołach) owocuje m.in. zatwierdzonym w 1996 r. Planem Zagospodarowania Przestrzennego Osiedla Choszczówka w Warszawie (wspólnie z Ryszardem Girtlerem, z którym utworzył kilkuosobową autorską Pracownię Projektową A3. W latach 1984–2002 ten zespół zgromadzi ogromny dorobek, w postaci znaczących realizacji. Sa to m.in. kościoły – parafialny pod wezwaniem Świętego Ducha w Legionowie koło Warszawy (1984), także wyróżniony Nagrodą Roku SARP za 1968 r.kaplica i dom parafialny w Żychlinie (1987) koło Kutna, woj. łódzkie i kolejny kościół w Legionowie pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego (1988) Potem (1988) był budynek biurowo-mieszkalny przy ul. Okopowej i budynek biurowy „Aplauz" przy ul. Radiowej w Warszawie. Wspólnie ze wspomnianym Ryszardem Girtlerem ma w dorobku zespół siedmiu rezydencji w Gdyni „Gdynia Hill" (nagroda ministra budownictwa), apartamentowiec „Vistula", zespoły mieszkalnej zabudowy szeregowej osiedli „Choszczówka" i „Akacjowe" (1994–1997), a także z architektem Zenonem Remim budynek biurowy przy ul. Starowiślnej w Krakowie i rezydencja prywatna w Izabelinie, tuż „za miedzą" graniczną Warszawy, na skraju Kampinoskiego Parku Narodowego (2000) i projekt autorski K. Chwaliboga – rezydencja w Konstancinie (2002) i budynek mieszkalny Środowa 7, na szczecińskiej Starówce. W 2008 według jego projektu powstał dom mieszkalny przy ulicy Dywizjonu 303 w Warszawie, a w 2009 jest realizowany zespół mieszkaniowy Conrada na warszawskich Bielanach.

Za każdym razem, gdy Krzysztof Chwalibóg ma rozwiązać kolejny ze swoich problemów w projektowaniu niezmiennie odnosi się i pamięta o wielkich mistrzach architektury, a więc m.in. do Louisa Kahna – ideologa humanizacji architektury, czy Aldo Rossiego, zwolennika wprowadzania do wnętrz naturalnego światła, obydwu oponentów „maszynistycznych koncepcji" Le Corbusiera, wybitnego francuskiego twórcy nowoczesnej architektury. Nie naśladuje ich, ale stara się twórczo nawiązywać do dzieł, które torowały drogę współczesnym kierunkom w architekturze i budownictwie „na skalę ludzką". Toteż osiedle złożone z bliźniaczych parterowych budynków, i dom w którym mieszka mój rozmówca ma wiele z cech czerpanych od wspomnianych mistrzów.

Na początku naszej rozmowy Krzysztof Chwalibóg wiele razy wymieniał krajobraz, konieczność poszanowania jego walorów naturalnych, komponowania obiektów architektonicznych, wielkich i najmniejszych w taki sposób, aby „pasowały" do otoczenia, tworzyły z nim harmonijny związek. – *Lawinowy rozwój budownictwa*

jednorodzinnego, rezydencji podmiejskich, a w mieście wielkich biurowców i apartamentowców, i w obydwu sytuacjach niszczy to otoczenie, lekceważy je. Znikają takie elementy naturalne jak woda, las, skłon wzniesienia, zadrzewienia naturalne, ale i krajobrazy stworzone przez człowieka, jak choćby całe połacie łąckich sadów też idą „pod piłę spalinową". Nie tędy droga do nowoczesności i wygodnego życia. Pozbawiamy się zbyt łatwo tego, co wytworzyły pokolenia naszych poprzedników. Ginie wiele elementów natury, tym samym szkodzimy sami sobie – podkreśla. – Oprócz wspomnianego wcześniej odrzucenia i lekceważenia „Ładu przestrzennego" niezwykle ważne jest zachowanie zasad „zrównoważonego rozwoju", m.in. stref podmiejskich dużych miast, ale i takich jakie są ciągle jeszcze do uratowania w gminie Łącko i wielu innych, nie tylko sąsiednich – dodaje.

Konieczne jest podjęcie walki z brzydota i bałaganem w przestrzeni, tam gdzie żyjemy powinien być ład przestrzenny, a jest to jeden z głównych warunków zachowania piękna Polski, i jej atrakcyjności dla przybyszy ze świata. Tym bardziej ostatnio licznych, że nie ma wielu granic i formalności, jak zdecydowała umowa podpisana w Schengen. – *Dlatego takie regiony jak Mazury czy Małopolska, w tym dolina Dunajca, muszą być chronione przed samowolą, dzieleniem kraju na działki budowlane pod przymusem „polityki" gospodarczej w wielu gminach. Dlatego Polska Rada Architektury, której jestem przewodniczącym, czyni starania aby zapobiegać degradacji naszego otoczenia, krajobrazu, niszczenia walorów naturalnych. Rozpoczęliśmy dokumentowanie nieodwracalnych zmian i pokazywanie dobrych przykładów ochrony krajobrazu w imię dobra publicznego* – przedstawia zapewne nie tylko swoje poglądy na ten temat, które mają swoje korzenie w dolinie Dunajca i nad Czarną Wodą w Łącku.

– *Memoriał dotyczący ładu przestrzennego w Polsce "Spójność i Tożsamość Przestrzeni" powstał w 1998 r jako wydawnictwo po Kongresie Architektury Polskiej w Gdańsku. Więc właśnie minęło 10 lat od rozpoczęcia starań o poprawę alarmującej sytuacji przez Polską Radę Architektury* – powiedział mi Krzysztof Chwalibóg.

– *W 2007 roku Rada wydała publikację „Krajobraz Polski i Polityka" a w 2008 „Projekt Polskiej Polityki architektonicznej".Opracowali go przedstawiciele środowisk architektów i urbanistów, działający w stowarzyszeniach i izbach (współautorami są Andrzej i Krzysztof Chwalibogowie). Został wsparty deklaracjami współpracy w tym zakresie przez inne organizacje pozarządowe – konserwatorskie, ekologiczne, lokalne, konsumenckie itp.*

Obecnie trwają prace przy nowelizacji Prawa Budowlanego oraz Ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym a także o zamówieniach publicznych. Ale mimo upływu czasu obraz sytuacji w kraju jest dramatyczny. W skrócie można go scharakteryzować następująco: Wobec agresywnego nacisku lobby inwestycyjnego tracone są kolejne pozycje obrony ładu i spójności przestrzeni publicznej i krajobrazu, dlatego, że poszczególne ogniwa, które powinny dbać o ten ład i zapewniać warunki do kształtowania spójnej przestrzeni nie wypełniają swoich statutowych obowiązków.

Nie sposób w tym tekście, trochę okazjonalnym, ale zapewne ważnym dla Czytelników oswojonych z nazwiskiem Chwalibogów – wszak o „swojaku" trzeba wiedzieć

dużo, nie tylko z „trzeciej ręki" (jak w przypadku mojej chęci przedstawienia dorobku życia jednego z członków tej rodziny na łamach „Almanachu", bo przecież nie zdołam wyciągnąć z mojego rozmówcy wszystkich szczegółów Jego owocnego, trwającego już niemal pół stulecia!!! – życia zawodowego architekta). Tak, od dyplomu minęło właśnie 45 lat, a przecież do końca marszu tą drogą rozpoczętą także w Łącku – jeszcze bardzo daleko.

W karierze liczą się także kłopoty czy nawet porażki, jak np. zaprzestanie wydawania czasopisma „Architekt", którego naczelnym redaktorem był Krzysztof Chwalibóg. Przy tej okazji wymienię zatem niektóre sukcesy, niezależnie od przedstawionych wcześniej. Uzyskał 20 nagród i wyróżnień w konkursach dla architektów i urbanistów, nagrody I stopnia Ministra Środowiska w 1979 r. za wspomniany Plan Zagospodarowania Przestrzennego (dawnego) woj. Stołecznego i Ministra Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa, za wybitną twórczość w dziedzinie architektury za Projekt Zespołu Siedmiu Rezydencji „Gdynia Hill" w 1993 r. Wśród wspomnianych 12 konkursów międzynarodowej Unii Architektury, jako juror do najważniejszych zalicza konkursy na Koncepcję Zabudowy Centrum Bukaresztu (1996), na koncepcję rozbudowy Muzeum Prado w Madrycie (1997), na koncepcję Planu Nowego Miasta Clarendon na Jamajce (2001–2002).

Z natury rzeczy mniej rozmawialiśmy o publikacjach autorskich, jak np. o „Ewolucji struktury przestrzennej zespołów mieszkaniowych" – wydanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (1972), „Polska przestrzeń – krytyczna ocena stanu" (1999) o stanowisku Krzysztofa Chwaliboga w tej materii wspominałem wcześniej, „Tożsamość przestrzeni jako wartość" (2002) w wydawnictwie pokongresowym Międzynarodowej Unii Architektów (Berlin 2002). Jest wśród nich udział K. Chwaliboga w pracy zbiorowej „Nowe kościoły w Polsce" (1991), „Architektura millenium" (Krakow 2002), a także liczne artykuły fachowe w miesięczniku „Architektura" czy „Domy jednorodzinne". Bo przecież dla architekta ważniejsze od tego, co napisze czy powie nawet na wielkim zgromadzeniu zawodowców, najważniejsze jest to, co powstanie, co będzie zbudowane wedle jego koncepcji, co przetrwa stulecia.

Na łamach „Almanachu" pojawiają się postacie z łąckim rodowodem, którym życie upłynęło i czasem płynie do dziś gdzieś na antypodach, w Australii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, na wyspach Samoa w Polinezji. O wiele więcej na tych łamach jest tutejszych, miejscowych, zza miedzy, z drugiej wsi, chłopów, partyzantów i żołnierzy, spółdzielców i samorządowców, rzeźbiarzy, muzyków i poetów ludowych. Ale spośród nich wywodzą się tez profesorowie zacnych uczelni, pisarze, muzycy, lekarze, oficerowie, posłowie do sejmów (jeszcze galicyjskiego, Drugiej i Trzeciej Rzeczpospolitej). I dlatego na kartach „Almanachu" nie zabrakło jak najbardziej łąckiej, rozgałęzionej rodziny Chwalibogów, gdzie nie brakowało skromnych i wybitnych osób. Moim zdaniem wybitny był doktor i wójt Henryk, jego żona Józefa – nauczycielka, ich dzieci, Zbigniew, który postawił łącki Urząd Gminy, córka Maryna, założycielka „Górali Łąckich", Jan doktór weterynarii, Henryk inżynier mechanik, budowniczy zakładów azotowych Police.

Syna Zbigniewa – Krzysztofa trzeba bez dyskusji już teraz wymienić wśród nieprzeciętnych, którzy pomnożyli dorobek tej rodziny, a także jako drugiego w niej architekta (trzecim jest wspomniany poprzednio Andrzej syn Henryka, a czwartym Samuel syn Krzysztofa). Jak mawiają w łąckiej stronie „daleko a i wysoko posed". I jest tak, jak pisał o sobie w „AŁ"nr 6/2007: bywał nad Dunajcem, ale znad Dunajca poszedł w szeroki świat, jak inni jego krewni. Zdarzyło się i tak, że Krzysztof Chwalibóg otrzymał w 1999 r. godność Honorowego Profesora Uniwersytetu w Xian w Chinach. Ale to już całkiem inna historia…

Warszawa, grudzień 2008 r.

Zdjęcia wybranych realizacji i projektów autorstwa Krzysztofa Chwaliboga

Projekt budynku mieszkalnego „Almayer" – Bielany, Warszawa

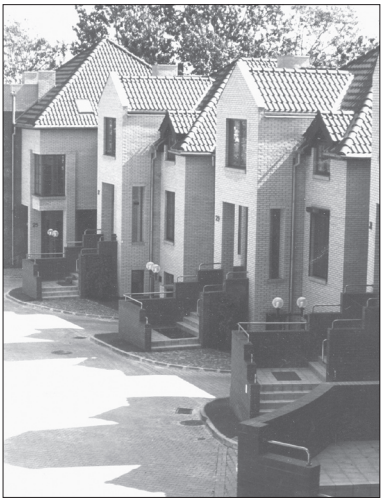

Zespół 7 rezydencji Gdynia Hill w Gdyni

Hotel Eris w Krynicy

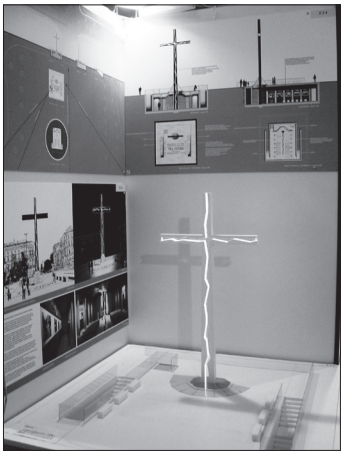

Projekt konkursowy krzyża na placu Piłsudzkiego w Warszawie

Kościół św. Ducha w Legionowie koło Warszawy

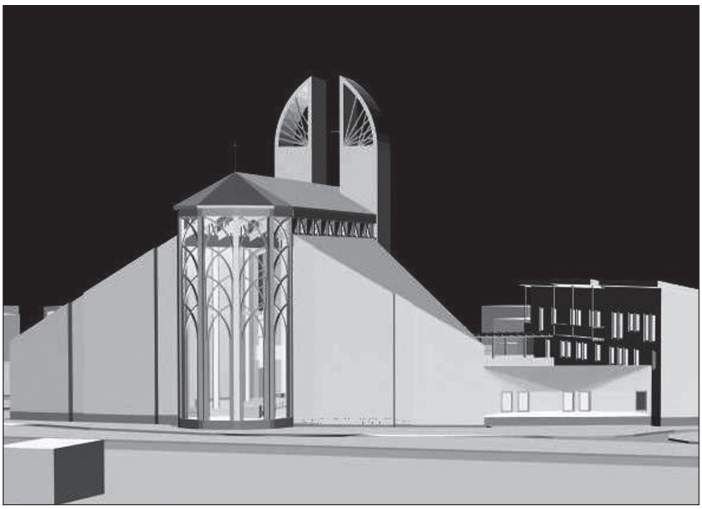

Projekt konkursowy kościoła w Białymstoku

Osiedle Akacjowe w Warszawie

Piękno naszej ziemi – Stara stodoła w Białym Potoku k/Maszkowic – pięknie wkomponowana w krajobraz fot. Andrzej Urbaniec

Andrzej Urbaniec

Z domowego archiwum

Obraz, który, pokazuję w tym numerze Almanachu był namalowany przez mgr. inż. Jana Królickiego w latach 60–70-tych ub. w. na podstawie fotografii wykonanej krótko przed pierwszą wojną światową, lub zaraz po niej, a przedstawiającego gości weselnych Jana Plechty, zwanego profesorem, z Niemieckiej Wsi.

Fotografia była czarno-biała, natomiast kolory są pomysłu autora. Niestety nie wiemy jakie były prawdziwe barwy ubiorów ówczesnych obywateli Łącka. W centralnej części obrazu, kobieta w granatowej spódnicy i mężczyzna w długim surducie, to prawdopodobnie państwo młodzi.

Na temat strojów ludowych z okolic Łącka możemy co nieco dowiedzieć się z nieocenionego dziełka[1] Antoniego Kurzei, który tak je opisuje:

„Strój ten dawny, składał się u mężczyzny w lecie z kapelusza pilśniowego, czarnego, ozdobionego szerokim paskiem, nabitym żółtymi guziczkami. zwanymi ”cętki”,

1 „Z rodzinnych stron Mikołaja Zyndrama …”

za które strojniś wpychał kogucie pióro, kwiat georginii(…)starsi, poważniejsi gospodarze nosili kapelusze jasne, siwe, opasane sznurkiem z kutasikami, coś na kształt kardynalskich.

Na koszulę zapiętą pod szyją spinką metalową, lub związaną wstęgą czerwoną i puszczoną po wierzchu spodni, ubierali starsi szeroki pas skórzany, sięgający pod pachy, z kaletką na fajkę, tytoń i krzesiwo, nabijany mosiężnymi guziczkami, kółkami i sprzączkami, prócz tego, koszulę zapinano na piersiach dużą, tombakową spinką kształtu rombu, nieraz przecudnie rzeźbioną. U spinki tej, palacze wieszali na łańcuszku, również misternie wyrobioną, przetyczkę do fajki. Na to wdziewano jeszcze kamizelkę granatową, wyszywaną czerwoną wełną i mosiężnymi guziczkami.(…) Bogaci ubierali buty, biedacy krypce.

Wierzchni strój stanowiła gurmana biała z samodziału, u starszych wyszywana na sposób krakowski, ozdobiona cynowymi guziczkami i żółtymi koluszkami. Strój zimowy uzupełniał kożuch biały, nie kryty, kroju czamary, u strojnisiów farbowany na czerwono; spodnie z białego sukna, kroju węgierskiego, wyszywane jak sukmana, na głowie czapka, rodzaj kuczmy podolskiej, ale niższa, z czarnego baranka.

Strój kobiety był także swojski, oryginalny. Koszula biała bez żadnych ozdób, na szyi u bogatych korale lub bursztyny, spodnica ciemna, perkalowa, a na niedzielę i święto, krakowski gorset, ozdobnie wyszywany. Kobiety ubierały na głowę czepiec z białej chustki, której koniec (trok) spadał daleko na plecy. (…) Strój zimowy dla mężatek, to biały, nie pokryty, krótki do pasa serdak z gęstą falbaną u dołu. Na serdak brała kobieta „rańtuch" t.j. długie płótno z falbaną po jednym boku.

Młode dziewczęta zamiast serdaczków nosiły rodzaj dzisiejszej, długiej zarzutki, z granatowego sukna, wyszywanej na czerwono i zarzutka ta zwała się sukienka. Tak mężatki jak i dziewczęta nosiły czarne buty z miękkimi cholewkami, o wysokich napiętkach.

Dzisiaj wszystko to uległo wielkiej zmianie, zaginęły kapelusze z cętkami, szerokie góralskie pasy, gurmany z guzikami. (…) Miejsce dawnego stroju, tak pięknego i trwałego, zajmuje tańsza może, lecz o wiele brzydsza, zwłaszcza u kobiet, tandeta miejska."

Jak widać na obrazie, potwierdza się wszystko to, co napisał Antoni Kurzeja. Już na początku XX wieku z dawnego stroju pozostały u mężczyzn tylko buty i barankowe czapki, podobne do podolskiej kuczmy. (Ten fragment opisu stroju – porównanie czapki do podolskiej kuczmy, jeszcze raz potwierdza autorstwo książki Antoniego Kurzei, który osobiście miał okazję oglądać na Podolu takie kuczmy!!!).

A jednak ciekawe skąd wzięły się w Łącku barankowe czapy, tak charakterystyczne dla Rusinów. Może to wpływ nieodległej Łemkowszczyzny?

A może powstały niezależnie od obcych wpływów. Były ciepłe, łatwe do uszycia, a barania skóra była pod ręką…

---

2 Redakcja Almanachu Łąckiego zwraca się do czytelników z prośbą o poszukanie w swoich „domowych archiwach" ciekawych dokumentów, pamiątkowych przedmiotów lub fotografii i opisanie czego dotyczą lub z jaką historią są związane. Poszerzymy w ten sposób dział „Z domowego archiwum"

Maria Jarek z d. Wnęk 1905 – 1987 (ze zbiorów Marii Zbozień z d. Jarek z Maszkowic)

Józef Jarek z Maszkowic 1885 – 1953 (ze zbiorów Marii Zbozień z d. Jarek z Maszkowic)

Od lewej: Anastazja Zbozień z. d Wnęk, Kazimierz Kuziel, Joanna Skut – Maszkowice 1950 rok (ze zbiorów Marii Zbozień z d. Jarek z Maszkowic)

Od lewej: Mieczysław Zbozień, Maria Zbozień z d. Jarek, poniżej ich dzieci: Stanisław, Jarek, Maria Jarek z d. Wnęk, Józef Jarek, Helena Zbożeń z d. Jarek, Józef Zbożeń – Maszkowice 1974 rok (ze zbiorów Marii Zbozień z Maszkowic)

Łącko 1931 rok. Stoją od lewej: Józef Plechta, Władysława Plechta, Jan Plechta. Siedzą od lewej: Stanisław Wnęk, Maria Wnęk z d. Plechta, Barbara Plechta, Rozalia Klag z d. Plechta, Wojciech Klag. Poniżej Wiktor Plechta i Filip Plechta (ze zbiorów Jadwigi Kowalczyk z d. Klag.)

Stanisława Adamczyk (1936 – 1996) długoletnia nauczycielka w łąckiej szkole (ze zbiorów Jana Adamczyka)

Weronika z. d Maciuszek i Józef Faronowie (ze zbiorów Mieczysława Farona.)

Aniela Lipień (ze zbiorów Franciszka Lipienia)

Kapliczka w Czerńcu lata 60. (ze zbiorów Zofii Faron)

Rozalia z d. Sopata i Mieczysław Krzywdzińscy (ze zbiorów Marii i Krzysztofa Krzywdzińskich)

Od lewej: Henryk Sopata, Stanisław Sopata, Maria Sopata, Franciszek Sopata, Jan Sopata z Czerńca (Ze zbiorów Teresy Sopata)

Młodzież z Czerńca, lata 30. (ze zbiorów Teresy Sopata)

Siedzą: Józefa Słowik z d. Ząbek i Jan Słowik z dziećmi od lewej: Władysława, Maria, Kazimiera, Józef – ok. 1944 roku (ze zbiorów Władysławy Słowik)

Siedzą: Katarzyna i Michał Ćwikowscy z Czerńca z rodziną (ze zbiorów Krystyny i Tadeusza Gurgulów)

Jadwiga Bogucka z d. Sopata 1913 – 1989 (ze zbiorów Marii i Krzysztofa Krzywdzińskich)

Od lewej: Maria Liblowa, Hipolit Libel, Joanna Kozowa, Stanisław i Zofia Jakóbowie i ich córki Krystyna i Maria. Lata 30. (ze zbiorów Marii Szczodrowskiej)

Magdalena Puławska

Szabasowy wieczór

Chaimowi, Jakubowi, Blinie, Amalii,
Róży, Fejdze, Judzie, Natanielowi

Latem Szabas zaczyna się późno, więc jest czas, aby wszystko przygotować. Latem nawet szabesgoj nie musi się tak uwijać, bo po ósmej wieczorem wszystkie sklepy są już pozamykane. Mamełe zdąży iść po kurę do szoheta i ugotować z niej tłusty rosół, upiec pulchną chałę, zrobić rybę w galarecie (że palce lizać!), przygotować czulent. Dobrze, że dzieci są już duże, Chana i Sara pomagają mamełe w kuchni, a Szmuel czyści ojcu odświętny chałat i towarzyszy mu przy modlitwach w bóżnicy.
Słońce zachodzi leniwie, letni wieczór kusi obietnicą, powietrze pachnie ziołami i skoszoną trawą. Słychać jeszcze wieczorne czerpanie wody ze studni, gdzieś ujada pies. Pewnie nie może zerwać się z łańcucha, a spacerujący po płocie kot doprowadza go do wielkiej rozpaczy. Dzieci gojów biegają po rynku, bawiąc się, krzycząc, i raz po raz zaglądają przez rozwarte na oścież okna do żydowskich domów. Widok mamełe, odmawiającej modlitwę nad kielichem rodzynkowego wina, błogosławiącej jedzenie i nadchodzący Szabas, jest dla nich tajemniczy, pociąga ich swoją magią niedostępności. Wiedzą tylko tyle, że jutro wieczorem będą mogły przyjść do sąsiadów na słodki cymes.
Ten Szabas u Nebelów jest wyjątkowy. Za tydzień ma odbyć się ślub Szmuela z córką krawca Mindle, Leą. Ten ślub to wielka radość dla rodziny, wychowali bowiem syna na pobożnego i uczonego Żyda, więc chciał go za męża dla swojej pięknej córki bogaty krawiec. Tatełe zatem patrząc na syna, którego jasna twarz wygląda w świetle świecy na jeszcze bardzie uduchowioną, uśmiecha się, kiwa głową, pomrukuje pod nosem słowa dziękczynne skierowane do Boga. Po chwili jego błyszczące oczy, które zaszły mgłą wzruszenia, spotykają się z oczami Chany, najstarszej córki. Ona też ma piękną, jasną twarz, którą otacza burza kręconych, brązowych włosów. Tatełe wie, że córka jest dobra, skromna, pracowita i mądra swoją kobiecą mądrością. Ale to wszystko zamiast uszczęśliwiać ojca, martwi go. Chana kończy niedługo osiemnaście lat, a wciąż nie znalazł się dla niej odpowiedni narzeczony. Dla tych, którzy jej się podobają, jest za biedna, natomiast dla tych, którzy byliby gotowi ożenić się z nią, ona nie ma serca. A rodzice chcieliby przecież, żeby córki kochały chociaż trochę swych mężów. Da się przecież połączyć miłość z rozsądkiem… I trzeba to zrobić jak najszybciej, zanim piękni żołnierze znów zatrzymają się w karczmie i zanim, w przypływie jakiegoś miłosnego uniesienia, szalonego zamroczenia, Chana ucieknie z jednym z nich. Nie, to się nie może zdarzyć, to byłoby wielkie nieszczęście!
Mimo zatroskanych oczu, tatełe i dla córki znajduje uśmiech. Już bowiem postanowił – w następną niedzielę po ślubie Szmuela pojedzie do Sącza, do cadyka po pomoc, po modlitwę, po radę, co dalej z córką.

Tymczasem mamełe, łagodna, cierpliwa i cicha, która dziś, zamiast chustki, na głowie ma piękną perukę, lśniącą, kasztanową, dzieli chałę, kroi rybę. Z kuchni, wraz z powiewem czerwcowego powietrza, dolatuje wspaniały zapach czulentu. Wieczorny gwar za oknem cichnie. Kolacja szabasowa dobiega końca, teraz czas na odpoczynek. Tatełe będzie czytał gazetę, mamełe – ilustrowane midrasze, syn pójdzie do bóżnicy. Córki położą się w swych łóżkach i będą snuć romantyczne marzenia… Jutro obudzi ich słoneczny świąteczny poranek.

***

Na internetowej stronie Instytutu Yad Vashem (przyznaje ordery Sprawiedliwym Wśród Narodów Świata) znalazłam ponad setkę nazwisk łąckich Żydów, którzy zginęli w Bełżcu, Treblince, Oświęcimiu. Nie pozostał po nich niemal żaden ślad. Zastanawiam się więc: czy to naprawdę możliwe, aby po człowieku nie zostało nawet wspomnienie? Bardzo chciałabym mieć jakiekolwiek wspomnienia o żydowskich sąsiadach, a jeszcze bardziej chciałabym ich po prostu mieć, ale biegu historii nie da się zawrócić. Ilu mieszkańców Łącka pamięta jeszcze Żydów tutaj mieszkających? Może uda nam się wspólnie przywrócić ich naszej wspólnej zbiorowej pamięci? Przypomnieć o ich codziennym i odświętnym życiu, a także naszym długim współistnieniu na łąckiej ziemi.

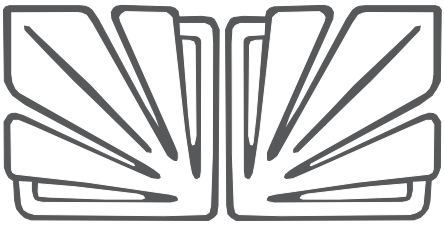

Jarosław Czaja

Widok z okna

Liczy się nie ilość materii, jaka przesuwa się przed oczami obserwatora, lecz intensywność obserwacji.

Ezra Pound

Z okien mojego domu widać góry. Z kuchni, co rano przy śniadaniu obserwuję sine grzbiety Pasma Radziejowej i Jaworzyny Krynickiej. Z pracowni widać Skiełek, Pępówkę i Łyżkę oraz fragment Okowańca, z pokoju Koziarz nad Obidzą i gorczański Lubań. Kiedyś było także widać Tatry, ale budowlane zapędy sąsiadów pozbawiły mnie tej przyjemności.

Znam taki dom, całkiem niedaleko, a w nim okno, przez które widać pięć pasm górskich: Beskid Sądecki, Wyspowy, Gorce, Pieniny i Tatry, a na dokładkę jeszcze biały kościół w Łącku. Zawsze, ilekroć idę z Jastrzębia, kamienistą drogą przez Zakicznię na Klończyk – chociaż taka nazwa, funkcjonuje wyłącznie na mapach, miejscowi mówią „Markówka" – muszę do tego domu wstąpić, choć na chwilę. A po drodze, czuję się trochę tak, jak powracający tuż po wojnie na Kopieniec pod Lubogoszczą, główny bohater „Portków Odyssa" J.J.Szczepańskiego. Cel wędrówki podobny: „wejście w góry" i drewniany dom. Tyle tylko, że tutaj, pod Klończykiem od lat jestem chyba jedynym, oprócz wiatru, ptaków i dzikich zwierząt, gościem. Jerzy Stempowski napisał, że nie ma nic samotniejszego od opuszczonego ogrodu. Ja uważam, że nie ma nic samotniejszego od opuszczonego domu, a właściwie nic samotniejszego od okna, przez które nikt nie podziwia pięknych krajobrazów.

W zasadzie z drogi tego domu nie widać. Ukrywa się nieco poniżej, na ogromnej łące pod bukowym lasem, gdzie często można spotkać sarny. Podobnych, opuszczonych domów – starych, omszałych chat budowanych z płazów na zrąb, półkurnych nawet czasem – znam całe mnóstwo. Stoją, a raczej usiłują stać, zazwyczaj na sporej wysokości, otoczone lasem i zdziczałym sadem. Fascynują mnie do tego stopnia, że często zbaczam z głównych traktów i szlaków, tylko po to, aby zobaczyć, czy jeszcze są, czy istnieją, czy przetrwały kolejną zimę. Domom jest zresztą nieco łatwiej niż ich drewnianym braciom i kuzynom: pasterskim szałasom i kolibom. Chodząc po Gorcach, obserwuję jak z roku na rok jest ich coraz mniej, a z niektórych bacówek – choćby pod Kudłoniem na Jadamówce, Gorcu Troszackim, albo Przysłopie Dolnym nad Skałką – pozostały już tylko bacówki-widma.

Kiedyś Pagaczewski pisał, że woli Gorce od Tatr, bo są zamieszkane, przynajmniej latem. Podpisuję się pod tym, chociaż śladów tego zamieszkania coraz mniej, jednak lubię także wycieczki w najbliższą mi okolicę, nazywaną Beskidem Wyspowym. Tutaj, jak zawsze na pograniczu kultur – w tym przypadku góralsko-wołoskiej i lachowskiej – spotyka się różne typy zabudowy i, że tak powiem, różne filozofie zamieszkania. Widać to choć-

by na przykładzie drzew rosnących w najbliższym sąsiedztwie domostw, gdzie spotyka się obok ulubionych przez górali jesionów, także lipy. Domy często nie grupują się na wzór wołoski, w ciasne przysiółki zawieszone nad potokiem, ale rozrzucone bywają pojedynczo po najdalszych ustroniach i grzbietach, czasem naprawdę wysoko, w miejscach najmniej spodziewanych, z dala od uczęszczanych dróg. Stąd dzisiaj ich dodatkowa samotność, której muszą się poddać.

Taki drewniany dom to zazwyczaj jedna izba, rzadziej dwie, kuchnia z glinianym piecem, na środku sień i przylegająca do niej stajnia. Mało sprzętów, dużo rozrzuconych po zakurzonych deskach, które kiedyś były podłogą, rozmaitych drobiazgów: papierowych szpargałów, butów, garnków, flaszek itd. Ale są i osobliwości. Pamiętam jeden dom na Zagórowiu w Przyszowej, gdzie na środku izby leżała, w sposób lekko makabryczny, proteza ręki. W innym, znalazłem protezę nogi. W ruinie domu pod Jeżową Wodą, w stercie papierów wysypujących się z szafy, zwróciła moją uwagę dziwna, ciemnoczerwona książeczka. W środku widniały gratulacje od Henryka Jabłońskiego i Rady Państwa dla jubilatów – pewnie niegdysiejszych mieszkańców – obchodzących 50-lecie małżeństwa. Henryk Jabłoński? To ten niski pan, w ogromnych okularach, witający i żegnający Papieża na lotnisku, podczas Pielgrzymki do Ojczyzny w 1983 roku...

Pozostałości kultury materialnej w tych domach niewiele, bo też były to często najbiedniejsze gospodarstwa we wsi. A jak z kulturą duchową? Otóż, raz zdarzył się pewien wypadek, który pozwolił mi na nowo uwierzyć w moc i sens literatury. Przy jednym z opuszczonych domostw, a konkretnie w przylegającym do byłej stajni, drewnianym – nazywają to gdzie indziej water-closed – pochylonym przybytku bez drzwi, zauważyłem zwiniętą i wetkniętą w szparę, mocno pożółkłą książkę. Okazało się, że to „Góry zakwitną sadami" i – nic z tych rzeczy – brakowało tylko okładki!

Takie domy to smutny widok. Może dlatego, że umierają o wiele dłużej niż człowiek, czasami dziesiątki lat. W końcu jedyny ślad, jaki po nich pozostaje, to resztki kamiennych podmurówek i piwnic. Coś w rodzaju nagrobka. Znam kilka takich miejsc w rejonie Modyni, gdzie rośnie gęsty las, ale wystarczy spojrzeć uważniej pod nogi, aby wiedzieć, że kiedyś w tym miejscu mieszkali ludzie.

Często widok oglądany przez okno w opuszczonym domu, działa na mnie dużo bardziej, niż niejeden krajobraz roztaczający się ze szczytu pobliskiej góry. I nie chodzi tu tylko o czynnik ludzki – o to, że ten widok jest bardziej „zhumanizowany", bo wiąże się z ciekawością – co oglądali na co dzień, niegdysiejsi mieszkańcy tego domu-widma. Półmrok panujący w niskim, surowym pomieszczeniu, tworzy zazwyczaj dla jasnego – bo bez szyb i firanek – okna, ostry kontrast, ale i niecodzienną oprawę, coś na kształt tubusa i w efekcie czujemy się tak, jak byśmy byli w środku ogromnej machiny camera obscura. Oto doświadczanie w pierwotnej postaci, samej istoty fotografii, jakże bliskie komuś, kto przykłada oko do wizjera aparatu i patrzy na wszystko przez obiektyw lustrzanki.

Widzę tutaj jeszcze jedną analogię. Tak jak stary, opuszczony dom, patrzy pustymi oknami, z wysokości, na swoje zupełne przeciwieństwo – rosnące w tempie zawrotnym w dolinach górskich, asfaltowe i betonowe dżungle, tak też fotografia, taka, jaką znaliśmy od niespełna dwustu lat – patrzy obecnie, już chyba nawet z zaświatów – na swoje

cyfrowe alter ego. Nawet nie chodzi o to, że robienie zdjęć, jeszcze nigdy nie było tak łatwe, tanie i egalitarne, a przy tym tak mało znaczące, ale raczej o fakt, że postęp w technice idzie w parze z otwartością granic i wielką potrzebą egzotyki, co razem daje zalew, a nawet potop kolorowych obrazków z najdalszych zakątków naszego globu. W tym przesycie gubi się prawdziwa istota fotografii, sformułowana niegdyś przez Margaret Bourke-White: „Fotograf powinien być nieustannie zdziwiony światem, zauważać małe rzeczy, obok których inni przechodzą obojętnie". Tymczasem dzisiaj zauważa się, takie mam nieodmienne wrażenie, śledząc kolorowe magazyny i fachowe periodyki, wyłącznie rzeczy duże, obok których nikt, ale to dosłownie nikt, nie przejdzie obojętnie.
Już dawno zauważono, że okno przypomina obraz. Ale też od wieków ludziom nie wystarczał widok przez własne okno. Szukali, wędrowali i uważaliby się pewnie za bardzo pokrzywdzonych, gdyby ich kontakt ze światem ograniczał się wyłącznie do prostokątnego otworu w ścianie. W sztuce ograniczenia przynoszą jednak zaskakujące i niespodziewane efekty. Myślę tutaj o moich szczególnie ulubionych, starych i czarno-białych, ale od dwudziestu już lat oglądanych przeze mnie z niesłabnącym podziwem fotografii wielkiego Andre Kertesza, których tematem są po prostu widoki z okna.
Kiedy wybuchła II wojna światowa, Kertesz mieszkał od dziesięciu lat w Nowym Jorku. Nagle, jako Węgier, znalazł się w sytuacji obywatela wrogiego państwa. Zdjęto mu odciski palców i obłożono zakazem fotografowania poza zamkniętymi pomieszczeniami. Trochę tak, jakby odebrać Picassowi farby i pędzle. To przecież właśnie Kertesz, odkąd wykonał pierwsze zdjęcia w 1912 roku, miał największy wpływ na powstanie fotografii reportażowej.
Być może Andre nigdy by nie wyszedł poza prywatne zdjęcia dla własnej przyjemności, gdyby nie... I wojna światowa. Fotograf zgłosił się na ochotnika do armii austro-węgierskiej i brał udział, w stopniu chorążego – nie rozstając się jednak z aparatem Voigtlander Alpin – w walkach na froncie w Galicji na przełomie 1914/15 roku. Został nawet ranny. Niewykluczone więc, że zachowane do dzisiaj i często reprodukowane w albumach fotografie: „Forsowny marsz", czy „W okopach" – obie z 1915 roku, dokumentują wydarzenia wojenne, które miały miejsce w nieodległych od Limanowej okolicach.
Po wojnie Kertesz mieszkał w Budapeszcie, potem Paryżu, gdzie zdobył niemałą sławę, aż wreszcie trafił do Ameryki. Tutaj, niestety już mu się nie wiodło tak dobrze. Chciał nawet wrócić do Paryża, ale nie miał pieniędzy na podróż. Próbował sprzedawać swoje zdjęcia gdziekolwiek i za jakąkolwiek cenę. Jednak odrzucały je magazyny ilustrowane, agencje, pisma codzienne i galerie. Wydawało się, że to największa klęska w jego życiu. Ale wtedy właśnie, Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny i Kertesz nie mógł już nawet wyjść z aparatem fotograficznym na ulicę...
W takich właśnie, przymusowych okolicznościach zrodziła się seria fotograficznych widoków z okna mieszkania na 12 piętrze domu, który przylegał do małego parku. Wojna się skończyła, a Kertesz przez następnych trzydzieści lat, już jako obywatel amerykański, nadal z maniakalnym uporem wracał do tego tematu, jakby nie mógł się od niego oderwać. Z kolei ja, wciąż do tych właśnie, a nie innych, bardziej znanych i uznanych jego zdjęć – z wcześniejszego, węgierskiego i paryskiego okresu – powracam najchętniej. Nie

da się ich właściwie opisać, bo nic ciekawego – miarą współczesną – w nich się nie dzieje. Ot, przykładowo: zaśnieżone dachy, czarne kominy i w tle idący białą ulicą człowiek z parasolem, obok stadko gołębi. Albo znowu zimowy obrazek – widziany z góry pusty skwer, na śniegu tysiące śladów butów i kół samochodowych, a w lewym górnym rogu, maleńka postać huśta się na huśtawce. I moje ulubione zdjęcie z 1972 roku: wycięta z kartonu, lub blachy ciemna sylweta koguta na tle zroszonej przez deszcz szyby, za nią sylweta kościoła, a na dalszym planie zamglone wieżowce Nowego Jorku. Widziałem mnóstwo fotografii tego miasta, ale nikt do tej pory nie potrafił ukazać w podobny do Kertesza, zaskakująco poetycki sposób, jego prawdziwej, imigracyjnej natury i tęsknoty za starą, prowincjonalną Europą małych miasteczek i wsi. A przecież, równocześnie jest to najzwyklejszy widok z okna.

Te fotografie, to nic innego, jak uchwycone na kliszy „momenty uprzywilejowane" – że posłużę się określeniem ukutym przez Konstantego Jeleńskiego – zdjęcia, w których uchylają się drzwi percepcji. Kertesz idzie w nich z aparatem w głąb siebie, chociaż obiektyw wystawia za okno. To tajemniczy i nieodgadniony proces, w którym pozorna miałkość materii wyjściowej i jej powszedniość, ulega przetworzeniu i nie ma wobec gotowego dzieła, żadnego znaczenia. Wręcz odwrotnie! Im rzecz wyjściowa bliższa codziennej, ludzkiej egzystencji, tym bardziej dzieło finalne ociera się o absolut. Podobne cuda znajdziemy u geniuszy z innych dziedzin, żeby przywołać wspomnianego już Picassa, który pokrywał farbami kamyki i pudełka po zapałkach, robił rzeźby z kierownicy od roweru i kosza wiklinowego, zaś o słynnym jazzowym kwintecie Milesa Davisa z lat 50-tych pisano, że mógłby rozswingować wyliczankę dla dzieci.

Andre Kertesz – czytający między drzewami – 1968

Patrzę teraz przez okno swojej pracowni. Krajobraz wiosenny, na drzewach widać pąki kwiatów, pod Skiełkiem ludzie sadzą ziemniaki. Przez chmury co chwila przedziera się słońce. Przedwczoraj byłem w Wieliczce i Krakowie, wczoraj oglądałem krokusy w Dolinie Chochołowskiej. Zgadnijcie Państwo, który z tych motywów wydaje mi się, tak naprawdę, z ręką na sercu, najbardziej ciekawy i warty uwiecznienia? Dlaczego? Ano właśnie...

Maria Golanka

Szczęścian

Cisza i samotność w muzealnej sali pozwoliły mi na całkowitą kontemplację nad postacią kobiety z obrazu słynnego malarza pod tytułem:„Modelka". Przychodziłem tutaj prawie codziennie wieczorem i siedząc aż do momentu zamknięcia, na okrągłej kanapie, popatrywałem kolejno na szczegóły z obrazu. Widziałem kilka razy ową piękną Modelkę rozpartą na kremowej kanapie kabrioletu malarza. Siedziała zawsze sztywno i wyniośle jak na obrazie. Była nadzwyczaj piękną kobietą z nieodgadnionym, trochę innym, jakby nieobecnym wzrokiem. Kiedy przejeżdżając przez dzielnicę hazardu, zobaczyłem ją, otwierającą dużym kluczem tylne drzwi do salonu gier, zapragnąłem poznać to miejsce. Prześledziłem kilka razy budynek kasyna. Zapoznałem się z błyszczącym design z chromu i szkła oraz obejrzałem salę główną za niebotycznych rozmiarów drzwiami wejściowymi. Te na tyłach, były dla mnie zagadką do odkrycia, która wciągała moją ciekawość w każdą ich szczelinę, w każdy rozeschnięty sęk w grubych deskach drzwi. Mój wzrok wkręcał się w dziurkę od klucza, rozpychał ją, rozszarpywał jej wąską gardziel zębami ciekawości, by dostrzec choć nikłe światło po drugiej stronie otworu. Wyobrażałem sobie za tymi zakazanymi drzwiami, świętą ciszę pożądania, zawieszoną nad kandelabrami, oświetlającymi obszerną salę z wystrojem podobnym do sali głównej. Wokół tajemnych drzwi, które otwierał pokaźnych rozmiarów klucz, snuł się w mojej wyobraźni cichy szmer rozmów tłumu siedzącego i stojącego wokół stolików do gier i widok kolorowych sztonów, żetonów, czy chipsów, jak się je potocznie nazywa.

Miałem słabość do hazardu. Wciągało mnie nawet cotygodniowe losowanie gier liczbowych. Mój pradziad Kubuś, przegrał w Karczmie „Zazdrosna" nad Dunajcem, cały swój majątek i gdyby nie interwencja babci, jej mały dworek i okoliczne lasy też był gotów postawić na ostatnie rozdanie. Niestety dla mojej babci, mocną kartę dziadka, która pomnożyłaby wielokrotnie ich fortunę gdyby się babcia nie sprzeciwiła jego grze. Tej interwencji nigdy jej dziadek nie wybaczył. Gdy zmusiła go do odejścia od stolika, przegrał i musiał mieszkać w jej majątku. Wysłuchiwać jaki też los ją spotkał i co byłoby, gdyby się tam nie pojawiła w porę. Babcia nie chciała uwierzyć żadnym świadkom gry, przekonywującym ją do wygranej dziadka, bo nie było mocniejszych kart niż te, które miał wtedy w ręce. Musiał się podporządkować jej zakazowi nie wchodzenia do żadnej karczmy, dopóki ona będzie na tym świecie.

Chociaż wydawało mi się, że zastanę tutaj tłum ludzi, brałem również pod uwagę to, że może tu być malutkie, przytulne kasynko dla wtajemniczonych, wytrawnych graczy, oczekujących oprócz gry, jeszcze innych wrażeń. I, że zastanę tutaj co najwyżej jednego, eleganckiego pana, grającego z krupierem w oczko, który zaledwie zerknie na mnie, nic nie zapamiętującym wzrokiem. Będzie to sala o kształcie malutkiej intymnej świątyni, a jej religią będzie żądza wygranej, jak w każdym kasynie gry, gdzie do sali głównej i jego ukrytych w labiryncie korytarzy tajemnych gabinetów

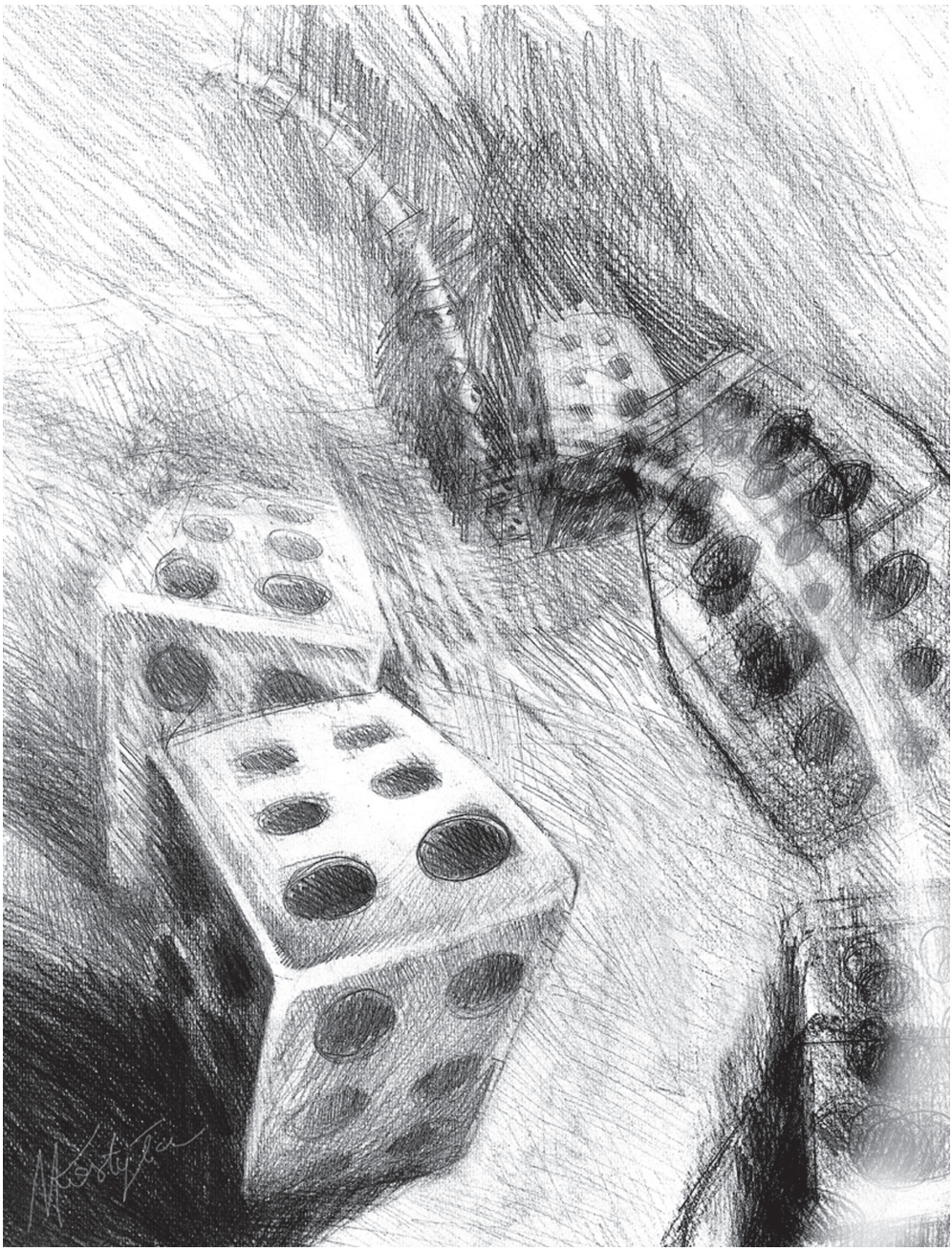

Szczęścian – rys. Mira Kostyła

dla elit, przesączać się będzie ze skarbca w podziemiu pobudzający zapach pieniędzy. Nikt z grających nie widzi wprawdzie zdeponowanych w nim pieniędzy, ale czuje ich moc, ilekroć przekracza ostatni stopień schodów przed wejściem. W odróżnieniu od dzielnicy banków, gdzie wieczorem instynkt ostrzega nas przed niebezpieczeństwem skrywającym się za martwą ciszą, dzielnica hazardu wywiera na nas potężne wrażenie rozpasania, magii wylewających się brzęczącym strumieniem wygranych i plaśnięć wykładanych do przeliczenia, przepasanych dziewiczą banderolą, plików banknotów. Słońce rzucało w tej chwili na świat jakieś widmowe światło w ostatnim rzucie przedwieczoru. Nie odważyłem się podejść blisko pod drzwi, zza których przesączała się tak realistycznie groza, że czułem jej cierpkość na skórze twarzy. Wróciłem jednak pod nie popchnięty nagłą mocą. Dotknąłem delikatnie klamki.

– Nie, niemożliwe by były otwarte? – powiedziałem sobie. – Te drzwi są otwarte tylko wtedy, kiedy oczekuje się gości, lub ma się do nich klucz. Dlaczego mnie uda się wejść.

Jakaś siła położyła moją rękę na olbrzymiej, niklowanej gałce. Drzwi były otwarte! Wszedłem skulony strachem i popatrzyłem w oczy pięknej, starannie ubranej Modelce z portretu w muzeum o trochę dziwnym wzroku. Wyglądało jakby stanęła u drzwi słysząc moje ciche skradanie. W szatni oślepił mnie ostry snop światła i Modelka pojawiła się jako błękitna plama sukienki, czarna plama długich włosów, blada twarz i utkwione we mnie wymalowane na czarno oczy. Nie mogłem od razu zorientować się w topografii sali, do której wszedłem. Dopiero po czasie adaptacji oczu zauważyłem, że modelka wpatruje się we mnie pustym, nieobecnym wzrokiem osoby niewidzącej. Wiedziałem, że za tą pustką są inne jakby wewnętrzne, bezlitośnie przenikające mnie na wskroś oczy. Wyglądała jak zjawa, która przyszła z innego, zimnego, ciemnego świata. Pod wpływem jej niewidzących oczu, ogarnęła mnie senność, jak przy wysokiej gorączce w czasie grypy. Nie odniosłem wrażenia, że wracam do rzeczywistości. Wkoło wpatrywały się we mnie istoty, których istnienia nie byłem pewien, a których obecność potęgowała się dziwnie wokół mnie, zostawiając lodowatą plamę potu na plecach.

Siedziałem przy stoliku pokrytym zielonym suknem, na którego środku stał kubek, a w nim pięć kości do gry. Miejsce, w którym się znajdowałem, przypominało starą, dziewiętnastowieczną karczmę. W takich miejscach przy zielonym suknie grano w kości. Graczy nazywano kosterakami. Przede mną siedziała piękna, ślepa Modelka. Zwinnymi palcami zakryła wierzch kubka i sprytnym ruchem wypuściła na zielone sukno, pięć kości. Toczyły się cicho i zwinnie.

– No, moi posłańcy, do roboty! – mówiła do pięciu kostek miękkim głosem.

Po chwili podała sumę oczek, jakby ją przed momentem zliczyła. Było to trzydzieści. Myślałem, że zwariowałem. Suma zgadzała się. Za nią nikt nie stał, w pobliżu również.

– Skąd wiedziała, jak ułożyły się kości – zapytałem swoje myśli.

Nagle poczułem za plecami czyjaś obecność. Odwróciłem się. Za moimi plecami siedział w fotelu na kółkach dla sparaliżowanych osób, gniewny malarz o posturze olbrzyma. Ogromne oczy wyrażały zadowolenie z mojej obecności, ale były podobne do oczu

węża. Rzuciłem kości. Ślepa Modelka odczytała bezbłędnie sumę i powiodła niewidzącymi oczami za moje plecy. Na plecach cały czas czułem oczy olbrzymiego płaza.
– No pieski, na wybieg! – krzyknęła i pięć kostek ułożyło się w pięć szóstek.
Szyderczy śmiech za plecami zabolał, jakby uderzył w moje ciało. Czułem go najbardziej w odsłoniętym skrawku szyi, nad koszulą.
Pół ślepy barman, z zasłoniętym jednym okiem, przyniósł nam w wysmułych kieliszkach drinki. Podałem mu kartę bankową i poprosiłem o fiszki. Podał mi czytnik w kształcie sześcianu, w którym na górnej stronie było sześć przycisków, brakowało reszty cyfr.
– Są z boku – obrócił sześcian i podał mi.
Ścianka z ekranem wyświetliła przelewaną sumę, na podyktowane przez niego konto. Stos fiszek stanął po mojej lewej ręce.
– Widzę, że gramy na całego – powiedziała ślepa Modelka i znowu popatrzyła na sparaliżowanego malarza. Nie mogłem sobie odmówić odwrócenia się, chociażby po to, by zobaczyć co knują. Jaki jestem głupi, pomyslałem. Przecież ona nie widzi jego miny, nawet gdyby wykrzywiał całą twarz. Nie mogą się porozumiewać w ten sposób. Wszystko tutaj jest jakieś dwuznaczne, jakby z nutą niesamowitości. Wręcz chwilami nierealne – opowiadałem sobie w myślach. Za sparaliżowanym olbrzymem otworzyły się karłowate drzwi i zobaczyłem stojące na wprost rozmamłane łóżko z elegancką satynową pościelą.
– Sądząc po frontowym przepychu, miał być elegancki lokal – pomyślałem.
Ślepa modelka wygrywała kolejny raz. Poprosiłem, by mężczyzna z szatni przyniósł z mojego płaszcza pudełko cygaretek. Gdy podawałem mu za fatygę żeton o nominale stu euro, zobaczyłem, że też jest ślepy. Uniosłem do góry ramiona w geście, że nic z tego nie rozumiem. Sparaliżowany malarz odpowiedział na mój gest:
– Znalazł przebiegle drogę do otchłani przestrzeni i czasu, i poniósł za to pokutę, stracił wzrok.
Szatniarz niepewny obrotu w kierunku szatni, zachwiał się i oparł jednym palcem o ramię ślepej Modelki, która wymierzyła mu siarczysty policzek.
– Ślepi od urodzenia żywią do nowoprzybyłych wściekłą nienawiść. Posiadają za to nadzwyczajny słuch.
Odwróciłem się do malarza, którego po kilku zerknięciach postrzegałem jako osobnika o dwu różnych temperamentach. Poręcze fotela stanowiły granicę ciała: dolnego, statycznego i górnego, nadpobudliwego.
– Czy to dlatego że ma nadzwyczajny słuch potrafi odczytywać po odgłosie układających się na suknie kości sumę rzutu? Chociaż wiem, że to co teraz powiedziałem, to nonsens? Co pan o tym mysli?
– Coś w tym jest, jak i w tym, że potrafi odgadnąć, którą stroną ciała stoi się przed nią.
– To nie jest trudne. Po oddechu – odpowiedziałem.
– Czy to pan namalował portret tej pięknej kobiety, z którą teraz gram w kości?
– Ja go popełniłem i też mam do pana pytanie. Czy to pan odwiedza kilka razy w tygodniu w muzeum mój obraz i patrzy na niego z powagą i rozmarzeniem?
– Tak, gratuluję wierności oddania piękna pani, która teraz siedzi ze mną przy suk-

nie /odpowiedziałem skrótem dziadka, określającym czynność grania, przy stoliku do gier/.
– Mężczyzna potrafi sobie stworzyć obraz kobiety. Cieszę się, że zdaniem pana, potrafiłem dorównać oryginałowi. W głosie malarza zabrzmiało zadowolenie. Ślepa Modelka potroiła stawkę. Ze słowem „bezużyteczna" barman rzucił w moją stronę kartę bankową i postawił przede mną ostatnie tysiąc euro w dziesięciowarstwowym kominku fiszek. Ślepa Modelka zaproponowała ostatni rzut o całą sumę i oczywiście wygrała. Znowu wyszły same szóstki.
– Teraz na koszt firmy napijemy się spokojnie drinka – oznajmiła prowadząc mnie obok wózka sparaliżowanego malarza. Musiałem się odrobinę schylić przechodząc przez karłowate drzwi.
Barman przyniósł w fikuśnych kieliszkach biało czerwony koktajl. Lekko popchnięty przez modelkę palcem w pierś, usiadłem na brzegu łóżka.
– Za przegrane sześć tysięcy euro ładny drink na koszt firmy – powiedziałem z goryczą, patrząc na malarza. Podniósł do góry kieliszek w geście zrozumienia.
Ślepa Modelka umiała spożytkować swoje zwinne palce, by uszczęśliwić mężczyznę. Poczułem nagłe zadrapanie w gałkę oczną i ciepłą strużkę krwi, płynącą w stronę skroni. Możliwe, że stało się to przypadkiem i było tak proste, że chciałoby mi się śmiać, gdyby nie ogarniał mnie lęk.
– Kim ona jest? – krzyknąłem do sparaliżowanego malarza.
– Ona nie umie określić swojej tożsamości, nie odpowiem więc panu na pytanie – kim jest? Ale wypijmy za anioły w niebie. Może zechcą nam oddać trochę swojej wieczności.
Malarz uniósł do góry kieliszek z dwubarwnym drinkiem.
– Czyżby to były moje ostatnie chwile życia?
Ogarnęło mnie przerażenie. Zacząłem rozglądać się po pomieszczeniu, lecz załzawione oczy nie pozwoliły dostatecznie rozpoznać w nie doświetlonym kącie, nieprawdopodobnie długiego pokoju zamkniętych na rygiel drzwi. Nie wiem czy to z bólu, czy pod straszliwym lodowatym spojrzeniem ślepej Modelki, straciłem na moment zdolność oceny rzeczywistości. Nie zemdlałem, lecz trwałem w niebywałym zmęczeniu, które uniemożliwiało mi poruszenie powieką od bolącego, zadrapanego oka. Nic już więcej nie widziałem. Czułem natomiast rozsadzający głowę ból. Pospiesznie odtwarzałem załzawionymi oczami postać z obrazu malarza, ale były to tylko plamy postaci Modelki bez szczegółów, które określały jej obecny kształt. Patrzyłem wystraszony, półślepy, z pytaniem wpisanym w matową postać przede mną i zacząłem krzyczeć:
– Co ty ze mną zrobiłaś? Co się teraz ze mną stanie? Dlaczego stoją przede mną: barman, szatniarz i olbrzym malarz, który przecież jest sparaliżowany?
– Co wy ze mną chcecie zrobić? – krzyczałem dalej, bojąc się ruszyć obolałą głową, opartą niewygodnie o poduszkę.
Poczułem obok strużki krwi, ciepłą dłoń klepiącą mnie lekko po policzku.
– Proszę pana, zamykamy muzeum. Pan zawsze przed zamknięciem zasypia.

Maria GOLANKA – absolwentka z 1966 r. sosnowieckiego Liceum im E. Plater, z wykształcenia technik dentystyczny, pracowała w Szpitalu Kolejowym i Przychodni Kolejowej w Sosnowcu jako protetyk ze specjalizacją – chirurgia szczękowa. Urodziła się 1 stycznia 1949 roku w Sosnowcu, gdzie mieszka do dzisiaj. Jej pasją jest literatura, podróże, „zadeptywanie szlaków górskich" całego Beskidu i Tatr. Okolice Łącka pokochała gdy rodzice jej męża, pedagodzy, organizowali w Łącku dla młodzieży obozy wędrowne. Zawitali tutaj z mężem w 1969 roku i spędzają nad Dunajcem wszystkie wakacje. Stąd wzięło się publikowanie prac na łamach łąckich wydawnictw.

Katarzyna Mrówka

Dzieci

Dzieci, które wydałam na świat były wątłe i pozbawione lat, którymi można by było je obarczyć. Tonęły w sobie, poszukując czegoś, czego same nie były świadome. Krążyły i słaniały się, jak ptaki o zbyt małych skrzydłach, a mi wcale ich nie było żal. Szukały nieustannie cienia, wieczoru, lasu i odchodziły jedynie po to, by powrócić. Chciały się zniszczyć – robiły wszystko, co tylko możliwe, aby się otępić, a ja udawałam, że tego nie rozumiem.

Moje dzieci mają niewiele lat, lecz każde już dorosło i pojęło, co to przestworza. Każde z nich tęskni, jest nieosiągalnie samotne i czasem tylko przychodzi, by przytulić się do mojej piersi.

Choć są moje, czujemy się odrębni. I wszystkie powoli odchodzą ode mnie. A ja, choć wiem, że taka kolej rzeczy, modlę się do chmur, by nie zaciemniały im drogi, modlę się gór i do owych lasów zielonych, które nie dają spokoju, niech dadzą azyl. Moje dzieci niechaj będą bezpieczne, w swych szponach niech przenoszą sól ziemi, albo oby były najmniejsze w swym rodzaju, żeby nie dostrzegły ich oczy sokołów.

Tomasz Kowalik

Książeczka z opowiadankami

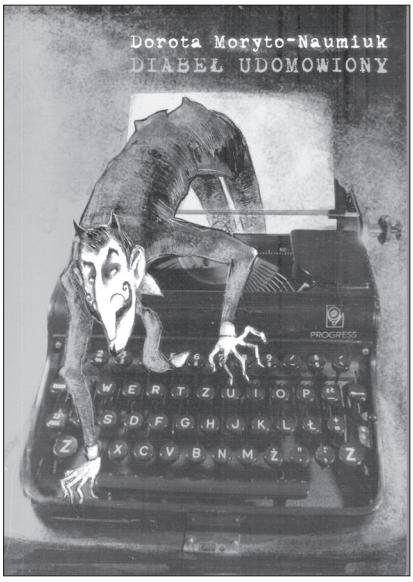

Wyobraźnia jest potrzebna konserwatorowi jak powietrze, gdy zabiera się do ratowania, odnawiania, konserwowania zabytków sztuki sakralnej, starych obrazów i jeszcze starszych dzieł mistrzów rzeźbienia w drewnie. Okazuje się jednak, że fachowiec w tych dziedzinach czasami ma niedosyt po obcowaniu choćby z najbardziej wartościowymi starociami. Nawet z takimi, które zdobią ściany zamku w Malborku czy pałacu w Wilanowie, ale równie dobrze może to być ambona i obrazy w ołtarzach kościoła w Bartoszycach, a nawet kapliczka przydrożna z Prawna, które trudno znaleźć na mapie. Przywracała także blask starym wilanowskim meblom pałacowym.
Ale to nie wszystko, bo zawód konserwatora zabytków może go zaprowadzić nawet na drugi kraniec kuli ziemskiej. I tak było w przypadku Doroty Moryto-Naumiuk*, która jedna ze swoich przygód zawodowych przeżyła w Sudanie, gdzie uratowała cenną ikonę z kościoła w Banganarti i z klasztoru w Starej Dongoli. Jednak i tego było jej mało – zajmowała się projektowaniem scenografii do koncertów muzycznych w warszawskich teatrach. A ponadto brała do ręki pędzle i pastele, by samodzielnie próbować malarstwa. Wystawiała swoje prace do oceny publiczności oraz wykonywała prace na zamówienie.
Mam w ręku już przeczytana niewielką książeczkę „Diabeł udomowiony", z siedmioma utworami prozą, napisanymi w konwencji fantastycznych opowieści upozowanych na „historie z życia wzięte". Zbiorek otwiera tekst „Opowiadanko", który skłonił mnie do użycia tego słowa w tytule opowiastki o tej książeczce.
Tym bardziej, że na jej stronie tytułowej jest informacja o miejscu wydania Nowy Sącz–Warszawa 2007, a na kolejnej stronie, że to „Publikacja wydana przy współpracy z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Łącku". I już prawie jesteśmy za progiem starego domostwa rodziny Morytów, bowiem Helena Moryto – pierwsza przewodnicząca Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej – to jej niedawno zmarła babka, Tadeusz Moryto – twórca znanej orkiestry to jej dziadek, a Stanisław Moryto – rektor Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie – to jej ojciec.
Koligacje świetne, w zawodzie i osiągnięciach zawodowych Doroty Moryto-Naumiuk widoczna rodzinna ciągota do uprawiania wielu dyscyplin sztuki, w tym przypadku

* Dorota Moryto-Naumiuk, *Diabeł udomowiony*, Nowy Sącz–Warszawa 2007; (publikacja wydana we współpracy z GOK w Łącku; 106 stron; brak informacji o nakładzie oraz numeru indeksu Biblioteki Narodowej).

niemal benedyktyńskiej, żmudnej roboty konserwatora. Ale taki fachowiec musi znać się nie tylko na starociach, dawno zapomnianych materiałach, ale także być chemikiem i biologiem, który poradzi sobie z owadami toczącymi drewno, mikroskopijnymi grzybami rozkładającymi każdy naturalny materiał, a nawet technologiem i konstruktorem, jeśli ma do czynienia z zabytkowymi organami kościelnymi. W książeczce z opowiadankami takie wątki pojawiają się z tekście „Z pamiętnika młodego konserwatora".
W kolejnych opowiadankach autorka daje popis możliwości swojej fantazji, bowiem czytanie tej prozy przyprawia o zawrót głowy, tyle w niej osobliwości w myśleniu, w stworzonych postaciach, w opisach miejsc, takich jak w opisie fantastycznego (a może prawdziwego) miejsca z uroczej opowiastki „Diabeł udomowiony", który nawet przyznał się, że jest w autorce zakochany! Nie jestem pewien, czy jednak fantazja autorki nie sięgnęła jeszcze wyżej i dalej, bo opowiadanku „Bieda piszcząca" autorka pokazuje jakieś fantastyczne Muzeum, ale przecież z realnościami, znanymi jej z praktyki konserwatora i muzealnika.
Autorka nie pominęła okazji, aby sięgnąć do tradycji swoich rodzinnych stron, czyli odwiedzić Sądecczyznę, a przede wszystkim Łącko i pobliską Kicznię. W jej rodzinnych stronach bohater opowiadanka „OMC" (o mało co) magister Marcin Drapacz, który po zawodzie miłosnym znalazł się jako autostopowicz dzięki uprzejmości przypadkowego kierowcy właśnie w Kiczni. A na miejscu, jakże by mogło być inaczej, pogłębianie znajomości i cały potok wynurzeń osobistych gościa z Warszawy, następowało w miarę opróżniania butelki z krasilicą. Dla dopełnienia wiarygodności scenerii, stołeczny gość sączy do uśpienia żółtawy trunek, z znaną powszechnie nalepką i złotym sznurkiem na szyjce. Zapewne na wszelki wypadek, tradycyjna gościna z płynnym, ognistym produktem regionalnym, odbywa się w domu sąsiada owego kierowcy, który *…w oficjalnych rejestrach figurował jako bezrobotny bez prawa do zasiłku. (…) W domowym zaciszu zajmował się nielegalnym ubojem oraz masarstwem, a w sezonie śliwkowym tym, co najcenniejsze na Sądecczyźnie…*
Po lekturze opowiadanka mam pewność, że w Łącku czy też we wspomnianej Kiczni, jego realia mieszczą się z niejakim trudem, tylko „na wcisk". Bohater opowiadanka – Marcin, student technologii żywności w znakomitej stołecznej uczelni rolniczej, dopiero w okolicach Łącka (wszak w tych stronach zrodziła się legenda tego napoju) poznał smak krasilicy. Ponadto poznał umiejętność robienia smalcu w parniku, rąbania drewna oraz… rozpuszczania plastikowych osłon kabli, żeby z aluminiowych przewodów mieć surowiec do produkcji medalików. Ale życie, jak to życie, musiało iść swoją drogą, bowiem gdy bohater opowiadanka – Marcin Drapacz wreszcie po kilku latach zrobił w stolicy „magisterkę" zacni profesorowi nie mogli się nadziwić, że *…o unikalnym smaku miejscowej śliwowicy decyduje doża zawartość peptydów, pochodzących z ciał larw zmutowanej muszki owocowej (o czerwonych tutkach i fiołkowych ślepkach), będącej endemicznym gatunkiem charakterystycznym jedynie dla tego regionu.*
Każde z siedmiu opowiadanek, jak wszystko, co dobrze wydrukowane, i niezależnie od tego, jak się nazywa sponsor, patron, i promotor, da się przeczytać, ale ten tomik, choć rozmiarami nie imponuje, wypada polecić czytelnikom odpornym na silne wrażenia, zwane horrorami. Jako taki zasługuje na wpisanie do wykazu nieobowiązkowej lektury albo na długie zimowe wieczory, albo na upalne dni w cieniu łąckich jabłoni.

*Stanisław Turek – Łącki Robinson**

Motorowerem z Adelaide do Darwin

Między jednym wezwaniem a drugim, wolontariusz ma kilka tygodni wolnego czasu, który wykorzystuje według upodobania. W ramach otrzymanych środków, może czas wolny spędzać w dowolnym miejscu, pod jednym wszakże warunkiem, musi mieć stały kontakt z centralą PALMS w Sydney. Przyjechałem z Wysp Pacyfiku do Adelaidy w czerwcu i poczułem się dziwnie smutno i samotnie wśród zatłoczonych ulic miasta. Nie przypuszczałem, że tak szybko można odwyknąć od cywilizowanego życia i świata. Przez kilka dni zastanawiałem się jak pożytecznie i ciekawie przeżyć wolny czas, mając niewielkie środki finansowe. Zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że jest do sprzedania, w całkiem dobrym stanie, i tanio, motorower marki Yamaha V 80. Korzystam więc z nadarzającej się okazji, kupuję ten motorower, i już mam plan jak spędzę wolny czas. Postanowiłem zwiedzić Australię na motorowerze, wybrałem drogę z Adelaidy do Darwin.

Zaopatrzony w niezbędne do tej wycieczki wyposażenie: namiot, śpiwór, butlę na wodę, i kanistry na benzynę oraz trochę żywności, ruszam po trzech dniach przygotowań. Odważnym wszak szczęście sprzyja, więc ruszam przez wzgórza Adelaide do Darwin.

Wcześniej zapoznałem się, teoretycznie, z trasą podróży, ale jak mówi japońskie przysłowie „*dziesięć książek przeczytanych o Paryżu, to nie to samo, co w nim być*".

Jazda motorem to niezwykłe przeżycie, człowiek czuje się jak jeździec na rumaku, któremu wiatr i słońce smagają twarz. Mimo przejechania wielu kilometrów nie odczuwam zmęczenia, to chyba z podniecenia, że jestem wolny jak ptak.

Zatrzymuję się w okolicy Mintaro, by nazbierać i poczęstować się leżącymi pod drzewem jabłkami. Farmer jest przyjaznym człowiekiem i nie dość, że nie ma nic przeciwko mojemu posiłkowi, to jeszcze oferuje pomoc. Na szczęście motorek spisuje się znakomicie, a w razie potrzeby zawsze chętnie pomagają życzliwi kierowcy. Zaopatrzony w dojrzałe, soczyste owoce, udałem się do miejscowości Clare, a następnie do Polish Hill River.

Polish Hill River to dawna osada pierwszych pionierów polskich. Obok kościółka-muzeum, rozbiłem namiot i pierwszą noc spędziłem z duchami żyjących tu kiedyś Polaków.

Nazajutrz wypoczęty, zadowolony, gdyż dzień był słoneczny, szczęśliwy, zauroczony wspaniałymi widokami zielonych, urodzajnych pól okolic Melrose, Wilmington, Horror Pass, kontynuowałem podróż.

Musiałem dotrzeć do Port Augusta, by zaopatrzyć się w benzynę, 5 litrów starczało zwykle na przejechanie około 300 km. Z Port Augusta drogą Stuart Higway do Woomery, do którego drogowskaz pokazywał 205 km, więc miałem wystarczający zapas paliwa na cały ten odcinek. Zmienia się krajobraz, na horyzoncie nieliczne pagórki czerwonego piasku, pobocze drogi żwirowe. Mknę na swoim „rumaku" z szybkością

70 km/godz, gdy nagle, bez żadnych znaków ostrzegawczych, wyprzedza mnie olbrzymi trak; w ostatniej chwili zjechałem na pobocze, gdyż pęd powietrza, jaki wytwarzał, był jak tornado i zmiótł by mnie, gdybym nie zjechał i nie utrzymał równowagi. To było poważne ostrzeżenie, by mieć się na baczności i uważać na innych użytkowników drogi. Żeby być lepiej widocznym, to mimo upału, ubrałem żółtą ochronną kurtkę, w której wyglądałem jak kangur. „Żółtego kangura" kierowcy omijali w przyzwoitej odległości. Na horyzoncie pustynia w zachodzącym słońcu mieniła się i skrzyła złotem i purpurą. Trzeba było znaleźć nocleg, ugasić pragnienie i odpocząć, po dniu pełnym różnych zdarzeń. Dojechałem do Glendambo, wstąpiłem do pubu, by się odświeżyć i napić. W środku było wielu mężczyzn, którzy będąc w trasie, odpoczywali grając w bilard, lotki, popijali piwo i opowiadali różne historie, które się im przytrafiły lub o których słyszeli. Te opowieści trwały długo w nocy, ale musiałem opuścić ludzi drogi, gdyż nazajutrz wyruszałem w dalszą drogę i musiałem wypocząć. Na parkingu obok pubu, rozbiłem namiot.

Wczesnym rankiem zwinąłem swój obóz i ruszyłem w drogę. Wiał pustynny wiatr, do Coober Pedy, kolejnego postoju, miałem tylko 258 km, więc jechałem wolno, przez monotonny krajobraz. Słońce stało wysoko nad głową, gdy dojechałem do *The Opal Capital of the Word* – Coober Pety. Osada wita wielkim złomowiskiem wraków samochodowych, dla wielu, to kres wędrówki. Po załatwieniu noclegu ruszam na zwiedzanie osady. Przy głównej ulicy, Willego Hutchisona, znajdują się warsztaty obróbki opali i muzeum.

W okolicy występowały obficie niegdyś złoża opali, stąd te warsztaty i złomowisko aut tych, którzy tu pozostali. Wieczorem kolorowe neony zapraszają do restauracji i pubów. Zaglądam do kilku i widzę zmęczonych, smutnych, obsypanych pyłem ludzi – to ci których opuściło szczęście. Noc spędzam na piętrowym łóżku w podziemnym tunelu przerobionym na noclegownię. Rano wyruszam na kolejny etap, z Coober Pedy do Kulgery, 412 km, myślałem, że pokonam ten odcinek w ciągu jednego dnia, nic z tego. Tuż za równoleżnikiem Capricorn, naprawiają autostradę. Tumany kurzu na kilkunastokilometrowych objazdach powodują, że postanawiam odpocząć i spędzić noc wśród granitowych skał, na Pustyni Simpson. Rozbijam namiot, mocując go do twardej pustynnej ziemi, przygrzewam puszkę z fasolą na obiadokolację. Niebo rozgwieżdżone milionami gwiazd zdaje się być tuż nad głową, z dala słychać głosy i pomruki pustyni, raptownie zapada cisza, która aż dzwoni w uszach i budzi grozę, doprawdy trudno to opisać słowami. Zasypiam późno w nocy oddając się w opiekę dobrych duchów pustyni i śnię o jeziorach i rzekach.

Rano budzi mnie klakson samochodu, kierowca zobaczył mój pomarańczowy namiot i dał sygnał pobudki. Na ostatnich kroplach benzyny dojeżdżam do Kulgery, tankuję i dalej w drogę, przez Erldundę do Ayers Rock. Rano podziwiam panoramę Gór Olgas, wieczorem przy ognisku z Aborygenami z plemienia Pitjintora, słucham opowieści i legend związanych z płaskowyżem Conor: *dawno, dawno temu jeden z bogów zaprosił na swoje urodziny przyjaciół, a ponieważ Aborygeni mają wielu bogów, więc przyjęcie wydano na ogromnym stole-pustyni. Po uczcie został ten wspaniały „tort" – Płaskowyż Conor.*

Do boskiego stołu przybywają ciągle spóźnieni goście, nawet z dalekiej Polski, to nie legenda, to fakt, i tu odpoczywają w czasie podróży. Gdy dotarłem do Alice Springs, odbywały się właśnie zawody „suchych regat". Wyschnięte koryto rzeki Tood, które normalnie w porze deszczowej zamienia się w groźną rzekę i zalewa okolice, było miejscem spotkań entuzjastów „suchych regat" z całej Australii. Widok jest niecodzienny, zawodnicy w makietach łodzi biegiem „płyną" wyschniętym korytem, a publiczność szaleje dopingując zawodników.
Kolejny etap podróży, 380 km nieprzerwanej jazdy, muszę jednak zatrzymać się, żeby motor ostygł. Schronienie daje cień drzewa. Gdy odpoczywam, zatrzymuje się samochód i sympatyczna para, myśląc, że mam defekt, proponuje pomoc. Gdy dowiedzieli się o mojej podróży, zapraszają do siebie na ranczo, opowiedzieli też swoją historię. John i Sue, tak mieli na imię, długo mieszkali w Sydney, ale nie cieszyło ich życie w mieście.
Pewnego razu przeczytali ogłoszenie o możliwości kupna opuszczonego rancza, zdecydowali się. Kupili ranczo, zamieszkali na nim i od tej pory są szczęśliwi. Byli bardzo serdeczni i gościnni, nie chciałem nadużywać ich gościnności i następnego dnia ruszyłem w dalszą drogę. Przy Flyn Memorial spotkałem grupę młodzieży z Europy podróżującą autokarem, która zaprosiła mnie do swojego stołu i wspólnego zdjęcia, byli zachwyceni nieskażonym pięknem Australii.
Autostradą, która wiedzie przez pustynię jedzie się jak po sznurku, nieco monotonnie, ale w miarę szybko i bezpiecznie. Dojeżdżam do Mataranki, gdzie wśród palm, obok *termal pool*, stoi replika Elsey Station Homestead, którą wykorzystano w filmie *We are of the Never, Never*. Zatrzymałem się w tym miejscu aż trzy dni, wieczorami przygrywał tańczącym na wolnym powietrzu, zespół country, atmosfera tego miejsca pozostała na długo w mej pamięci. Po trzech dniach odpoczynku i miłej zabawy, udałem się moim „rumakiem" z Maternaki do Pine Creek, gdzie zjeżdżam z autostrady na drogę w buszu, by dotrzeć do Misji dla Aborygenów w Daly River. Trochę błądziłem, gdyż na rozwidleniu dróg nie ma żadnego drogowskazu Zapadł już zmrok, robi się nieprzyjemnie, gdyż do świateł reflektorów lecą nie tylko ćmy ale i całe stada papug, które uderzają we mnie. Już miałem szukać miejsca na nocleg w buszu, gdy ujrzałem w oddali światła misji. Spotkałem w tej misji swoich przyjaciół, wolontariuszy Angelę i Petera de Haas, mogłem też poznać ich pracę wśród Aborygenów. W każdą sobotę w misji odbywa się zabawa taneczna, tradycyjne „corroboree" i kolacja z pieczonych jaszczurek. W niedzielę, po nabożeństwie ruszam w dalszą drogę do Darwin, którą pokonuję szybko, gdyż dostałem wiadomość, że czeka na mnie praca.
Z Darwin, już statkiem, popłynąłem przez Timor, Ambon do Irian, gdzie czekały nowe wyzwania.
Istnieje przekonanie, ażeby podróżować trzeba mieć dużo pieniędzy. Tymczasem wszystko zależy od nastawienia i oczekiwań podróżnika. Wydałem na tę podróż tyle samo pieniędzy ile musiałbym wydać, żyjąc w Adelaide, ale wrażenia, których nie sposób opisać, nowe doświadczenia, które zachęciły i przydały się w kolejnych podróżach są bezcenne.

To pierwsze podróżnicze doświadczenie zachęciło mnie do kolejnych wyzwań, i tak odbyłem podróż autokarami „Deluxe" dookoła Australii, w ramach biletu „Coala Pass", kajakiem z Albury do Swan Hill – 980 km rzeką Murray River, oraz podróż dookoła świata z pobytem w Polsce.
Odważnym niebo i bogowie sprzyjają.

*

Kilka osób pytało mnie dlaczego tak nazwaliśmy Stanisława Turka, pytał mnie nawet o to Jan Stępień z Radia Kraków (audycja Pejzaż Regionalny 01.03.2009 roku). Teraz mili czytelnicy, wiecie już dlaczego nazwaliśmy Stanisława Turka Łąckim Robinsonem. To nieodparta chęć poznania świata, innych ludzi, kultur, religii zawiodła Stanisława, z niewielkiego Łącka, aż na Antypody, do Australii. Przez kilka lat, jako wolontariusz żył wśród miejscowej ludności, pomagał, leczył, budował świątynie i poznawał jej zwyczaje. Jak Robinson na swojej bezludnej wyspie uczył się przetrwać, tak Stanisław uczył się Australii i poznawał Wyspy Pacyfiku.

Jadwiga Jastrzębska

Andrzej Urbaniec

Górale z Łącka w świecie

Co ma wspólnego Olimpiada 2010 w Vancouver z Łąckiem?

Wydawało by się, że to bardzo odległe tematy! A tymczasem… w wybudowaniu pięknego obiektu – wielkiej i średniej skoczni narciarskiej w Whistler brał udział nasz rodak z Łącka mgr inż. **Marek Klag**!

Związany z firmą Dynamic Structures Ltd., jako Operations Manager, nadzorował wykonawstwo tego rodzaju kompleksowych obiektów i był odpowiedzialny za wybudowanie i zainstalowanie konstrukcji stalowych skoczni w Whistler.

Firma Dynamic Structure LTD została nagrodzona złotym medalem za terminowe i solidne wywiązanie się z obowiązków, do czego przysłużył się też nasz krajan.

Zdjęcie skoczni, na której skakał Adam Małysz

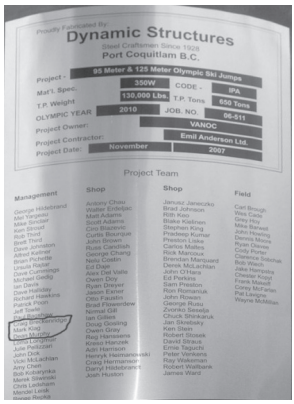

Tablica pamiątkowa umieszczona na skoczni z nazwiskami pracowników firmy Dynamic Structures Ltd.

Tablica ze złotym medalem przyznanym firmie Dynamic Structures Ltd.

Powiększony wycinek z nazwiskiem Marka Klaga

Materiały do powyższej notki otrzymałem z poczty internetowej.

*

Marek Klag urodził się 20 kwietnia 1950 roku w Łącku. Rodzice: Józefa z domu Siekierka i Jan.

Szkołę Podstawową w Łącku ukończył w 1964 roku, wychowawczynią była Alicja Kasprzykiewicz.

Szkołę średnią, Technikum Elektryczne w Nowym Sączu ukończył w 1969 roku. Następnie w latach 1969-1973 studiował w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie na Wydziale Odlewnictwa. Po uzyskaniu dyplomu w 1973 roku wyemigrował do Kanady, przez obóz przejściowy w Holandii, w którym spędził 3 miesiące.

W Kanadzie ożenił się z urodzoną w Zakopanem Ireną, z domu Malinowska, ma dwóch dorosłych synów: Tomasza i Marka.

W Kanadzie nostryfikował dyplom, pracuje w swoim zawodzie. Obecnie mieszka w Vancouver.

Jan Dziedzina

10 lat Powiatu Nowosądeckiego

Rok 2009 był jubileuszowym dla odrodzonych powiatów, które przywrócono „do życia" na mocy jednej z czterech wielkich reform wprowadzonych w życie przez rząd Jerzego Buzka. Reforma samorządowa, bo o niej właśnie mowa, wprowadziła powiaty jako pośredni – między gminą a województwem szczebel podziału terytorialnego. Warto w tym miejscu zaznaczyć, że nie była to nowość ponieważ powiaty mają w polskiej historii sporą tradycję, tak więc było to tylko przywrócenie stanu już wcześniej istniejącego a zmienionego w czasie tzw. PRL-u.

Nie sposób tu nie wspomnieć, że w pierwotnej koncepcji w/w wspomnianej reformy rządu premiera J. Buzka tak powiatów, jak i województw miało być sporo mniej. Z planowanych 6-8 dużych województw „zrobiło" się 16. Podobnie stało się też z powiatami, których pod wpływem nacisku i lobbingu różnych regionów Polski urosło do 379.

Powiat nowosądecki pod względem wielkości jest prawie modelowym przykładem tego jak w pierwotnej wersji powiaty miały wyglądać. Z powierzchnią 1549 km^2 i 200 tyś. ludności jest jednym z największych nie tylko w Małopolsce, ale i w kraju. Zaznaczyć trzeba, że jest to jeden z najciekawszych zakątków tak w skali Małopolski, jak i Polski. Brak – tak w przeszłości jak i obecnie wysoko rozwiniętego przemysłu spowodował, że największym bogactwem pozostaje nadal stosunkowo mało skażona przyroda i piękne krajobrazy. To determinuje również zajęcia ludności. Od lat podstawą utrzymania są: turystyka, rolnictwo i usługi. W tym miejscu nie sposób wspomnieć o jeszcze jednym bogactwie naszego regionu, który jest wskazywany przez przyjezdnych – to właśnie bardzo pracowici, zaradni i przedsiębiorczy ludzie tu mieszkający. Najdobitniejszym tego dowodem jest chyba wygląd domów, obejść itp. Bogactwa w tym zakątku Polski nie było nigdy a wręcz przeciwnie – raczej bywało biednie. To jak zmienił się i wciąż zmienia wygląd tych stron to przede wszystkim zasługa pracy i uporu ludzi nauczonych pracować i radzić sobie nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Kto jest w stanie policzyć niezliczone brygady i grupy majstrów budowlanych – znakomitych fachowców, którzy zarówno w Europie jak i „za wodą" zarabiają pieniądze i tu je przywożą pomnażając majątek całej Sądecczyzny?

Od początku funkcjonowania w działaniach powiatu można wyróżnić pewne cele, które są priorytetami. Są to: poprawa infrastruktury drogowej, rozwój bazy oświatowej i poprawa jakości obsługi mieszkańców. Do największych zadań zrealizowanych na terenie gminy Łącko ze środków budżetowych Powiatu Nowosądeckiego zaliczyć należy: rozbudowę Zespołu Szkół im. Św. Kingi, stabilizację osuwiska w Obidzy (tam przebiega droga), kompleksowy remont drogi Łącko – Cz. Potok, remonty innych mniejszych odcinków dróg, budowę bądź przebudowę 4 mostów w Brzynie i Kiczni.

Warto w tym miejscu dodać, że działania te jak i wiele innych były możliwe dzięki finansowemu wsparciu oraz wzorcowej wręcz współpracy z samorządem gminnym i jego władzami tj. kolejnymi Radami Gminy oraz Wójtem. Przykładem takich wspólnych działań mogą też być zakończone sukcesem przed kilku laty starania o utworzenie w Łącku podstacji karetki pogotowia.

Wiele działań prowadzonych przez Powiat Nowosądecki nie jest spektakularnych, czy też w jakiś szczególny sposób nagłaśnianych medialnie. Są to po prostu sprawy załatwiane dla mieszkańców naszej „małej ojczyzny" jak np. usunięte ponad 100 ton azbestu zawartego w eternitowych pokryciach dachów o które wnioskowali mieszkańcy naszej gminy do specjalnego powiatowego programu, czy też blisko 600 pozwoleń na budowę wydanych dla obiektów z naszego terenu. Są to sprawy, które powiat realizuje bo taka jest jego rola i tak stanowi prawo, bądź też podejmuje się ich w duchu służebnej roli wobec swoich mieszkańców.

Oczywiście skala potrzeb jest wciąż ogromna. Załatwiony jeden problem czy zrealizowane zadanie zastępowane są następnymi. Jest to naturalna kolej rzeczy i tak to należy odbierać a każdy urząd czy to powiatowy czy inny powołany jest właśnie do realizacji zadań na rzecz swoich mieszkańców.

Radni Rady Powiatu Nowosądeckiego kolejnych kadencji z Gminy Łącko:

I kadencja 1998–2002

Golonka Jan, Młynarczyk Franciszek, Turek Bronisław, Dziedzina Jan

II kadencja 2002–2006

Golonka Jan, Zaremba Marian, Dziedzina Jan

III kadencja

Dziedzina Jan

Jan Golonka – Starosta Nowosądecki

Warto jeszcze dodać, że od początku funkcjonowania Powiatu Nowosądeckiego jego starostą pozostaje mieszkaniec naszej gminy – p. Jan Golonka.

Po dziesięciu latach – dokonania i nowe wyzwania Gimnazjum w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Łącku

W roku 1999 została wprowadzona reforma oświaty. Tradycyjna szkoła musiała sprostać wymogom nowej. Należało przyjąć w swoje progi uczniów z ościennych miejscowości, samorząd terytorialny został zobligowany do utworzenia nowej placówki oświatowej.

Prekursorem i realizatorem zmian została ówczesna Dyrektor Szkoły Zofia Młynarczyk. Miała świadomość tego, że w oświacie najważniejsi są ludzie, którzy posiadają osobowość, wiedzę i autorytet. Jako mądry, energiczny, oddany edukacji nauczyciel podjęła się realizacji kolejnego wyzwania. Życzliwa i odważna, skuteczna i przedsiębiorcza dzięki kreatywności i pracowitości wypełniała nowe zadania, mając poczucie integralności kształcenia i wychowania oraz ciągłości dziedzictwa kulturowego i regionalnego.

Przed Panią Zofią Młynarczyk stanęło ogromne wyzwanie – utworzenia gimnazjum, do którego po ukończeniu sześcioletniej szkoły podstawowej uczęszczać mieli uczniowie z: Czarnego Potoku, Czernca, Kiczni, Łącka, Maszkowic, Szczereża, Zabrzeży, Zarzecza.

Pani Dyrektor wraz z nauczycielami i rodzicami pragnęła budować nowoczesną, ambitną, dobrą szkołę, o skutecznych rozwiązaniach edukacyjnych i wychowawczych, inspirowanych historią i tradycją Ziemi Łąckiej. Jej dzieło kontynuują do dzisiaj Barbara Stolarska i Anna Syktus.

Cechą wyróżniającą Gimnazjum w Łącku jest osiąganie wysokich wyników w końcowych egzaminach, dzięki temu uzyskało miano „Szkoły sukcesu".

Absolwenci wyposażeni w odpowiednie umiejętności i wiedzę z powodzeniem kontynuują naukę w wybranych przez siebie szkołach ponadgimnazjalnych, wyższych uczelniach.

Codzienna, systematyczna, a nawet żmudna praca z młodzieżą przynosi efekty, uczniowie odnoszą sukcesy w gminnych, powiatowych, wojewódzkich, ogólnopolskich, a nawet międzynarodowych konkursach. Należy podkreślić, że wielu odniosło sukces w prestiżowych konkursach przedmiotowych, organizowanych pod patronatem Małopolskiego Kuratora Oświaty w Krakowie.

Finalistami zostali:

Marcin Adamczyk – Konkurs Języka Polskiego,
Joanna Maurer – Konkurs Języka Polskiego,
Paweł Cebula – Konkurs Historyczny,
Dariusz Gałysa – Konkurs Historyczny,
Bartosz Zbozień – Konkurs Historyczny,
Grzegorz Słabaszewski – Konkurs Historyczny – dwukrotnie,
Piotr Łazarz – Konkurs Matematyczny,
Wojciech Wojtas – Konkurs Geograficzny,

Tomasz Sopata – Konkurs Geograficzny,
Karolina Żuchowicz – Konkurs Matematyczny, Konkurs z Fizyki i Astronomii,
Magdalena Legutko – Konkurs Matematyczny,
Cecylia Faron – Konkurs Geograficzny,
Anna Twardowska – Konkurs Języka Polskiego,
Jerzy Lasyk – Konkurs z Fizyki i Astronomii,
Dominika Jagieła – Konkurs Języka Polskiego,
Katarzyna Mamala – Konkurs Języka Polskiego,
Dominik Plata – Konkurs Geograficzny,
Agata Sejud – Konkurs Języka Polskiego,
Piotr Wawrzyniak – Konkurs Języka Polskiego,
Anna Wnęk – Konkurs Języka Polskiego,
Marcin Łazarz – Konkurs „Wiem Więcej", Konkurs Matematyczny, Konkurs Chemiczny,
Maciej Ogórek – Konkurs Historyczny,
Małgorzata Wiatrzyk – Konkurs „Wiem Więcej", Konkurs Biologiczny, Konkurs Chemiczny, Konkurs Geograficzny
Urszula Żuchowicz – Konkurs Biologiczny, Konkurs z Fizyki i Astronomii, Konkurs Chemiczny, Konkurs Matematyczny,
Monika Prostko – Konkurs Biblijny.

Miano **laureata** otrzymali:

Paulina Duda – Konkurs Języka Polskiego,
Dariusz Gałysa – Konkurs Matematyczny,
Bartosz Zbozień – Konkurs Historyczny,
Agata Sejud – Konkurs Matematyczny,
Sylwester Pustułka – Konkurs z Fizyki i Astronomii, Konkurs „Wiem Więcej',
Patryk Frączek – Konkurs „Wiem Więcej", Konkurs Matematyczny,
Maciej Ogórek – Konkurs ‚Wiem Więcej", Konkurs Historyczny,
Marcin Łazarz – Konkurs z Fizyki i Astronomii,

Uczniowie mają też możliwość wykazania się swoją wiedzą oraz umiejętnościami w szkolnych konkursach przedmiotowych, artystycznych, sportowych i bibliotecznych.

Na wyróżnienie zasługują osiągnięcia sportowe, indywidualne i zespołowe w rozgrywkach: gminnych, powiatowych, rejonowych i wojewódzkich. Również kolejny rok gimnazjum uzyskało pierwsze miejsce we Współzawodnictwie Sportowym Szkół Gimnazjalnych Powiatu Nowosądeckiego.

Mimo trudnych warunków lokalowych nauczyciele zawsze znajdują czas i miejsce, aby rozwijać zainteresowania swoich wychowanków. Służą temu liczne koła przedmiotowe, artystyczne i sportowe, które pomagają odpowiednio ukierunkowywać, wzmacniać i rozwijać indywidualne możliwości i predyspozycje uczniów. Wizytówką szkoły

jest Zespół Regionalny „Małe Łącko" i akompaniująca mu kapela, w skład których wchodzą uczniowie Szkoły Podstawowej i Gimnazjum. Kapela koncertuje samodzielnie i odnosi liczne sukcesy. Staraniem Starosty Powiatu Nowosądeckiego została nagrana płyta „Wkoło sady zakwitają".

Kapela

Nie są pozostawieni również bez opieki i wsparcia ci uczniowie, którzy tego potrzebują. Zawsze mogą liczyć na pomoc ze strony nauczycieli, wychowawców oraz kolegów.

Wielką rangę i oprawę artystyczną nadaje się uroczystościom szkolnym, związanym ze świętami narodowymi, tradycjami regionu i szkolnymi. Szczególną rolę pełnią koła teatralne, które przygotowują inscenizacje fragmentów sztuk z klasyki polskiej i światowej zamiast tradycyjnych akademii („Zemsta", „Chłopi", „Opowieść wigilijna", "Pan Tadeusz", „Noc listopadowa").

Pan Tadeusz

Zemsta

Szkoła to nie tylko edukacja, tu zawiązują się także znajomości, toczy się wymiana myśli, poglądów, szukanie wzajemnych inspiracji, ale ma też miejsce zabawa połączona z poznawaniem nowych miejsc, ludzi, zwyczajów. Szczególnie wyjazdy służą integracji zespołów klasowych, poznawaniu dziedzictwa narodowego i kultury Europy (do Paryża, Wiednia, Słowacji). Co roku młodzież uczestniczy w wymianie polsko-niemieckiej, w ramach której niweluje się stereotypy, dotyczące różnic narodowościowych oraz nawiązuje nowe przyjaźnie. Młodzież niemiecka poznaje okolicę i kulturę naszego regionu i system polskiej nauki poprzez uczestnictwo w wybranych lekcjach. Podob-

ne cele osiągają nasi uczniowie w ramach rewizyty u niemieckich kolegów w miejscowości Sontra.

W Gimnazjum realizuje się wiele programów i projektów edukacyjnych, m.in.: *Młodzi – narkotyki – ryzyko i co z tym zrobić, Trzymaj formę, akcja – Ratujemy – uczymy ratować, Bezpieczne ferie zimowe, Witaminom tak – nałogom nie.*

Projekty profilaktyczne mają na celu przeciwdziałanie zagrożeniom współczesnego świata. W szkole w latach 2000–2004 działał Klub Młodego Europejczyka, który propagował informacje o Unii Europejskiej i starania o członkostwo Polski w jej strukturach. Realizował to poprzez programy artystyczne, informacyjne, udział w warsztatach i konkursach. Uczniowie otrzymywali nagrody indywidualne i przeznaczone dla szkoły. Placówka zyskała dodatkowy telewizor i magnetowid, a gimnazjaliści uczestniczyli w wycieczce do Warszawy, gdzie zwiedzili, m.in. siedzibę Parlamentu RP i gościli u ówczesnego Ministra Skarbu i Wicemarszałka Senatu. Wymianie doświadczeń służyły spotkania z Klubami Młodego Europejczyka z innych szkół.

Od 2009 r. realizowany jest długofalowy program odbudowy, popularyzacji i wspomagania fizyki w szkołach – *Feniks* pod patronatem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Skierowany jest on do młodzieży w celu rozwijania podstawowych kompetencji naukowo – technicznych, matematycznych i informatycznych uczniów.

Młodzież także chętnie angażuje się w działalność charytatywną. Potrafi dostrzegać potrzeby drugiego człowieka, czego wyrazem jest działające Szkolne Koło Caritas, które realizuje projekt „RAZ, DWA, TRZY – POMÓŻ TY!” w ramach

małopolskiego projektu *Mieć wyobraźnię miłosierdzia*, przygotowującego uczniów do niesienia pomocy potrzebującym.
Szkoła może liczyć na dobre, a nawet pełne zaufania relacje z rodzicami, na ich życzliwość, mądrość i rozsądek, a także wsparcie i pomoc w procesach decyzyjnych i twórczych, bo mają świadomość tego, że najważniejsze, co mogą dać swoim dzieciom, to wykształcenie. Doceniając osiągnięcia, wyniki pracy uczniów Rada Rodziców obdarowuje wyróżniających się w nauce i sporcie absolwentów nagrodami książkowymi.
Panie Dyrektor doceniają pracę Grona Pedagogicznego. Wypowiadają się o nauczycielach jako o zespole, który dostrzega wartość pracy z młodzieżą, stawia na mądre kształcenie, a zwłaszcza twórczą aktywność i samodzielność myślenia, odwagę i ciekawość świata. Pedagodzy czynią to konsekwentnie, bez rozgłosu, ale z optymizmem, cierpliwością, rzetelnością i wyrozumiałością.
Mamy nadzieję na dalszą, owocną i efektywną pracę wszystkich podmiotów szkoły: uczniów, rodziców i nauczycieli, bo tylko „dobry dom" i „dobra szkoła" pozwolą wychować młodych ludzi, którzy nie boją się wyzwań, realizacji marzeń i pragnień, będą wierzyć w siebie, we własne siły i możliwości.

Opracowała I. Bugańska, A. Duda, A. Mrówka, A. Sobczak

Anna Kurzeja

Gmina Fair Play 2009

W 2009 roku odbyła się ósma edycja ogólnopolskiego konkursu „Gmina Fair Play" – Certyfikowana Lokalizacja Inwestycji, który organizuje działający przy Krajowej Izbie Gospodarczej Instytut Badań nad Demokracją i Przedsiębiorstwem Prywatnym.

Celem konkursu Gmina Fair Play jest wyróżnienie gmin zaangażowanych w tworzenie możliwie najlepszych warunków dla prowadzenia działalności gospodarczej i inwestowania oraz udzielenie im wsparcia w wysiłkach na rzecz przyciągania nowych inwestorów.

W tegorocznej edycji wzięło udział 155 samorządów z 16 województw, a 152 gminy spełniły wymagania konkursu i pozytywnie przeszły weryfikację zasad obsługi inwestorów uzyskując tym samym tytuł i certyfikat Gmina Fair Play 2009 – Certyfikowana Lokalizacja inwestycji.

Należy nadmienić, że przyznanie gminie certyfikatu poprzedzone jest wielomiesięczną i wieloetapową weryfikacją. W I etapie gminy sporządzają ankietę i odpowiadają na pytania dot. oferty inwestycyjnej, obsługi inwestorów, udogodnień jakie gminna oferuje przedsiębiorcom, planowania przestrzennego, rozwoju infrastruktury technicznej, promocji gminy itp.

Wszystkie ankiety są oceniane przez co najmniej trzech audytorów i punktowane. Zdobycie 72 punktów na 100 możliwych kwalifikuje gminę do II etapu.

W II etapie wszystkie gminy są odwiedzane przez audytorów, których zadaniem jest potwierdzenie informacji przedstawionych przez Gminy w ankietach. Ponadto audytor przeprowadza spotkania z przedstawicielami danej gminy, pracownikami, lokalnymi przedsiębiorcami, przedstawicielami instytucji i organizacji itp.

Audytor bada również terminowość i prawidłowość wydawanych decyzji związanych z inwestycjami a także dokonuje przeglądu inwestycji realizowanych zarówno przez gminę jak i prywatnych inwestorów.

W trakcie procedury konkursowej badane są także m.in. opinie inwestorów o danej gminie, dzięki którym samorządy mogą dowiedzieć się, jakie aspekty obsługi inwestycji wymagają poprawy.

Zwycięzców VIII edycji konkursu w tym również Gminę Łącko – ogłoszono podczas uroczystej gali 4 grudnia 2009 r. w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. W uroczystościach wzięli udział Franciszek Młynarczyk – Wójt Gminy Łącko oraz Henryk Czepielik – Przewodniczący Rady Gminy.

Wójt Łącka Franciszek Młynarczyk z certyfikatem

KRAJOWA IZBA GOSPODARCZA

GMINA
FAIR PLAY

Kapituła Konkursu
uroczyście przyznaje,
tytuł i certyfikat
GMINA FAIR PLAY 2009

Gminie Łącko

Warszawa, 4 grudnia 2009

Andrzej Arendarski
Przewodniczący
Kapituły Konkursu

Mieczysław Bąk
Przewodniczący Ogólnopolskiej
Komisji Konkursowej

Certyfikat „Gmina Fair Play"

Uzupełnienie do artykułu p.t. „Historia Sztandaru NSZZ Solidarność RI" w Łącku

Jako uzupełnienie do artykułu p.t. „Historia Sztandaru NSZZ Solidarność RI" w Łącku zamieszczonego w nr 11 Almanachu Łąckiego, załączamy kopię protokółu sporządzonego przez Zarząd Wojewódzki NSZZ Solidarność RI w Nowym Sączu

P r o t o k ó ł

sporządzony na podstawie świadków, służący jako dowód powstania sztandaru NSZZ RI „Solidarność" województwa nowosądeckiego.

Przez okres działalności „Solidarność" z lat osiemdziesiątych, pieniądze ze składek członkowskich rolników były zbierane przez ówczesną sekretarkę Tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego „Solidarność" Grażynę Fryc-Skoczeń.

Pieniądze wpłacone przez rolników były przytrzymywane u sekretarki, ponieważ Zarząd Wojewódzki nie miał otwartego konta i to uratowało zebrane pieniądze w sumie 120 tys. zł.

Po wypowiedzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. pieniądze były przechowywane u sekretarki. Komenda Wojewódzka MO w Nowym Sączu była strasznie zainteresowana co się stało z pieniędzmi ze składek, ale zostało to utrzymane w tajemnicy i pieniądze, można powiedzieć, przetrwały do dnia dzisiejszego w postaci powstałego sztandaru.

Jesienią 1982 r. Tymczasowy Zarząd Wojewódzki NSZZ Solidarność postanowił z tych pieniędzy ufundowac sztandar „Solidarności". Wykonanie sztandaru zamówiono u sióstr zakonnych w Gołkowicach, gmina Stary Sącz. Wówczas zostało wpłacone na wykonanie tego sztandaru 150 tys. zł. ponieważ u byłego skarbnika Tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego Antoniego Garncarczyka było 30 tys. zł., które pobrał od sekretarki do zapłacenia składki w Warszawie.

Wykonanie sztandaru trwało 4 lata. Wykonanie nadzorował Bodziony Stanisław z Podegrodzia. Po odebranie sztandaru pojechali: Grażyna Fryc-Skoczen, Kazimierz Fryc, Stanisław Bodziony i Władysław Piksa.

Za wykonanie sztandaru siostry wystawiły cenę 250 tys. zł. więc do wpłaconego zadatku zabrakło 100 tys zł. Zbiórkę brakujących pieniędzy prowadziło tylko kilka osób i w ścisłej tajemnicy.

Bodziony Stanisław zebrał 40 tys. zł. a resztę zebrał Władysław Piksa w sumie 60 tys. zł. Przy odbiorze sztandaru zostało dopłacone brakujące 100 tys. zł. Sztandar został odwieziony na przechowanie do Jana Hilgier zamieszkałego Łącko 61 i był u niego od listopada do lutego.

Z powodu dużego rozgłosu, dla bezpieczeństwa sztandaru, Hilgier Jan sztandar przekazał w tajemnicy do Floriana Franciszka Łącko 60, gdzie był około 2 tygodni. Później był zabrany przez Władysława Piksę z księdzem Adamem i zaniesiony do kościoła parafialnego w Łącku i tam był aż do poświęcenia, które odbyło się dnia 21 maja 1989 r.

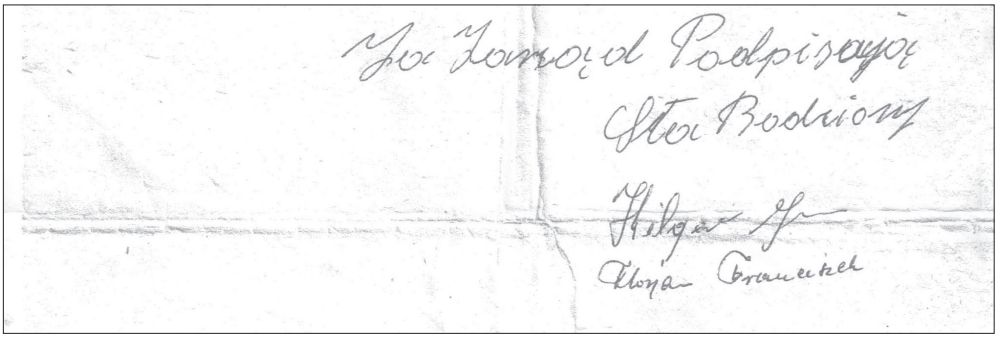
Za Zarząd Podpisano
Stan Bodziony
Hilgier
Alojza Granecka

Oryginał protokołu

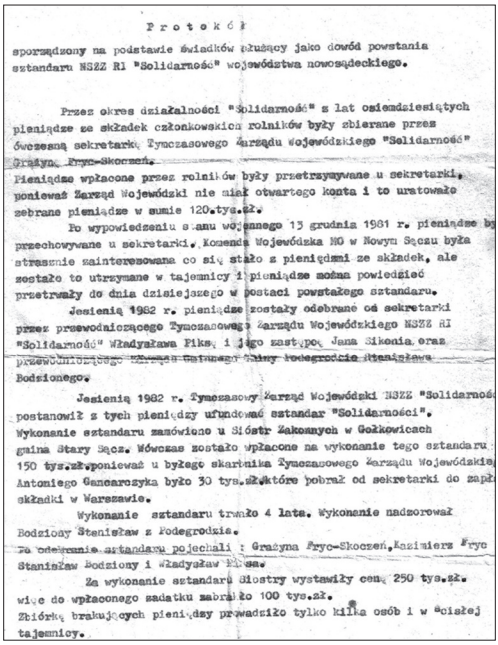
P r o t o k ó ł

sporządzony na podstawie świadków służący jako dowód powstania sztandaru NSZZ Rl "Solidarność" województwa nowosądeckiego.

Przez okres działalności "Solidarność" z lat osiemdziesiątych pieniądze ze składek członkowskich rolników były zbierane przez ówczesną sekretarki Tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego "Solidarność" Grażyn. Fryc-Skoczeń.
Pieniądze wpłacone przez rolników były przetrzymywane u sekretarki, ponieważ Zarząd Wojewódzki nie miał otwartego konta i to uratowało zebrane pieniądze w sumie 120.tys.zł.

Po wypowiedzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. pieniądze by przechowywane u sekretarki. Komenda Wojewódzka MO w Nowym Sączu była strasznie zainteresowana co się stało z pieniędzmi ze składek, ale zostało to utrzymane w tajemnicy i pieniądze można powiedzieć przetrwały do dnia dzisiejszego w postaci powstałego sztandaru.

Jesienią 1982 r. pieniądze zostały odebrane od sekretarki przez przewodniczącego Tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego NSZZ Rl "Solidarność" Władysława Piksa i jego zastępcę Jana Sikonia oraz przewodniczącego Gminnego Stanu Podegrodzie Stanisława Bodzionego.

Jesienią 1982 r. Tymczasowy Zarząd Wojewódzki NSZZ "Solidarność postanowił z tych pieniędzy ufundować sztandar "Solidarności". Wykonanie sztandaru zamówiono u Sióstr Zakonnych w Gołkowicach gmina Stary Sącz. Wówczas zostało wpłacone na wykonanie tego sztandaru 150 tys.zł.ponieważ u byłego skarbnika Tymczasowego Zarządu Wojewódzkie Antoniego Gancarczyka było 30 tys.zł.które pobrał od sekretarki do zapł składki w Warszawie.

Wykonanie sztandaru trwało 4 lata. Wykonanie nadzorował Bodziony Stanisław z Podegrodzia.
Po odebranie sztandaru pojechali : Grażyna Fryc-Skoczeń,Kazimierz Fryc Stanisław Bodziony i Władysław Piksa.

Za wykonanie sztandaru Siostry wystawiły cenę 250 tys.zł. więc do wpłaconego zadatku zabrakło 100 tys.zł.
Zbiórkę brakujących pieniędzy prowadziło tylko kilka osób i w ścisłej tajemnicy.

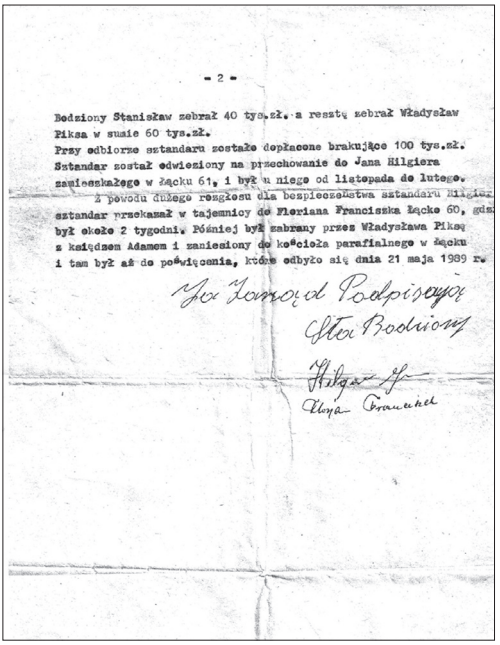
- 2 -

Bodziony Stanisław zebrał 40 tys.zł. a resztę zebrał Władysław Piksa w sumie 60 tys.zł.
Przy odbiorze sztandaru zostało dopłacone brakujące 100 tys.zł.
Sztandar został odwieziony na przechowanie do Jana Hilgiera zamieszkałego w Łącku 61, i był u niego od listopada do lutego.

Z powodu dużego rozgłosu dla bezpieczeństwa sztandaru Hilgier sztandar przekazał w tajemnicy do Floriana Franciszka Łącko 60, gdzie był około 2 tygodni. Później był zabrany przez Władysława Piksa z księdzem Adamem i zaniesiony do kościoła parafialnego w Łącku i tam był aż do poświęcenia, które odbyło się dnia 21 maja 1989 r.

Za Zarząd Podpisano
Stan Bodziony
Hilgier
Alojza Granecka

22.12.2009 Obiad i spotkanie wigilijne dla samotnych i biednych w restauracji „u Kazka". Przyszło około 70 osób. Wigilię przygotował Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej. Kapela Zespołu Regionalnego „Małe Łącko" z Zespołu Szkolno – Gimnazjalnego z Łącka uświetniła swoim występem to bardzo miłe, tradycyjne spotkanie. W spotkaniu tym udział wziął min. wójt Franciszek Młynarczyk, Henryk Czepielik – przewodniczący Rady gminy, Jan Dziedzina – radny Powiatu Nowosądeckiego, Zofia Zbozień – sekretarz gminy, Teresa Korniak ze Stowarzyszenia „Dolina Dunajca", pracownicy GOPS, Jadwiga Jastrzębska z TMZŁ, Zofia Bodziony – przewodnicząca Koła Emerytów i Rencistów w Łącku. Ks. prałat Józef Trzópek poświęcił opłatki i złożył wszystkim obecnym serdeczne życzenia.

04–18.01.2010 Składanie wniosków za pośrednictwem Lokalnej Grupy Działania w projekcie Zarządu Województwa Małopolskiego „Małe Projekty"

06.01.2010 Święto Szkoły – Zespół Szkół im. Św. Kingi, obchodzi nadanie imienia swojej patronki. Wręczenie stypendiów przez prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej uczennicom Liceum Ogólnokształcącego. Program artystyczny przygotowała młodzież z poszczególnych klas. W GOK, w Łącku, odbył się XX Przegląd Grup Kolędniczych., wzięło w nim udział 6 grup: 3 dziecięce, 2 młodzieżowe i 1 dorosła. Kolędnicy „Z gwiazdą" z Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego z Zagorzyna, którzy zdobyli I miejsce w kat. młodzieżowej w tym przeglądzie, zajęli na Ogólnopolskim Przeglądzie Grup Kolędniczych „Pastuszkowe kolędowanie" w Podegrodziu – **I miejsce**.

07.01.2010 Rozstrzygnięcie międzyszkolnego konkursu plastycznego „Być sobą – to powiedzieć nie". Do konkursu nadesłano 45 prac ze szkół podstawowych w gminie Łącko – Brzyna, Kicznia, Maszkowice, Zabrzeż, Zarzecze, Obidza, Szczereż, i 23 prace z Gimnazjum w Łącku.

7–9.01.2010 Zespół Regionalny „Górale Łączy" zajął I miejsce w Ogólnopolskim Festiwalu Kolęd i Pastorałek w Będzinie. Patronat honorowy nad tą imprezą sprawowała Pani Prezydentowa Maria Kaczyńska.

10.01.2010 W Łącku grała po raz XVIII Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Pieniądze zbierano także w Zagorzynie, Jazowsku, Zabrzeży. 22 wolontariuszy zebrało do puszek więcej pieniędzy niż w zeszłym roku – 14.127,96 zł. Sztab mieścił się w GOK w Łącku.

14.01.2010 Zebranie Zarządu TMZŁ – opracowanie planu działania oraz propozycje wydawnicze na 2010 rok, podsumowanie roku 2009 – sprawozdanie merytoryczne i finansowe Zarządu.

16.01.2010 Walne zebranie Ochotniczej Straży Pożarnej w Łącku.

18–30.01.2010 Ferie zimowe dla uczniów min. Małopolski. GOK w Łącku przygotował na czas ferii dla dzieci i młodzieży ciekawe propozycje min. szopkę kukiełkową Stanisława Kozika z Brzyny, kulig w Krościenku, Karnawałowy Bal dla dzieci, wyjazdy do kina i teatru, konkurs plastyczny, turnieje sportowe.

19.01.2010 Zakończono modernizację obiektu Szkoły Muzycznej I stopnia w Łącku. W budynku wymieniono dach, stolarkę, ogrzewanie oraz wykonano termoizolację całego budynku. Ze środków Ministerstwa Kultury i Urzędu Gminy zakupiono także fortepian, pianino, piano elektryczne i aparaturę nagłośnieniową. Aktualnie do Szkoły Muzycznej w Łącku, która działa od 3 lat, uczęszcza 105 uczniów. Dotacja Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego wyniosła 58.178,27 zł, Urząd Gminy w Łącku wyłożył 50.000.00 zł.

20.01.2010 Spotkanie opłatkowe Związku Emerytów i Rencistów, koła w Łącku. Spotkanie to połączone było z Dniem Babci i Dziadka. W części artystycznej wystąpiły przedszkolaki z Przedszkola Samorządowego w Jazowsku, kapela „Małe Łącko" z Zespołu Szkolno-Gimnazjalnego w Łącku, pod batutą Antoniego Plechty, przygrywała podczas całego spotkania. Wieczór Poezji Wigilijnej odbył się w Szkole Podstawowej w Zarzeczu.

22.01.2010 Zespół Świetlic Środowiskowych w Łącku zorganizował I Turniej Szachowy. Turniej odbył się w dużej sali Domu Katechetycznego w Łącku, wzięło w nim udział 30 uczestników reprezentujących różne grupy wiekowe.

30–31.01.2010 Grupa kolędnicza z Zagorzyna wzięła udział w powiatowym konkursie Sądeckie Kolędowanie.

03.02.2010 II Powiatowy Turniej Szachowy odbył się w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Łącku. Sędzią głównym turnieju był p. Piotr Janik – międzynarodowy licencjonowany arbiter szachowy. W zawodach wzięli udział uczniowie z terenu Nowosądeckiego Powiatu Ziemskiego. W turnieju wzięło udział 11 dziewcząt i 27 chłopców.

04.02.2010 Spotkanie opłatkowe członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej w cukierni „u Gromali" w Łącku.

05.02.2010 Spotkanie z Pawłem Zygmuntem i Katarzyną Zygmunt, w ramach projektu „Zostań olimpijczykiem", hasłem zorganizowanego konkursu była wiedza na temat Igrzysk Olimpijskich... Katarzyna Zygmunt jest sędzią (jedyną kobietą w Polsce) międzynarodowym w hokeju na lodzie.

10.02.2010 **100-lecie urodzin obchodziła Anna Urzędowska (ur. 10.02.1910)**.

13.02.2010 W konkursie par tanecznych, Karnawału Góralskiego w Bukowinie Tatrzańskiej, wzięły udział 3 pary taneczne z Zespołu Regionalnego

„Górale Łączy" z Łącka: Małgorzata Dybiec i Adrian Pasiud, Aneta Cedzidło i Łukasz Wolański, Joanna Legutko i Jerzy Gromala. Tancerzom towarzyszyła kapela zespołu.

16.02.2010 X konkurs „Łącko – moja mała ojczyzna" 2010 odbył się w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Jazowsku.

25.02.2010 Monika Prostko zakwalifikowała się do wojewódzkiego etapu Konkursu Biblijnego, który odbył się w Łagiewnikach, w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego.

03.03.2010 Spotkanie z najmłodszymi w Przedszkolu Samorządowym w Łącku, prezesa TMZŁ, w ramach projektu „Moja miejscowość".

09 –10. 03.2010 XI Międzyszkolny Konkurs Młodych Wokalistów i Instrumentalistów, organizatorem konkursu jest GOK w Łącku.

16.03.2010 **100-lecie obchodziła Zofia Sopata (ur. 16.03.1910).**

18.03.2010 Rozstrzygniecie konkursu plastycznego „Wielkolas – strażnik lasu", który zorganizował GOK w Łącku i Przedszkole Samorządowe w Jazowsku.

25.03.2010 Spotkanie przedświąteczne członków TMZŁ w cukierni „u Gromali". Gminny Konkurs Palm i Pisanek Wielkanocnych zorganizowany przez GOK w Łącku

30.03.2010 Rozstrzygnięcie gminnego konkursu „Najlepsza strona internetowa placówki oświatowej w Gminie Łącko".

4–5.04.2010 Udział Orkiestry Dętej im. Tadeusza Moryto z Łącka w obchodach Świąt Wielkanocnych

05.04.2010 **100-lecie urodzin obchodziła Rozalia Dzieszko (ur. 05.04.1910).**

08.04.2010 Stowarzyszenie „Dolina Dunajca z Łącka" odznaczone „Złotym Jabłkiem Sądeckim" przez Jana Golonkę, Starostę Powiatu Nowosądeckiego.

10.04.2010 W katastrofie samolotu prezydenckiego pod Smoleńskiem, w Rosji, zginęło 96 osób. W katastrofie zginęli min: **Prezydent RP Lech Aleksander Kaczyński, Pierwsza Dama Maria Helena Mackiewicz - Kaczyńska, Prezydent II RP na Uchodźstwie Ryszard Kaczorowski**. Wśród ofiar katastrofy byli: senatorowie, posłowie, generalicja, duchowni, ministrowie rządu i kancelarii prezydenckiej, przedstawiciele urzędów centralnych, artyści, przedstawiciele rodzin katyńskich, funkcjonariusze BOR, załoga i obsługa samolotu. Po przeszło tygodniowej żałobie narodowej, którą zarządził Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski, który po tragicznej śmierci prezydenta przejął obowiązki głowy państwa, zgodnie z Konstytucją RP z 1997 roku. 18 kwietnia 2010 roku Prezydent RP Lech Aleksander Kaczyń-

ski wraz z małżonką, zostali pochowani na Wawelu, we wspólnym sarkofagu, w Krypcie Srebrnych Dzwonów, w przedsionku Krypty Józefa Piłsudskiego.

21.04.2010	VI Gminny Konkurs Recytatorski w Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Czarnym Potoku. Przewodniczącą jury od początku istnienia konkursu jest Jadwiga Jastrzębska, prezes TMZŁ. Towarzystwo Miłośników Ziemi przygotowało nagrody książkowe dla uczestników konkursu
03.05.2010	Uroczyste obchody Konstytucji 3 Maja pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku.
08.05.2010	Walne Zgromadzenie Członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej. Wydanie 12 numeru „Almanachu Łąckiego", promocja numeru podczas WZC Towarzystwa, otwarcie wystawy fotograficznej pt." W 100-lecie obchodów w 1910 roku 500-lecia bitwy pod Grunwaldem".
8–9.05.2010	Święto Kwitnącej Jabłoni. Tradycyjnie święto rozpoczynają już w piątek 7 maja, zawody wędkarskie o „Puchar Wójta Gminy Łącko". W niedzielę 9 maja TMZŁ rozpoczyna swoją letnią akcję promocyjno-charytatywną, która będzie trwała do Święta Owocobrania 19 września 2010 roku. Na stoisku TMZŁ, na łąckim Rynku, będzie można nabyć wydawnictwa Towarzystwa i wziąć udział w loteriach charytatywnych.
13.05.2010	VIII edycja Gminnego Konkursu Ortograficznego „I Ty możesz zostać mistrzem ortografii" w Szkole Podstawowej w Szczereżu.
27.05.2010	Konkurs „Fryderyk Chopin – życie i twórczość" w ramach obchodów Roku Chopinowskiego
01.06.2010	Dzień Dziecka w gminie Łącko
19.06.2010	Koncert Chopinowski – wystąpią nauczyciele i uczniowie Szkoły muzycznej I Stopnia w Łącku oraz słuchacze Ogniska Muzycznego działającego przy GOK w Łącku.

SPROSTOWANIA

Almanach Łącki nr 11

Na str. 159 powinno być Jan Rostocki (jest Rostowski).

Andrzej Huza „Przedwojenne wakacje" na stronie 52, po słowach „...humor nie opuszczał go nigdy." Dodać zdanie „U lewej dłoni miał odstrzelony palec wskazujący-skutek weselnego wiwatowania".

Na stronie 31 powinna być następująca tabelka:

Kierownicy i dyrektorzy zabrzeskiej szkoły

Imię, nazwisko	Lata urzędowania
Melchior Makulak	Lata wojenne do 1945
Jan Bucyk	1945 – 1974
Anna Bucyk	1974 – 1975
Krzysztof Śliwiński	1975 – 1985
Eleonora Gałysa	1985 – 1986
Janina Sejud	1986 – 1990
Krystyna Gałysa	1990 – nadal

Mgr Krystyna Gałysa jest dyrektorem Szkoły Podstawowej w Zabrzeży od 1990 roku po dzień dzisiejszy. Z okazji jubileuszu 20 lecia objęcia posady dyrektora, redakcja „Almanachu Łąckiego" życzy wielu owocnych lat w pracy zawodowej oraz wiele szczęścia i radości w życiu osobistym.

mgr Krystyna Gałysa

Uzupełnienie dotyczące rodziny Huzów:
Str. 69. Katarzyna Duda, która wychodzi za mąż za Stanisława Dudę, z Zagorzyna, ma synów: Stanisława, Franciszka, Władysława i Antoniego.
Potomkowie Antoniego: Zofia, Jadwiga, Antoni, Maria.
Potomkowie Stanisława: Henryk, Piotr.
Franciszek i Władysław umierają młodo, bezdzietnie.

Almanach Łącki nr 8
Na str. 41 powinno być Leśniaków (jest Leśników), nazwisko studniarza z Grywałdu – Marian Kotarski.
Strona 42 – Antoni Kleczkowski nie hydrolog a hydrogeolog.

LIST

Wrocław 31.I.2010r

Wielce Szanowni Państwo

W pierwszych słowach mego listu Pochwalony Jezus Chrystus – tak zawsze pisała moja Mama Waleria Potoniec (Janowa) z domu Kunicka ze Stronia, zamieszkała w Świdniku 15.
Witam się i ja tymi słowami i posyłam pozdrowienia. Tato mój, Jan Potoniec z Wolicy brat Wojciecha i Piotra kontaktował się z KRAJANEM, który nazywał się Gromala. W czasie wczesnej KOMUNY był skazany na śmierć, a ja może w 1951r pisałam dla niego- jakby ON SAM- pismo o ułaskawienie do Rady Państwa; ja byłam wtedy uczennicą szkoły podstawowej w Świdniku może II lub III klasa.
Ja napisałam na kartce z zeszytu; Pan Gromala podpisał swoją ręką; choć się trzęsła, bo gdy był zamknięty to pod paznokcie miał wbijane teksy lub inne gwoździki, żeby zdradził: kto?- kiedy?- z kim- gdzie.
Nie wiem co się po tym piśmie o ułaskawienie stało.
Łączę wyrazy szacunku i pozdrowienia
Eleonora

P.S Mam przed sobą Almanach Łącki nr.10 z 2009r

Redakcja zachowała oryginalną pisownię listu (duże, małe litery, znaki przestankowe).
Prosimy tych wszystkich, którzy mają na ten temat jakiekolwiek informacje, o kontakt z redakcją Almanachu Łąckiego.

APEL !!!

do wszystkich,
których krewni, przyjaciele, znajomi
w czasie wojny byli więźniami hitlerowskiego obozu
Auschwitz – Birkenau
aby zechcieli o tym poinformować
lub użyczyć dokumentów, świadczących o tym fakcie.

Zgromadzone dane pozwolą uzupełnić
niekompletną dokumentację archiwalną
o osobach z powiatu nowosądeckiego,
deportowanych do obozu…

…by pamięć o nich nie zaginęła!!!

Tel. 696-410-662,
e-mail: auschwitz-nowysacz@wp.pl
Grzegorz Olszewski, 33-303 Nowy Sącz 5, Skr. Poczt. 28

Spis treści

1. Od redakcji – Sześćsetlecie bitwy pod Grunwaldem str. 3
2. Grzegorz Olszewski – Historia miejscowości: Łącko, Czerniec, Maszkowice str. 5
3. Adrian Poparda – Rozkwit i zanik starożytnej osady w Maszkowicach. Próba syntezy str. 12
4. Andrzej Rozmus – Historia zorganizowania i powstania Ruchu Strażackiego Ochotniczej Straży Pożarnej w Łącku str. 25
5. Zbigniew Czepelak – Sto lat działalności Ochotniczej Straży Pożarnej w Czerńcu str. 34
6 Lucyna Prostko – Szkoła św. Kingi – historia i współczesność str. 44
7. Maria Rysiewicz – Krótka historia Łąckiego Banku Spółdzielczego str. 56
8. Julian Dybiec – Z Łącka w świat str. 63
9. Jadwiga Jastrzębska – Stanisław Rusnarczyk – nauczyciel z Łącka str. 91
10. Noty biograficzne str. 93
11. Urszula Jurkowska – Pro memoria – Barbara Arendarczyk 1955 – 2010 str. 110
12. Tomasz Kowalik – Przyczynek do sagi rodu Chwalibogów str. 112
13. Andrzej Urbaniec – Piękno naszej ziemi – Stara stodoła... str. 122
14. Andrzej Urbaniec – Z domowego archiwum str. 123
15. Zatrzymane w kadrze str. 125
16. Magdalena Puławska – Szabasowy wieczór str. 129
17. Jarosław Czaja – Widok z okna str. 131
18. Maria Golanka – Szczęścian str. 135
19. Katarzyna Mrówka – Dzieci str. 141
20. Tomasz Kowalik – Książeczka z opowiadankami str. 142
21. Stanisław Turek – Łącki Robinson – Motorowerem z Adelaide do Darwin str. 144
22. Andrzej Urbaniec – Górale z Łącka w świecie str. 148
23. Jan Dziedzina – 10 lat Powiatu Nowosądeckiego str. 150
24. Po dziesięciu latach – dokonania i nowe wyzwania Gimnazjum w Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Łącku str. 152
25. Anna Kurzeja – Gmina Fair Play 2009 str. 157
26. Redakcja – Uzupełnienie do artykułu p.t. „Historia Sztandaru NSZZ Solidarność RI" w Łącku str. 159
27 Kalendarium str. 161
28. Listy, polemiki, sprostowania str. 165
29 Apel str. 167
32. Spis treści str. 168